ST. FRANCIS COLLEGE, N. Y.
ATHOL SPRINGS,

KRETY

41K

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ARTUR GRUSZECKI

KRETY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

KSIĘGARNIA
ZYGMUNTA JELENIA
W TARNOWIE.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095896467

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Мая 1900 г.

I.

Maciej Bibiela, starszy górnik, wyjął zegarek, podniósł lampę olejną, spojrzał i głosem grubym, donośnym zawołał:

— Skończysz raz, Adamie, czy nie? Już pierwsza, za pięć godzin wychodzimy, a trzeba i minę założyć i węgiel wywieźć.

Chwiejny, żółtawy płomyk oświecił twarz zmęczoną, pomarszczoną, bez zarostu, poczerniałą od pyłu zmieszanego z potem. Oczy tylko z pod gęstych brwi świeciły białkami.

Z wysokości sklepienia, gdzie majaczyło światło lampki u drabiny, odburknął zapytany, pracując dalej nad otworem miny prochowej:

— Niech ta pierony trzasną, taki psiakrew twardy węgiel, że rąk nie czuję.

— Nie klnijcie no tam, bo o nieszczęście nie trudno — odezwał się górnik, Wincenty Bieluń, opierając się na ciężkim oskardzie, i podniósł w górę ku Adamowi pochyloną głowę, osadzoną na krępym, silnym, nizkim korpusie.

— Do roboty! — krzyknął starszy górnik, Maciej Bibiela, podnosząc lampkę w górę. — Nie kląć!

Nie krakać, jak kruk nad świeżem ścierwem. Co ma być, będzie.

W przodku chodnika „Prokopa“ ustała rozmowa; słychać tylko było stukot węgli, nabieranych przez ładowacza w niecki żelazne i zsypywanych z hałasem do wózków obok stojących na wązkich szynach; miarowe uderzenia oskardów o węgiel i zgrzyt świdra, wżerającego się głębiej w ścisły pokład węgla u góry i u dołu.

Z głębi chodnika „Prokopa“ doleciał odgłos ciężkich kroków człowieka i uderzeń kutej laski o szyny kolejki.

Maciej spojrzał w czarną czeluść, gdzie połyskiwało niespokojnie światełko lampki, rzucając błyski przemijające na poszarpane, czarne ściany i białawe z drzewa podpory.

— Hej!... pan sztygar idzie — przestrzegł starszy górnik.

I odrazu oskardy uderzyły silniej o bryłę węgla, świdry zgrzytnęły ostrzej w skale, węgle huknęły głośniej spadając w wózki.

— Szczęść Boże! — zawołał gruby głos.

Odpowiedziało pięć głosów równocześnie gromko: Szczęść Boże!

Maciej, jako starszy górnik i dozorca, rzucił oskard i stanął wyprostowany z lampą w lewej ręce, gotów do odpowiedzi.

— Kiedy założysz minę? — zapytał sztygar, podnosząc ruchem wahadłowym lampę ku twarzy Macieja.

— Za godzinę, panie sztygar! — odrzekł krótko.

— Aby nie później i uważaj, abyś cały węgiel „förder'ował"; inni niech robią na siebie, a my na siebie.

— Dobrze, panie sztygar!

Sztygar spojrzał na pracujących górników, kierując kolejno promień światła na każdego z nich.

Mały płomyk lampki rzucał słabe światło w otaczającą ciemność, jednak rozjaśniał dość wyraźnie wysoką, silną, grubą postać młodego sztygara, Hollaka, jego twarz wielką, zarośniętą, oczy jasne, ciemną kurtkę, wysokie cholewy i wielkie grube ręce.

— Hej! ty na drabinie! — zawołał sztygar po krótkiem milczeniu — jak głęboko?

— Będzie mi po ramię.

— Góra spokojna? — pytał dalej sztygar, patrząc w sufit w ciemności pogrążony.

— Jo, panie sztygar! — zabrzmiała odpowiedź.

— Węgiel ostrzeże górnika... — odezwał się Maciej Bibiela nieśmiałym głosem i, zachęcony milczeniem sztygara, mówił: — Bo węgiel, panie sztygar, gdy ma paść na górnika, szumi jak las w burzy.

— Albo też ostrzeże Skarbnik pukaniem — ośmielił się dorzucić drugi górnik, Bieluń.

— Milczeć! — wrzasnął sztygar. — Ani węgiel, ani Skarbnik nie ostrzeże, tylko stemple dobrze zakładaj, a zdrów będziesz.

I, spostrzegłszy młodego ładowacza, który, słu-

chając rozmowy, zaprzestał nabierać węgli w niecki, krzyknął:

— Czego wystrzeszczasz ślepie na mnie ty, leniu, łajdaku jakiś! Bierz węgiel, ty zatracony!

Chłopak tak się przeraził, że węgle wypadały mu z rąk; oczu ze sztygara nie mógł oderwać. Spostrzegł to zwierzchnik i, uderzając łagą w leżącą bryłę węgla, krzyknął:

— Hej! ty! Cóż się patrzysz na mnie?

Ładowacz milczał.

— Gadaj! — brzmiał surowy rozkaz.

Milczenie i przestrach ładowacza rozdrażniały stopniowo sztygara, nawykłego do posłuszeństwa bezwzględnego podwładnych. Pochwycił też prawą ręką chłopca, zatrząsł nim tak, że niecki pełne padły z brzękiem na ziemię i rozgniewany krzyknął tuż nad uchem:

— Gadaj!

— Nie wiem — wyjąkał ładowacz.

— Nie wie, a patrzy się jak bydlę... Do roboty! — kończył, uderzając chłopca w kark.

Ładowacz pochylił się pod ciężką pięścią, omal że nie padł bokiem na rozrzucone bryły węgli i rękami chwytał bezradnie, w przestrzeni szukając punktu oparcia. Jeden z górników roześmiał się. Dosłyszał to sztygar.

— Czego się śmiejesz? Słyszysz, ty!

Zawołany, udając, że nie wie, do kogo sztygar mówi, kuł dłutem zawzięcie.

— Hej! Ty przy ścianie! — wrzasnął sztygar. — Jak się zwiesz?

— Wojciech Szpałek — odpowiedział, zwracając się twarzą ku sztygarowi.

Ten zbliżył się, błysnął lampką tuż przy twarzy górnika, którego młoda, żółtawa twarz pobladła, a wielkie, błękitne oczy patrzyły z obawą na uśmiech ironiczny przełożonego.

— Ach, to ty! — zawołał sztygar łagodniej. — Nie bądź tak wesoły, miarkuj się, bo źle będzie — i odstępując od górnika, zwrócił się do Macieja: — Stemple ci starczą?

Lampkę zniżył ku ziemi, oglądając słup sosnowy, przeznaczony na podporę góry nowo zakładanego chodnika.

— Starczą, panie sztygar; tu niema nawet dziewięciu metrów.

— A proch?

— Chciałem prosić o kartkę do magazynu.

— Och, wy pierońskie giździe! to ja muszę pamiętać o tem, co wam trzeba? — krzyczał przełożony.

Starszy górnik milczał. Sztygar wyjął kwit przygotowany, upoważniający do wzięcia dwunastu funtów prochu z podziemnego magazynu, wręczył go Maciejowi, jeszcze chwilkę stał, patrzył na pracujących, zwrócił się wreszcie ku wyjściu i rzekł:

— Szczęść Boże!

— Szczęść Boże! — odrzekło pięć głosów na różne tony.

Maciej Bibiela przeprowadził wzrokiem lampkę sztygara, majaczącą w głębokich ciemnościach chodnika, a gdy na zakręcie pochylni znikła, odetchnął głęboko, jak po zdjęciu ciężaru, i mruknął z cicha:

— Twardy to człowiek!

— Zawzięty szelma! — dorzucił Bieluń.

— Zły, ale ja się go nie boję — rzekł młody Wojciech, wyciągając w górę obie ręce muskularne, silne, giętkie. Robota szła dalej. Po dłuższej chwili zapytał starszy górnik:

— Cóż, Adamie? gotóweś?

— Za kwadransik... Możecie już iść do magazynu po proch.

— Ano! To i pójdę... Wy, Wincenty, i ty, Wojtku, uprzątnijcie tymczasem węgiel, napełnijcie wagoniki, aby czysto było... Jan pójdzie bez lampki ze mną, poniesie proch — kończył, zwracając się do ładowacza.

Po odejściu Macieja górnicy jakiś czas odpoczywali w milczeniu, a miarkując, że już wraca, wzięli się do roboty. Napełnili cztery wagoniki, każdy po pięć korcy i czekali nań u wejścia do nowego przodka. Maciej odebrał od ładowacza proch i rzekł:

— Ty, Janie, wózki odstaw, a żywo wracaj, bo roboty jest huk!... Oskardy, torby, blaszanki w porządku?

Wincenty i Wojciech przeszukali z lampami przodek, rzeczy powynosili i stanęli u wejścia wraz

z Maciejem. Tylko Adam Grotek oczyszczał otwór stojąc w górze na drabinie.

— Złaź tam, proch dokończy! — krzyknął Maciej, stojąc u wstępu przodka.

— Raz tylko zakręcę i gotów — odezwał się Adam.

Zgrzytnął węgiel, a górnik, rad z roboty krzyknął:

— No, już i gotów do prochu!

Na znak zadowolenia, złażąc z drabiny, uderzał świdrem (rodzaj długiego, ciężkiego dłuta) po ścianie, mówiąc:

— Pojedziesz se węgielku nocą do szybu, zobaczysz se węgielku słoneczko na niebie...

Wtem rozległ się trzask w górze i wielka bryła węgla, odrywając się tuż nad schodzącym po drabinie, zawadziła o głowę górnika, strzaskała drabinę i z głuchym grzmotem padła na dół, rozsypując się i wznosząc tuman pyłu.

Górnicy stali przez chwilę, patrząc z przerażeniem w czarny otwór przed sobą, z którego, prócz łoskotu lekkiego rozsypujących się węgli, żaden inny odgłos nie dochodził. Prąd powietrza pogasił lampki, szybko poszukano zapałek, wreszcie błysnęły małe, żółte światła. Przy chwiejnych promieniach zarysowały się postaci trzech górników pobladłych, oniemiałych z przerażenia. Pierwszy oprzytomniał Bibiela Maciej, przeżegnał się:

— A słowo stało się ciałem!

Odetchnęli i dwaj drudzy, a Wincenty Bieluń, zdejmując kapelusz, rzekł cicho:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

— Coby ta miał zaraz ginąć, zamroczyło go i tylo — oburzył się młody Wojciech Szpałek.

— Poratujmyż go! — zawołał Maciej, zrzucając torbę.

I wszyscy trzej weszli równocześnie do przodka, poglądając z niemą obawą w górę.

Umocowali lampki w ścianie węglowej na ostrych haczykach, rozjaśnili knoty wystające i żwawo wzięli się do pracy. Bryła zasypała przodek dość wysoko. Aby dostać się do miejsca, gdzie stała drabina, należało wpierw oczyścić trochę wejście. Gorączkowo rozpoczęli odsuwać zwały węgla. Pot spływał im z czoła. Pierwszy Wincenty, oswoiwszy się z robotą, zaczął:

— Słyszeliście, jak Skarbnik ostrzegał... wyraźnie zapukał.

— Ja tam w Skarbnika nie wierzę — odpowiedział Wojciech.

— Boś młody, toś i głupi, popracuj jak ja w „Jonaszu“ piętnaście lat, to go poznasz.

— Widzieliście? — rzucił Maciej.

— Cobym nie miał widzieć — odmruknął Wincenty.

— I jaki on? — zapytał Wojciech.

— Teraz wolno z robotą — krzyknął Maciej — oskardy do góry, a tylko hełmiskiem ruszać.

W milczeniu, ostrożnie, odsuwali węgiel. Świa-

tło trzech lampek oświecało zgięte postaci górników, odbijało się w łatach skórzanych z tyłu, błyszczało na otłuszczonych kapeluszach i stalowych ostrych oskardach.

— Daj, Wojtek, lampkę, poświeć, coś mam pod hełmiskiem.

Przyniesiona lampka rozświetliła małą przestrzeń, przedmiotem owym była torba przywalonego górnika.

Pracowali we dwóch przy świetle lampki i natrafili wreszcie pod ścianą na ciało, pokryte drobniejszym węglem i warstwą pyłu.

— Żyw, czy nie? — zawołał Wojtek.

— Zabierzmy go do chodnika, tam równo złożymy — rozporządził Maciej.

Wojtek zbliżył tuż do głowy leżącego światło. Twarz była prawie czarna, z włosów polepionych spływała cieniutka nić krwi, która, tocząc się kuleczkami po pyle, skrzepnęła na strzępach koszuli. Lewa część ciała, od łopatki do pasa, zupełnie odsłonięta, przedstawiała się jak czarne, wilgotne zepsute mięso.

Maciej, nic nie mówiąc, podniósł jedną, a potem drugą rękę leżącego bezwładnie Adama i rzekł przyciszonym głosem:

— Ręce całe... A nogi?

Właśnie Wincenty opatrywał nogi:

— Prawa dobra, lewa naga i skrwawiona.

— Bierzcie za nogi, a ty, Wojtek, podtrzymuj głowę i świeć.

Podnieśli bezwładne ciało i zwolna ruszyli ku chodnikowi, potykając się o bryły węglowe. Na chodniku złożyli ciało, Maciej ukląkł i przyłożył ucho do serca.

— Jeszcze coś się utaiło w nim życia — powiedział po chwili badania. — Ty, Wojtek, biegaj po wózek, a my tu zniesiemy narzędzia.

Młody górnik szybko pobiegł chodnikiem. Maciej i Wincenty wrócili do przodka po oskardy i grace.

— I tak ci mu się zmarło — odezwał się Wincenty.

— Każdy się rodzi, aby umrzeć — filozofował Maciej — cóż to dziwnego?

— I powiedzieć, że mówił przed chwilą, a teraz ot leży cicho, jak kamień — rzekł Wincenty.

— Sztygar zły będzie, bo przepadło dziesięć rubli tego miesiąca.

— Furda to, dziesięć rubli dla sztygara, gorsza bieda wdowie i dzieciskom.

— A tyle tego im Pan Bóg dał — westchnął Maciej, szukając troskliwie uronionej blaszanki z kawą.

— Dziewucha pójdzie do roboty, wdowa dostanie coś z braterskiej kasy; ale jak jej wyżyć z czworgiem drobiazgu?

— Nie nasza w tem głowa — odrzekł Maciej, który wreszcie odszukał w kącie blaszankę.

Skierowali się ku chodnikowi, na którym bły-

sły lampki idących i głuchy turkot wagonika, popychanego szybko.

Gdy wagonik, ciągnięty przez Wojciecha i ładowacza, zbliżył się nadto blizko do leżącego ciała, krzyknął Maciej ostrzeżenie górnicze, nawołujące do baczności:

— Pozór!

Wagonik stanął. Ładowacz nachylił lampkę do leżącego i jęknął:

— O Jezu! toć człowiek leży!

— A tyś myślał, że pies, czy wół — mruknął Wincenty.

W tej chwili zbliżyli się inni górnicy, którzy świeżo z domu na szychtę przybyli.

— Szczęść Boże! — rzekli głucho.

— Szczęść Boże! — odmruknęli dawniejsi.

Wieńcem otoczyli ciało, chwilkę stali w milczeniu, następnie prawie równocześnie wszyscy uklękli i zaczęli odmawiać półgłosem modlitwę za umarłych.

Wkrótce powstali, a jeden z przybyłych zaczął głosem przerażonym:

— Jak tylko wszedłem na pochylnię, a tu coś mnie zimnego musnęło po twarzy, dreszcz mnie przeszedł i westchnąłem zaraz do św. Barbarki, naszej opiekunki od nagłej a niespodziewanej śmierci.

— I mnie coś mignęło białego, niby chmurka jasna — dorzucił drugi.

— Śpieszyła się dusza, aby swoich pożegnać.

— I jak to było? — odezwały się głosy.

Równocześnie zaczęli trzej świadkowie opowiadać ten wypadek najbliższym sąsiadom. Największe wrażenie wywołały słowa Wincentego, który wspomniał przekleństwo Adama, swe ostrzeżenie, wreszcie pukanie Skarbnika.

Nagle wśród tej ożywionej rozmowy odezwał się cichy, ale przejmujący jęk. Wzdrygnęli się obecni i umilkli.

Jęk powtórzył się.

— Toć on żyje! — zawołał jeden.

— Ja to mówiłem — rzekł tryumfująco Maciej. — No, pomóżcie włożyć go, a może się wyliże jeszcze.

— Czemużby nie miał — krzyknął z fantazyą Wojtek.

Jęczącego coraz ciszej Adama włożono do małego wagonika i ruszono chodnikiem po zwykłem pożegnaniu:

— Szczęść Boże!

II.

Ładowacz i Wojtek popychali zwolna wagonik; przodem szedł Maciej, z boku Wincenty. Lampki rzucały niepewne światło, drżące na kroplach wody, która sączyła się po ścianie węglowej, migające na oślizłych szynach i kołach wagoniku, roświetlające w małym promieniu gęstą czarność chodnika „Prokopa“, podpartego smukłymi drewnianymi słupami.

Niekiedy Wincenty podnosił lampkę ku twarzy leżącego Adama, spojrzał na zamknięte, głęboko osadzone oczy, na zaciśnięte szczelnie usta z nieruchomem skrzywieniem bólu; popatrzył na skrzepy krwi czarnej i wzdychał. Spotkani górnicy, witani i żegnani zwyczajowem pozdrowieniem, stawali na krótką chwilę zamyśleni, zapytywali o nazwisko wiezionego i miejsce wypadku, idąc dalej do roboty z westchnieniem rezygnacyi. Chodnik „Prokop“ rozciągał się poziomo na 120 metrów pod powierzchnią ziemi. Wiozący musieli się dostać do serca kopalni, do podszybia, leżącego 300 metrów pod ziemią, gdzie rytmicznie chodziły jednopiętrowe szale w szybie w górę i w dół. Na tych szalach w szybie spuszczali się górnicy w głąb o szóstej z rana, na nich wyjeżdżali o szóstej wieczorem na dwunastogodzinny odpoczynek na powierzchni. Robotnicy, którzy wchodzili obecnie, zaliczali się do dziennej szychty. Maciej ze swą kompanią należał w tym tygodniu do nocnej, pracującej od szóstej wieczorem do szóstej z rana.

Z równi poziomej chodnika skręcili na prawo ku pochylni, biegnącej pod kątem dość ostrym w kierunku drugiego, niższego chodnika, zwanego chodnikiem „Józefa“.

Po spadzistej pochylni, poprzecznej względem chodników pod ścianami, kutymi w skale piaskowca, szły wązkie szyny. Jedną stroną biegły w dół do chodnika „Józefa“ pełne wagoniki, ciągnąc siłą swego rozpędzonego ciężaru puste wago-

niki w górę do chodnika „Prokopa“. Elipsa pochylni, zamknięta w sobie, grzmiała nieustannie ruchem wagoników, obsługiwanych w jej ogniskach przez całą armię robotników podziemnych, podzielonych na kadry oddzielne: ciągarzy, ciskaczy, spinaczy, hamowaczy i spychaczy.

U wejścia do pochylni, koledzy wzięli rannego na ręce i, powtarzając często i głośno okrzyk ostrzegawczy: „Pozór!“ nieśli go ku chodnikowi „Józefa“.

Obok nich ze świstem i szumem przelatywały wagoniki rozpędzone, przed którymi chronili się w prawo lub lewo, by nie pochwyciły ich ubrań wystającymi narożnikami.

W chodniku „Józefa“, gdy znów złożyli omdlałego do wagoniku i posuwali się zwolna po równi, z ciemnego zagłębienia wstąpiła w promień światła postać starca, który odezwał się głębokim tonem:

— Szczęść Boże!

Był to słynny niegdyś z odwagi i zręczności górnik, lecz z utratą sił fizycznych spadał kolejno na niższe stopnie i obecnie pełnił obowiązek stróża przy magazynie prochu i dynamitu w głębi kopalni. Bez lampki, bez możności zapalenia fajki lub papierosa, unieruchomiony przy drzwiach magazynu, zamkniętego na kilka kłódek, na nizkiej ławeczce, wykutej w ścianie, w ciemności wiecznej, którą rozjaśniała tylko malutka kolorowa lampka, umieszczona wysoko nade drzwiami od chodnika,

lub nagłe przejście czynnych górników, siedział tak po dwanaście godzin na dobę przez lat ośmnaście. Zesztywniały mu nogi w zgięciach, pochylił się kark od niewygodnej ławki, zwęziły się oczy z braku światła, wyżółkł cały w tym głębokim cieniu, policzki wypełniły się chorobliwym tłuszczem więźniów długoletnich, zbielały mu włosy i broda, drżał z chłodu i wilgoci, przykuty obowiązkiem do przestrzeni czterometrowej, którą wolno mu było opuszczać tylko na dwanaście godzin na dobę. Już nie na wiosny, pory roku, lub ilość lat liczył swe życie, ale na cyfry ilości prochu i dynamitu. Każdy nowy transport wybuchowych materyałów, każde sprawdzenie zawartości magazynu, były etapami jego życia.

Zatrzymał wagonik, rozpytując się ciekawie, jako weteran, o szczegóły katastrofy. Pochwycił lampkę, z uśmiechem zadowolenia poprawił płomień i okiem znawcy patrzył na rany. Potrząsnął siwą głową.

— Cóż, ojcze Walenty, wydobrzeje on? — pytał Maciej Bibiela, starszy górnik, który służył niegdyś za pachołka pod rozkazami Walentego Kuraka.

Zagadnięty nie odpowiedział wprost, lecz, zwracając małe, zmrużone oczy na górników, rzekł:

— Że też takiego dobrego chłopa nie ostrzegł Skarbnik...

— Pukał-ci on, i wyraźnie, słyszeliśmy wszyscy —

odezwał się Wincenty. — Cóż, kiedy nie odskoczył póki czas pod ścianę.

— W tem i bieda cała — rzekł Walenty. — O! bo Skarbnik to jest dobry, ale i mściwy dla nieposłuchania. Nie zgniótł go na śmierć, bo pożałował może jego drobiazgu, a może Św. Barbara miecz swój podstawiła i skała się obsunęła bez wielkiej szkody, ale zawsze nie darował swego.

— Macie chyba racyę, ojcze Walenty — zaużył Maciej — bo ów-ci Adam kpinkował z węgla, że powiozą go hań do szybu, że w słoneczku się przejrzy...

— O to źle! Tego Skarbnik nie lubi, daje ci on węgiel, ale w pobożności, po dobroci, co jego łaska — mówił Walenty. — Adam zbereził, a Skarbnik go pac. On zawsze taki, żartu z nim nie ma!

Z głębi chodnika począł dolatywać turkot wagoników, a wkrótce odezwał się głos:

— Pozór! Pozór!

Górnicy z chorym ruszyli dalej. Niosąc rannego po pochylniach stromych, wioząc po chodnikach, nasłuchując cichych jęków przy zmianie wózków i układaniu go dotarli wreszcie do podszybia.

Tu rytmicznie podnosiły się i spadały szale piętrowe, trzymane na stalowych linach, poruszane parą. Tym szybem wlewała się i odpływała fala górników i całej armii szleprów, obejmująca wszystkich podziemnych robotników. Tą drogą wylewała się rzeka zdobytego węgla, regulowana przez dopychaczy i odpychaczy. Pierwsi wtaczali z automa-

tyczną dokładnością i szybkością pełne wagoniki; drudzy odbierali wagoniki wypróżnione, spuszczane z góry. Wymiana odbywała się w milczeniu, automatycznie, spokojnie. Dwa uderzenia dzwonka elektrycznego oznaczały węgiel, cztery uderzenia uprzedzały o zjeździe lub wyjeździe ludzi na szalach.

Gdy przewieziono Adama w wagoniku, dopychacze zaledwie rzucili okiem, pochłonięci swą maszynową robotą, wygłaszając niemal bezwiednie formułkę górniczą: „Szczęść Boże“. Tu bowiem niema żadnych myśli, żadnych uczuć, żadnych wzruszeń, żadnych ruchów, prócz celowych, ściśle określonych. Tu rozkazuje komenda surowa, bezwzględna, nieubłagana i niepowstrzymana ślepej siły olbrzymiej maszyny. Jeden ruch zbyteczny, jedno nachylenie głowy, wysunięcie ręki, nieopatrzne oparcie, zwolnienie w robocie ustawienia i odsunięcia wagoników, a nieszczęście gotowe. Tam pod ciemnem, skalistem sklepieniem, nieszczęście rozpostarło swe czarne, krwią splamione skrzydła, ważąc się w pylistej atmosferze. Nie odstrasza go białe światło lamp elektrycznych, stukot wagoników, rżenie koni, przyciągających całe pociągi węgla, nawoływania koniarzy, hamowaczy, ciskaczy, ciągarzy, rozpychaczy. Ono spoziera nieustannie i niestrudzenie okiem chciwem i badawczem na ludzi, śledząc każde zachwianie się ich równowagi pomiędzy jednem a drugiem uderzeniem dzwonka, by wypaść i zgnieść życie ludzkie.

Wagonik z Adamem czekał swej kolei. Tuż za nim gniady koń dociągał z wysiłkiem pociąg węgla i oparł się prawie piersiami o tył wagonika z rannym. Zaciekawione zwierzę pochyliło się nad Adamem, wąchało kolejno ubranie, aż trafiło na mięśnie odarte ze skóry, ociekłe krwią, pokryte skrzepami, zmieszanymi z węglem. Koń zadrżał, odsunął się nagłym ruchem w bok i opuścił łeb, patrząc z przerażeniem na bezwładnego górnika.

Dopychacz dotknął dzwonka cztery razy, wagonik wsunięto na szalę, obstąpili go koledzy z roboty i szala, zachwiawszy się, poczęła iść szybko w górę.

Wokoło jadących były deski szybu, nad nimi i pod nimi deski szali. Żółte światło trzech lampek rzucało na twarz rannego blaski dziwne, podobne do światła gromnicy. Wojciech Szpałek, najmłodszy górnik, z lekkiem drżeniem w głosie szepnął do towarzyszy:

— Widzi mi się, że w trumnie siedzim.

— O, tam chyba ciemniej — odezwał się młody ładowacz, Jan Lach.

— Cicho tam! — krzyknął rozdrażniony Maciej.

Już dosięgali powierzchni. Odpychacze porwali wózek i, mruknąwszy: „Szczęść Boże!“ rzucili zapytanie:

— Żyw?

— Może — odparł Wincenty.

Oczekując na wagoniki z węglem, stali w pogotowiu robotnicy w powierzchni, by je przesuwać

do sortyrówek. Przeważnie pracowały tu kobiety i młodzi chłopcy. Gdy spostrzeżono wagonik z Adamem, ciekawe kobiety zajrzały i głośnym okrzykiem: „Matko Przenajświętsza! Trup!“ zwróciły uwagę innych. W olbrzymiej hali, wśród łoskotu węgli, dzwonków, stukotu wozów, świstu i poryku maszyn, zgrzytu kół i łańcuchów, rozległy się jęki i piski kobiet. Dopiero surowy głos dozorcy, ostry, głośny, uciszył wrzawę.

Wkrótce zjawił się felczer i odebrał rannego od zmęczonych towarzyszy, którzy spiesznie skierowali się do domu zbornego, by zawiadomić sztygara i zarząd o wypadku, zdać rachunek z dzisiejszej szychty i odpowiadać osobiście przy czytaniu listy nazwisk robotników, wychodzących z kopalni.

III.

Poranek jesienny był chmurny. Budynki bliższe i dalsze otuliła mgła wespół z dymem, ścielącym się po ziemi. Tumany ciężkie przewalały się leniwie, jak gdyby zmęczone nocną pracą, ubezwładnione ciężarem własnym, uśpione spóźnionym świtem. Od czasu do czasu poruszały swe potworne, zadymione cielska, objęły olbrzymimi skrętami wystający budynek i zanurzały go w swych głębiach tajemniczych. A w szybie maszyny huczały, gwizdały, wyły, chrzęszczały, sortownie z łoskotem głuchym gatunkowały węgiel, wagony stukały, turkotały, piszczały, uderzały o siebie i wszyst-

kie te odgłosy łowiła poczerniała mgła, wciągała w siebie i, przerobiwszy je na groźny pomruk, tępo przesyłała gdzieś dalszym mgłom, rozesłanym w okolicy. Niekiedy otwierały się drzwi palenisk. Czerwony odblask przebił mgłę, zamajaczyły czarne sylwetki robotników, zarysowały się kontury budynku i wnet wszystko znikło w szarym kolorycie mgły, jak gorączkowe widziadło. Dom zborny robotników kopalni „Jonasza“, murowany, parterowy, długi i niekształtny, przygnieciony wysokimi kominami i budynkami szybu, stał opodal jak przytulony, wielki robak czarny, nasycony aż do wstrętu, aż do obrzękłości, aż do unieruchomienia.

Dwa jasno oświetlone okna zdawały się być oczami mrugającemi, a dalsza część budynku ginęła w ciemnej mgle, zaznaczając się wyraźniej od czasu do czasu przy podmuchu wiatru.

Gdy Maciej z towarzyszami zbliżyli się, wysunęła się przeze drzwi gromadka robotników, rozdzieliła na grupy i wkrótce zniknęła we mgle.

Pierwszy wszedł Maciej i z progu zawołał: „Szczęść Boże!“ W sali wielkiej, podłużnej, belkowanej, słabo oświetlonej wiszącą lampą, znajdowało się w głębi kilkunastu robotników, oddzielonych od sztygara i trzech urzędników drewnianą baryerą.

Lampa, stojąca za baryerą, rzucała jasne promienie na długi stół, zarzucony papierami, i na siedzących urzędników. Sztygar poznawszy po głosie Macieja Bibielę, po pozdrowieniu krzyknął do-

nośnym głosem, zastosowanym do podziemnych chodników i pieczar:

— Wleczesz się, jak koń podbity, już ja was podpędzę... Gadaj!

Maciej zbliżył się zwolna w krąg światła lampy stojącej, wyprostował się i rzekł:

— Stało się nieszczęście, panie sztygar! — Na ten głos urzędnicy i sztygar spojrzeli na Macieja. Twarz jego opylona, czarna, świeciła żółtawem czołem, na którem przylepiły się kosmyki włosów. Na rękawach widniały skrzepy krwi, przyklejone przy dotykaniu Adama, a przód bluzy rudział od plam krwawych.

— Mów — rzekł zdławionym głosem sztygar. Pochylił naprzód pół korpusu wielkiego, patrzał przenikliwie wypukłemi, jasnemi oczami i ręką wielką, grubą, ciężką, tarł gęsty, twardy, ciemny zarost twarzy szerokiej o wydatnych szczękach i chmurnem czole.

— Tylko co zbieraliśmy się iść, czekając w „Prokopie“ na Adama, gdy w przodku urwała się góra i przytłukła go, skruszywszy drabinę.

— Żyje? — zapytał z głuchym gniewem.

— Gdyśmy wieźli i nieśli, jęczał, ale nieprzytomny. Oddaliśmy go felczerowi.

Jeden z urzędników, młody brunet z czarnymi wąsikami, nierówną brodą, błysnął oczyma ku sztygarowi i, uśmiechając się, rzekł po niemiecku:

— Dyabli wzięli dziesięć rubli.

— Takie już moje szczęście! — odpowiedział

sztygar w tymże języku, wyciągając sobie palce ze stawów. — W tym roku przez trzy miesiące omijały mnie one. Już, już mam je dostać i zawsze ktoś kark skręci.

Maciej Bibiela rozumiał ten język, ale nie zdradził się żadnym ruchem. Wysoki, dobrze zbudowany, lekko pochylony, stał cicho i poważnie. Sztygar spojrzał na niego i rzekł:

— Reszta twego numeru jest?

— Jest, panie sztygar.

— Będziesz odpowiadał teraz do protokułu.

— Dobrze, panie sztygar.

Młody brunecik, urzędnik, przygładził białą ręką upomadowane włosy, podkręcił wąsika, spróbował pióra, otworzył książkę, zapalił papierosa cienkiego i czekał. Sztygar zaczął mówić:

— Numer 26, złożony ze starszego górnika, Macieja Bibieli, z górników: Wincentego Bielunia, Adama Grotka i Wojciecha Szpałka; z ładowacza jednego, Jana Lacha — tu skinął na wymienionych — pracował na nocnej szychcie w przodku chodnika „Prokopa“. Po mojej wizytacyi o godzinie 1 minut 30 z rana zaszedł następujący wypadek.

Nastąpiły szczegółowe pytania, badanie świadków, podpisy.

Po skończonej formalności, rzekł sztygar:

— Bibiela! na nocną szychtę potrzeba ci górnika do roboty.

— Tak jest, panie sztygar.

— Zgłosił się tu do nas nowy ze Szląska — odezwał się jeden z urzędników.

— A gdzież on?

Urzędnik przejrzał książkę i zawołał:

— Władysław Pakosz!

— Jest! — odpowiedział z głębi mrocznej sali dźwięczny głos.

— Pójdź sam! — krzyknął sztygar.

Wysmukły młody człowiek zbliżył się do lampy. Twarz miał świeżą, zarumienioną wzruszeniem; usta czerwone, wydatne ocieniał mały wąs; oczy ciemno-niebieskie patrzyły śmiało. Sztygar okiem znawcy badał wzrost, ruchy i siłę młodego człowieka. Dotknął się mięśni rąk, spojrzał na nogi i mruknął zcicha: Ujdzie.

Zaczęła się indagacya:

— Świadectwo doktora? — zapytał sztygar, studyując nowego robotnika.

— Oddałem.

— Pasport?

— Oddałem.

— Skąd?

— Ze Szląska.

— Nazywasz się?

— Władysław Pakosz.

— Gdzie byłeś?

— W Laura-hütte za górnika.

— Świadectwo?

— Złożone.

— Dlaczego przyszedłeś?

— Chciałem świat poznać.

Sztygar, zwracając się do Macieja, rzekł:

— Może się i uda.

— Wedle rozkazu pana sztygara — odpowiedział Maciej.

— Prawo znasz? — zapytał znów młodego.

— Znam.

— Czytasz?

— I czytam i piszę — odpowiedział z uśmiechem zadowolenia.

— Masz tam przybite na ścianie prawo, przeczytaj. Siedm dni próby, a potem zobaczymy, od dziś należysz do numeru 26. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, panie sztygar.

— Możesz iść.

Władysław skłonił się nizko, dotykając ziemi kapeluszem, w ręku trzymanym, i cofnął się w głąb.

Sztygar zwrócił się do Macieja:

— Pójdziesz ze mną do pana nadsztygara i pana zawiadowcy.

Poszukał kapelusza i laski, pożegnał urzędników i ze słowami: Szczęść Boże! opuścił dom zborny.

IV.

Stukając ciężkimi butami, wyszli z sali Wincenty, Wojciech i Jan, za nimi zaś Władysław Pakosz, zaliczony do ich numeru 26. W powietrzu było już czuć słońce, jakkolwiek żaden promień nie przebił gęstej mgły, odrywającej się zwolna od

ziemi. Wysokie budynki i kominy otulała jeszcze mgła, czepiając się dachów, szczytowych okien, zwieszając się nad ziemią łachmanami wiotkimi, które zwolna niknęły.

Huk maszyn, stukot młotów, gwizd lokomotyw słychać było wyraźniej.

Pakosz spojrzał podejrzliwie na przyszłych kolegów, którzy ciężko idąc, jak gdyby z ciężarem, kierowali się ku mieszkalnym domom, odległym o jakie pięćset metrów od zabudowań fabrycznych. Zawahał się chwilę i, zwracając się do wszystkich, rzekł z silnym górnoszląskim, akcentem:

— Kiedym już zaliczony do numeru 26, należy się litkup towarzyszom... Taki u nas obyczaj.

Wojciech i Jan spojrzeli na Wincentego, czekając odpowiedzi.

— I u nas to prawo, ale wypada zaczekać na starszego — odpowiedział zwolna.

— Starszy? Czy to oberhajer?

— U nas mówią starszy górnik, albo nadgórnik, jak kto chce, a u was oberhajer — objaśniał Wincenty, opierając się na hełmisku, jak na lasce. — W numerze 26 jest nim Maciej Bibiela.

— A kiedy on wróci? — zapytał Pakosz.

— Jak wróci, to ci się nie pokłoni — odpowiedział z ironią. — Musisz pójść i poprosić na litkup, taki nasz obyczaj.

Zmieszał się Pakosz, uśmiechnęli się Wojtek i Jan, zadowoleni z obrony honoru swego starszego górnika.

— Ja to znam — przemówił wreszcie Pakosz — ale nim on przyjdzie, możemy osobno wypić.

Wincenty zwolna wyjął zegarek, spojrzał i rzekł:

— Jest ósma, kobieta mnie czeka ze śniadaniem... Umyć się trzeba, bo krew nam przylgła i musimy uwiadomić Adamową, co z jej mężem się stało.

— Z nieszczęściem niema się co śpieszyć — doradzał Pakosz.

— Może tam u was, ale u nas towarzysze muszą iść do żony. Pracowaliśmy razem, cieszyli się i bawili, to i cierpmy razem.

— Prawdę mówicie, Wincenty — odezwał się Wojtek — od swego niech wie, co sprawiedliwość.

— To chodźmy — przemówił Jan Lach.

Obaj górnicy spojrzeli z lekceważeniem na Jana i po krótkiej chwili Wincenty, marszcząc brwi, rzekł:

— Gdzie głowa radzi, ogon milczy. To nasza górnicka sprawa, będziesz gadał przy szleprach o szleprach.

Jan spuścił głowę i milczał. Szli dalej bitą drogą, znacząc w płytkiem błocie ślady swych wielkich butów. Z lewej strony drogi, głębokim rowem spływała żółta woda, pompowana z kopalni, i w ciężkiem, cichem powietrzu unosiła się woń jodo-bromowa, zmieszana z amoniakiem odpadków poblizkich budynków, ciągnących się po prawej i lewej stronie. W oddali, na drodze, naprzeciw

idących górników, zarysowały się wyraźnie postaci kilku mężczyzn, którzy z bocznej drogi weszli na główną.

Spojrzeli górnicy bacznie i Wojtek tonem głębokiej pogardy w głosie warknął:

— Idą smolipyski!

— Tak, to oni, psiekrwie — rzekł Wincenty — nie ustępować im ani na krok.

— To się wie! — zawołał Jan dumnie.

Pakosz spojrzał na towarzyszy, na nadchodzących, i, zwracając się do Wojtka, zapytał:

— Kto oni — pokazując palcem na grupę pięciu ludzi.

— To smolipyski! hutniki przeklęte. Trzymaj się boku naszego, bo zaraz pchną nożem.

— Mam ci i ja siłę i moc w ręku — odpowiedział Pakosz, zaciskając ręce w pięście — niech spróbują!

Środek drogi, nieco podwyższony, był względnie suchy, po obu bokach nagromadziło się błota więcej. Górnicy jeden obok drugiego szli środkiem, ściskając oskardy, gotowi w każdej chwili do bójki. Jakkolwiek w mniejszości, gdyż hutników, idących do poblizkiej huty cynkowej, było pięciu, górowali górnicy, uzbrojeni w oskardy. Gdy się zbliżyli o trzy kroki, krzyknął gorętszy Wojtek:

— Na bok smolipyski!

— Na bok krety! — odwrzasnęli hutnicy, szeregując się obok, i przystanęli. Zatrzymali się i górnicy na chwilkę, rozpatrując teren. Ale Wojtek,

podniecony dwunastogodzinną pracą, nieszczęściem Adama, obecnością nieznanego mu Pakosza, poskoczył naprzód pierwszy z podniesionym oskardem w ręku.

— Wymiotę ja was, pierońskie śmiecie!

W rękach dwóch hutników starszych zabłysły noże, ale impet Wojtka, za którym tuż szli trzej górnicy, był tak nagły, oskard tak silnie zafurczał w powietrzu, że hutnicy rozstąpili się i górnicy przeszli środkiem drogi. Uszedłszy kilka kroków, obie partje przystanęły i tryumfujący Wojtek wykrzyknął:

— A co? wy, spolipyski! skwarki wysuszone! do błota wleźliście, jak świnie!

Hutnicy nie zostali dłużni.

— Krety wściekłe! Glisty wymokłe! Moczyogony głupie! Przyjdźcie się ogrzać do nas, wy, nędzarze!

To obruszyło górników i Wincenty wrzasnął:

— Pozdychalibyście z głodu, gnaty cynkowe, bez naszego węgla, wy, pierońskie nasienie!

— Krety ślepe! psy obmokłe! wy na nas, na panów naszych, musicie pracować!

Walka na języki byłaby się długo jeszcze przeciągnęła, gdyby hutnicy nie byli zmuszeni stawić się do huty w czasie oznaczonym. Poszli, lecz jeszcze zdala odkrzykiwali z pogardą w głosie:

— Krety!

Bolesne to dla górników przezwisko dawano im z powodu ich podziemnej pracy. To też ostatni wyraz górników zabrzmiał:

— Smolipyski pierońskie! — złośliwy i upokarzający przydomek hutników, zmuszonych stać po całych dniach przy piecu.

Głęboka, nieprzejednana, niemal żywiołowa wzajemna nienawiść pomiędzy górnikami i hutnikami sięga tak głęboko, że posiadają oddzielne szynki, oddzielne miejsca zabaw, oddzielnych patronów, a związki małżeńskie uważane są między nimi za niemożliwe.

Krzyki wywabiły mieszkańców sąsiednich domów do okien, otwieranych z hałasem. Górniczki pomagały górnikom piskliwem głosem zachęty, a pogardy dla hutników. Domy mieszkalne murowane, jednopiętrowe, nietynkowane, nagie, bez drzew i roślinności, pokryte czarną blachą, nosiły cechę chwilowego pobytu mieszkańców, posępność życia bez pewnego jutra, smutek wyjazdu w nieznane strony, w nieznaną przyszłość, w nieznanej chwili.

Na mętną, żółtą wodę, na czarną, zabłoconą drogę patrzyły okna mieszkań. Szesnaście na pierwszem piętrze, szesnaście na parterze, sześć u szczytu frontowego. Taki dom zamieszkuje 38 rodzin familijnych. Liczba jednostek zmienia się często: ten umrze, ów się narodzi, ten ożeni syna lub weźmie zięcia, a biedniejsi przyjmują licznych lokatorów, tak zwanych kwaterników. Do jednego z tych domów weszli górnicy numeru 26. Na wązkiem podwórku błąkały się nieliczne kury, żerowały w pomyjach wylanych kaczki, odzywały się pomruki

i kwiczenia świń, zamkniętych w komórkach, mieszczących się w budynku drewnianym, długim, równoległym do domu mieszkalnego. I tu, podobnie jak w ludzkiej siedzibie, były komórki oddzielne, w których się mieścił żywy inwentarz, jak: kury, świnie, kaczki, kozy i gęsi. Każda z nich, zamknięta na kłódkę, tworzyła oddzielne gospodarstwo kobiece. Po trzech kamiennych schodach weszli górnicy do sieni. Szleper, Jan, na pierwszym schodzie zawahał się, czy iść dalej, ale szedł, oglądając się niepewnie. Wincenty Bieluń spojrzał i, patrząc na szlepra, rzekł:

— Czy i ty z wizytą? Idź wpierw się umyj i ubierz, bo to familia nie bylejaka.

Jan znikł szybko. Trzej górnicy szli na pierwsze piętro po stromych, wązkich, drewnianych schodach. W sieni, na górze, walały się śmiecie, obierzyny z kartofli i jarzyn, pierze kur, z boku przy ścianie stała zamknięta skrzynia, zbita z nieheblowanych desek. Do drzwi, oznaczonych numerem 18, zapukał Wincenty i, nie czekając odpowiedzi, wszedł ze słowami: Szczęść Boże.

Na środku izby, w wygorsowanej koszuli, w spódnicy perkalowej stała nizka, niemłoda kobieta, nieuczesana, trzymając w ręku garnuszek. Zobaczywszy obcych, krzyknęła piskliwie:

— Och, och! — i mówiąc: Szczęść Boże! zniknęła we drzwiach po prawej ręce w ścianie wprost okna leżących.

Dwoje starszych dzieciaków, nawpół ubranych,

z przytłumionym krzykiem wsunęło się pod pierzynę. Najmłodsze, dwuletnie, z pomrukiem wsunęło się szybko pod łóżko.

Trzej górnicy stali na środku, przypatrując się izbie, oświetlonej jednem oknem od podwórza. W rogu ściany, na lewo od wejściowych drzwi pod okapem, była kuchnia angielska, na której warzyła się w tej chwili strawa. Od kuchni pod ścianą przeciwległą oknu, stał tapczan z siennikiem, kocem i małą poduszką, dalej były drzwi, prowadzące do drugiego pokoju. Przy ścianie, przeciwległej drzwiom wchodowym, stały dwa wielkie łóżka, z pościelą rozrzuconą, a między niemi szafa biała, sosnowa, oszklona w górze, gdzie bieliły się na półkach talerze, kubki, garnuszki ozdobne, szklanki i miseczki.

Nad łóżkami i tapczanem wisiał liczny i różnobarwny zbiór obrazków większych i mniejszych w ciemnych ramach. Zaszczytne środkowe miejsce nad tapczanem i nad jednem łóżkiem zajmował obraz Św. Barbary, patronki i opiekunki górników. Wokoło wieńcem były przybite obrazy męki Pana Jezusa, Matki Boskiej i innych świętych. Nad drugiem łóżkiem wisiała w środku Matka Boska Częstochowska, pod nią fotografia, a z prawego i lewego boku inne święte patronki.

W izbie był nieład rannego wstania, nocnych pyłów, kolacyjnych resztek, zapach mdły cykoryi, zaduch ciężki wyziewów ciała i parowania brudnej wilgoci.

Wkrótce wyszła gospodyni mieszkania w kaftaniku perkalowym, spłowiałym, spiętym na piersiach szpilką i z uśmiechem przyjaznym, z twarzą pełną, lekko zarumienioną, patrząc błyszczącemi ze snu niebieskiemi oczyma, zwróciła się ku górnikom:

— Panie Wincenty, siadajcie, proszę... A gdzież to Adam podziewa się tak długo?

Górnicy milczeli, z oczyma spuszczonemi, mnąc kapelusze w ręku.

— Matko Przenajświętsza, czegoż tak stoicie?! Wojtku, wszak ty mój pokrewny, gadaj mi zaraz... O ja nieszczęśliwa — zawołała ze łzami — cóż to, oniemieliście wszyscy?

Wincenty spojrzał poważnie i rzekł:

— Uspokójcie się, pani Grotkowa, wielkiego nic nie ma, tylko że waszego...

— O Boże miłosierny! — wrzasnęła kobieta — Panno Częstochowska! wszyscy święci pańscy! Cóż ja biedna sierota zawiniłam, że tak mnie ciężko Pan Bóg doświadcza!? O, biednaż ja, biedna! Biedneż wy, sierotki moje — zawodziła wśród łez.

Dzieci przy pierwszym okrzyku matki wysunęły głowy z pod pierzyny i przerażone patrzyły na matkę; usłyszawszy jej jęki, uderzyły w płacz. Najmłodsze zawodziło najgłośniej pod łóżkiem.

Równocześnie otworzyły się drzwi od drugiego pokoju frontowego i w nich stanęła młoda, ładna dziewczyna, lat może osiemnastu, wysoka, smukła, w obcisłym kaftaniku, i patrzała, zdumiona i prze-

rażona, wielkiemi piwnemi oczyma, na matkę i na gości. Jedną ręką białą, kształtną, trzymała czarną klamkę drzwi, drugą oparła o ciemną futrynę. Nie krzyczała, nie płakała, tylko zacisnęła silnie ponsowe usta i, nachyliwszy głowę z bujnymi, ciemnymi włosami, przysłuchiwała się w milczeniu.

— Co tu płacz i jęki pomogą? — przerwał surowo Wincenty. — Potłukło waszego, da Bóg, zlepszeje i koniec.

Żona ocierała rzęsiste łzy, dzieci wrzeszczały. Wśród łkań i jęków zapytała:

— Wojtku, gadaj mi prawdę, żyjeż on jeszcze?

— Felczer wziął go żywym i powiózł do szpitala.

— Do szpitala! — zaczęła znów zawodzić żona.

W tej chwili zbliżyła się córka najstarsza i, zrobiwszy ruch ręką, uciszający dzieci, mówiła:

— Cicho tam, dzieci! Powiedz mi prawdę, Wojtku, co z ojcem?

— Zwaliła się góra w przodku, otarło mu pół głowy i cały bok.

— O ja biedna sierota! — jęczała Adamowa.

— Ale ręce całe i nogi też, — dorzucił Wincenty.

— I czemuż to na niego padło, na ojca tego drobiazgu, na mnie nieszczęśliwą... Uciekliście wy w sam czas, tylko on za was wszystkich odpokutował, — żaliła się żona.

— Głupie gadanie! — obruszył się Wincenty. — Żeby usłuchał, byłby cały i zdrowy, wołał go star-

szy, pukał Skarbnik, czekaliśmy na niego w „Prokopie“ wszyscy — ale na upartego lekarstwa niema.

— A gdzież jego torba? — zapytała.

— Pewno tam została.

— Gdzież blaszanka do kawy?

— Ho, ho, pewnikiem rozbita — rzekł Wojciech.

— No, a oskard, gdzie oskard na nowem hełmisku? — pytała gniewna, patrząc podejrzliwie na towarzyszy męża.

— My go tam nie widzieli — odpowiedział Wincenty.

Kobieta poczęła zawodzić i jęczeć głośniej, mówiąc wśród łkań:

— O mój mężu kochany, powieźli cię do szpitala.... Cóż ja biedna pocznę z tym drobiazgiem? Czemże zapracujesz na chleb, gdy niema nic, ani torby, ani blaszanki, ani lampki, ni oskarda!

W czasie tych narzekań Pakosz, jako Szlązak obcy w kopalni i w rodzinie, patrzał i słuchał obojętnie, dopiero ukazanie się młodej dziewczyny zajęło go. Oczu z niej nie spuszczał. Jej wzrost, kształtna figura, jej spokój i pewne wydelikatnienie form i ciała pod wpływem zajęcia się szyciem sukni i strojów, powaga w ruchach odbijały wyróżniająco wobec gwałtownych narzekań matki, płaczu brudnych dzieci, wśród tej izby dusznej z czarnymi górnikami. Szukał jej oczu i spotkał się z jej wzrokiem. Oczy jego błyszczały, ona spojrzała zdziwiona, a widząc go po raz pierwszy, spu-

ściła oczy zarumieniona. Kątami oczu badała izbę; rozrzucone łóżka, szafliki pełne pomyj, śmiecie i brud niemile ją dotknęły. Zaledwie dostrzegalnie podniosła powieki, by popatrzeć na obcego, gdy uderzył ją wyraz jego oczu, mówiących niedwuznacznie o wrażeniu, jakie sprawiła.

Płacz i jęki Adamowej sprowadziły sąsiadki bliższe z tej samej sieni. Cośkolwiek usłyszały, więcej się domyśliły i wybuchnęły płaczem i radami.

— Cicho! — krzyknął zniecierpliwiony Wincenty. — Adamowi należy się za sześć szycht i wypłacą, kasa braterska pomoże, kwaternicy się znajdą i jakoś to będzie.

— O mój Boże! mój Boże! Z tej wypłaty miał dług zapłacić i w sklepie winnam i w karczmie się wzięło, skądże ja biedna wezmę?

— Dziewuchę dajcie na powierzchnię — radził Wincenty — zarobi zawsze, a i kwaternicy dadzą trochę grosza.

— Gdzież jej do węgla? — oburzyła się matka. — Na maszynie szyje i zarabia na siebie. Ot, dajcie mi kwaternika dobrego.

— Jest i kwaternik — zawołał Pakosz, robiąc krok naprzód.

— Kto to? co za jeden? — szeptały kobiety.

— Ot, widzicie, dobrych Bóg nie opuszcza — odezwał się Wincenty. — To świeży górnik, przyjęty na miejsce waszego.

Dziewczyna zarumieniona, zwróciła się do ro-

dzeństwa, które zamorusane bekiem, zmęczone płaczem, siedziało cicho.

— No, bywajcie zdrowi — zawołał Wincenty, kierując się z Wojtkiem ku drzwiom.

Pakosz spojrzał na zegarek i rzekł:

— Za godzinę czekam towarzyszy w restauracyi „Pod gołębiem".

— Przyjdziem... Szczęść Boże!

Razem z nimi wyszły i sąsiadki, rade podzielić się z innemi ciekawą wiadomością. Został tylko Pakosz z rodziną Grotka.

Adamowa wkrótce osuszyła łzy, otarła nos głośno fartuszkiem i zwróciła się do górnika:

— A jak panu?

— Władysław Pakosz, górnik ze Szlązka — odpowiedział, szukając oczyma dziewczyny, która, ocierając zapłakane dzieci, posunęła się ku oknu.

— Cóż tam tak źle, że pan aż do nas przyszedł.

— Źleby nie było, zarabiałem po dwie marki i więcej, ale w domu kłopot, to i poszedłem — odpowiedział szląskim akcentem, który wywołał lekki uśmiech na twarz dziewczyny.

— Kłopot? a jaki? — pytała zaciekawiona. Siadajże pan, jak u siebie, ot na tapczanie. Co za kłopot w domu dla kawalera?

Pakosz usiadł, wyjął papierosa z kieszeni marynarki siwej, zapalił i rzekł:

— Byłem już górnikiem, w domu był ład i spokój. Ojciec dobry, siostry obie poszły zamąż, tylko

brat i ja zostaliśmy w stancyi. Przyszła kobieta i niewytrzymanie ludzkie z nią było; plunąłem na wszystko i w świat.

— Jaka kobieta? a gdzież matka?

— Matka dwa lata temu zmarła, a ojciec wziął przybłędę, ewangieliczkę, do gospodarstwa.

— A pan katolik? Ona ślubnaż?

— Ja katolik z dziada pradziada, to też ksiądz dobrodziej ślubu staremu nie chciał dać i siedzą na wiarę. Dokuczliwa i chytra kobieta.

— Dziwno, że też staremu, mającemu dorosłe dzieci, zachciało się jeszcze?

— Brat u szwagra, a ja przyszedłem tutaj do kopalni.

Adamowa spojrzała na mówiącego, ubranego odświętnie w szarą marynarkę, ciemne spodnie, watowany paltot i, kręcąc głową, rzekła:

— O! u nas ciężka praca i drożyzna wielka!

— Pracować zawsze trzeba, na to się człowiek urodził, a zawsze tu lepiej, aniżeli między Niemcami. Tam, co słowo, usłyszysz: *„Schweinskerl“*, *„polnischer Hund“*, *„verfluchter Wasserpolack“*, a tu, choć i klnie, to po naszemu.

— Nie braknie ci Niemców i u nas — mówiła kobieta, podchodząc do kuchni, na której wrzała woda i, zwracając się do córki, zawołała: — Paulisiu, podajno kaszy gryczanej z szafy. A może i pan zje z nami, co Bóg dał?

— Śpieszno mi do restauracyi, towarzysze czekają. Jakże będzie z moją kwaterą?

— Za łóżko z pościelą dasz pan 2 ruble, to jak bułka za grosz. Co do wiktu inna rzecz.

— Gdzież to łóżko?

— Ot przed oczyma, pierwsze od okna.

— Któż tam sypiał?

— Sypia tam szleper z dziennej szychty, a pan ma nocną.

Pakosz, chcąc się wywyższyć w oczach dziewczyny, mówił z uśmiechem dumy:

— Ja tam nawykły mieć własne łóżko, bez podziału i cichy kąt mieć muszę na dzień.

— Hm... hm... Hej, Paulisiu, a prowadź pana do drugiej stancyi, tam jest także łóżko, ale już droższe — kończyła Adamowa, widząc możność wyzyskania Szlązaka.

Drugi pokój, znacznie mniejszy, posiadał prócz łóżka stolik, trzy krzesła, szafę olchową, komódkę jesionową, na której stała maszyna do szycia.

Paulina podeszła do okna, udając wielce zajętą widokiem pustej drogi. Pakosz stał bezradny na środku, wreszcie zapytał:

— A któż tu sypia?

— Ja — odpowiedziała cichutko.

— To ja pannie nie będę przeszkadzał — zawołał gorąco — już tam się prześpię w pierwszej izbie.

— Kiedy-bo pan nie chce zmiennego łóżka — i popatrzyła mu w oczy.

— I na Madejowem zasnę — rzekł porywczo.

Na te słowa weszła Adamowa.

— Cóż, czy i to niedogodne?

— Ustępuję dla panny, podzielę się ze szleprem, kiedy inaczej trudno.

Matka uśmiechnęła się tryumfująco.

— W pierwszej izbie przez dzień hałas, bierz pan to łóżko. Nocą Paulisia i tak spać tu będzie. Ale doda pan na pranie powłoczek i korzec węgla.

— Zgoda, tylko kawę moją ugotuje mi pani zawsze na szychtę — mówił, wyciągając zadatek — daję rubla i kuferek przyniosę, a teraz bądźcie państwo zdrowi, Panu Bogu polecam. Szczęść Boże!

Gdy Pakosz wyszedł, matka zwróciła się do córki:

— Pokochał się w tobie od razu.

— E, taki Prusak! — odpowiedziała, wzruszając lekceważąco ramionami.

Po chwili drzwi się otworzyły, wszedł Pakosz i zapytał:

— A gdzie mieszka oberhajer numer 26?

— Starszy, Maciej Bibiela, mieszka w drugim domu pod numerem 20. A pocóż do niego? — zapytała podejrzliwie kobieta.

— Poproszę go na litkup.

— Ostrożnie tylko z sercem, bo ładne ma córki — uśmiechnęła się Adamowa.

— Nie straszno mi — zaśmiał się Pakosz — poznałem najładniejszą.

— Chociaż Szlązak, jednak grzeczny — odezwała się po jego wyjściu matka.

— Tak sobie — szepnęła w odpowiedzi córka, patrząc w lusterko.

V.

Maciej i trzej górnicy prawie równocześnie weszli do szynku, zatytułowanego restauracyą. Pierwszy pokój mały przedzielony był na dwie części drewnianą balustradą. Z jednej strony goście, z drugiej była lada z wyszynkiem piwa i wódki. Za baryerą po lewej stronie, wisiały rozmaitych kształtów kiełbasy: myśliwskie, wędzone, świeże, krakowskie, z czosnkiem lub bez czosnku, siekane i krajane. Pod niemi rzucały się w oczy wielkie niezgrabne salcesony, okrągłe salami, grube szynki. Po prawej na półkach ustawione były flaszki z wódkami i likierami, na samej górze z winem. Młody jeszcze człowiek, z rudą brodą, uśmiechał się uprzejmie do klientów i przy pomocy chłopaka usługiwał gościom.

Przywitawszy znajomych sobie górników, zaproponował dla takiej kompanii osobny stół w sali bocznej, pomalowanej w gałązki niebieskie, z oleodrukami niemieckimi sentymentalnych zajęć wiejskich. Pod oknem, wychodzącem na błotnistą drogę, usiedli czterej górnicy, spoglądając na Pakosza.

Nadbiegł gospodarz i spytał uprzejmie o rozkazy.

— Najpierw wódki, potem kiełbasy z kapustą, a nakoniec piwa — dysponował Pakosz, dotykając

ręką bocznej kieszeni marynarki, by się upewnić, że pugilares ma przy sobie.

Wypiwszy po trzy kieliszki wódki, górnicy zajadali z apetytem kiełbasę.

Gdy pierwsza ochota minęła, spytał Maciej uprzejmie:

— Jakże tam u was na kopalni?

— Ciężko naszemu, bo Niemcy duszą, radziby całą krew wypić.

— A płaca jaka?

— Dwie marki, czasem i więcej na szychtę.

— A praca ciężka?

— Jak w kopalni: bywa taka i siaka.

— Pracowaliście w kamieniu?

— Ho, ho, ile razy! Bywałem i na przodku i przy filarach — chwalił się Pakosz.

— Ileż wam lat?

— Ano 28, chwalić Boga, a w kopalni od maleńkości. Jakże tam u was?

— Teraz na przodku robimy, wczoraj oberwała się nam góra i potłukła Grotka, dziś minę zakładamy.

— A co będzie z górą? — zapytał żywo.

— Widać z was górnika — rzekł Wincenty — góra to grunt, trzeba ją spenetrować dobrze.

— Pójdę ja pierwszy — odezwał się Wojciech.

— Sztygar tam rozkazuje, zobaczymy, kto pierwszy głową nałoży.

— Nie wy, ojcze Macieju, ani Wincenty, bo-

ście dzietni i żonaci, a ja ptak wolny — zaśmiał się Wojtek.

— Pójdę i ja — zawołał Pakosz. — Czy nasz sztygar dobry?

— Niczego człowiek — zaczął zwolna Maciej zajadając chleb — tylko zawzięty i skąpy. Aby mu taniej i więcej węgla dobyć, a pochwalić się przed zarządem, to za rubla poświęci górnika.

— Węszy jak pies, czy tam gdzie górnik odrobinę nie skorzysta — dodał Wincenty.

— I jak pies głupi — zaśmiał się Wojtek — leci za mięsem, a nie widzi kiełbasy.

Była to aluzya do ukrywania prochu przez górników.

— Czy masz tam co? — zapytał Maciej.

— Nie miałbym-ci ja dla Św. Barbarki? — odpowiedział z dumą.

— Dobry z ciebie górnik — zawołał Pakosz — daj pyska, wypijemy *bruderschaft*. Hej gospodarzu! Piwa!

Wypili.

— Wiesz ty Pakosz — zaczął Wojtek — i ty byłbyś niezły, ino naucz się po ludzku gadać. Za dużo mamroczesz, śmiech będzie dziewczętom.

— Przyjdzie i to — odpowiedział Pakosz, trochę chmurny.

— A gdzie wasza kwatera? — zapytał Maciej.

— Najął u Grotka — rzekł Wincenty.

— Kwatera byłaby niezła, bo blizko „Jonasza“, byle tylko kobieta była trochę lepsza.

— Czy zła ona?

— Zła nie jest i Adam chwalił ją sobie, ale śmierdzi jej każda robota, dzieciska rozpuszczone, a nosem komina sięga, taka dumna.

— I z czego? — zdziwił się Pakosz.

— Rodzina Grotków — zaczął Wincenty — to familia. Siedzą od pradziadów w Zagórzu, a ksiądz, urzędnik, czy sołtys w ich rodzie nie nowina!

— To też gdy szleper Franciszek, co u nich kwateruje, oświadczył się o Paulinkę, to choć dziewczyna była mu chętna, matka odmówiła — dorzucił Wojtek — i tam ciągle kłótnia.

— Cóż to za szleper? — zapytał Pakosz.

— Ładowacz, byłby już górnikiem, tylko że nie umie pokłonić się, przypochlebić, hardy chłop — rzekł Wincenty.

— Czy pracuje z nami? — dopytywał się natrętnie Pakosz.

— Na innem polu i w dziennej szychcie — objaśniał Wojtek.

— A ojciec, niby Grotek, byłby oddał córkę?

— Grotek, chłop setny, do rany go przyłóż, lubi towarzyszów — rozczulał się Wincenty pod wpływem napitków — i gdyby nie kpinkował wczoraj, gdyby usłuchał Skarbnika, byłby żyw.

— To i u was jest Skarbnik? — zawołał zdziwiony Szlązak.

— A jest, a u was? — dopytywał się Wincenty.

— Także jest — odpowiedział zamyślony.

— Jakiż on, gadaj! — wołał niecierpliwie Wojtek.

— Dobrze, opowiem, ale jeszcze piwa!

— Ej, ostrożnie, bo szychta czeka — ostrzegał Maciej.

— Mocny mam łeb, nie zaleję go łatwo — rzekł z uśmiechem Pakosz.

Przyniesiono piwo, odpili trochę, Pakosz zapalił papierosa i rozpoczął:

— My z dziada pradziada górnicy i nikt kopalni tak nie zna, jako my. Dziad mój opowiadał taką historyę. Był-ci dawno, dawno, wielki pan, może król. Miał cały Szląsk dokoła, miał żonę i córkę i był szczęśliwy, ale go opętało bogactwo. Przemyśliwał dzień i noc, aby więcej srebra, więcej drogocenności, więcej złota uzbierać. Kochał tylko skarby i chował je to tu, to tam pod ziemię, aby nikt nie znalazł, tylko on. Umarła ze zgryzoty żona, umarła i córka, a on zbiera i zbiera. Nastał głód u nas, idą ludzie do niego po prośbie, aby dał złota, bo znali jego okrutne bogactwo... nie dał im nic. Przyszła wojna, Niemcy idą i idą, nasi błagają go, proszą, zaklinają: daj złota na broń, na prochy, na mundury. On stary, siwy, bezdzietny... nie dał im nic. Przyszli Niemcy, mówią do niego: daj złoto, pójdziem z kraju, zostawim lud w spokoju... nie dał im nic. Tak tedy Pan Bóg, widząc zatwardziałość jego, rzekł: Pilnujże ty tych skarbów i po śmierci, tułaj się tam, gdzieś skrył, strachaj się przed odkryciem, aż wybędziesz

swój czas i skończy się pokuta. Dopieroż on w płacz i pyta, kiedy to się skończy? Jak odpokutujesz, to i koniec będzie, a znakiem będzie ci czas, gdy Niemcy opuszczą Szląsk. I on pokutuje. Dla naszych to on bywa i dobry, ale dla Niemców, niech ręka Boska broni, jaki zawzięty.

— Jakżeż ten wasz Skarbnik wygląda — pytał bardzo zaciekawiony Wincenty.

— Dziad mój widział go i powiada, że ubrany w starodawny strój, zamiast guzików ma dyamenty, w pasie tkwi lampa, podpiera się oskardem, a stary i siwy jak gołąb. Dla niego niema skały, węgla, tamy... dotknie oskardem i już go niema. Jak blizko skarbów dojdą górnicy, to naszych ostrzega, a Niemców zabija albo tumani, przemieniając węgiel w kamień i górnicy zmamieni odchodzą — taki on jest.

Nastało milczenie. Po dobrej chwili rzekł Maciej:

— Nasz inny, ale i wasz dobry.

W tej chwili zbliżył się do stołu górnik i, przywitawszy obecnych, zaczął pytać o Adama.

Opowiedziano mu szczegółowo, a na zakończenie zapytał Wincenty:

— A u was było spokojnie?

— U nas cicho, tylko szleprowi rękę urwało. Maszyniak pokręcił, nie spostrzegł szleper przy wagoniku i ręka — chlast.

W czasie tego opowiadania weszli górnicy z trzeciego pola, wysłuchali o Adamie i zawiadomili, że jednemu szleprowi palec urwało.

— To już taki feralny dzień — zawyrokował Maciej.

— Co tam za feralny dzień!? — zaśmiał się górnik z trzeciego pola, nizki, z jasną brodą, bystremi oczyma, Józef Bez. — Wiadoma rzecz, że węgiel bez ludzkiej krwi obejść się nie może i zarząd zbankrutowałby zaraz.

— Jakto? — zawołano ze wszystkich stron.

— Gdyby nas było więcej w kopalni na szychcie, gdyby robotę prowadzono porządnie i oględnie, szanowano ludzkie siły, węgiel byłby droższy, to i skąd brałby sztygar procenta jedne, nadsztygar drugie, zawiadowca trzecie, a cóżby miał zarząd? Nasz pot, nasza krew, to ich majątek!

— Ot, gadanie i tyle — rzekł zgorszony Maciej.

— Ba, bo wyście starszy, ale spytajcie się Adama, co on powie? A chociażby tych szleprów, którzy poszli dziś bez ręki.

Obecni umilkli, patrząc chmurnie przed siebie. Pakosz, który na Szląsku słyszał i czytał dużo, wysłuchał obojętnie słów Józefa, i zwracając się do Wojtka, zapytał:

— A jaki wasz nadsztygar?

— Nadsztygar? Byłby dobry, tylko że krewki.

— Sprawiedliwy szlachcic z niego. O byle co wrzeszczy i łaje, czasem uderzy, ale już w mig pożałuje — dodał Wincenty.

— A jego bratanek, sztygar, czy także dobry?— zadrwił Józef.

— To wasz sztygar, nie nasz — odpowiedział Maciej.

— Ho, ho, ten ma rękę zawsze otwartą, ale do bicia — mówił Józef.

— Doigra się on swego — mruknął jakiś głos z głębi.

Maciej spojrzał na zegarek i rzekł, wstając:

— Dość tej zabawy, już po pierwszej, trzeba wypocząć, bo szychta czeka.

Rozochocony Pakosz zawołał gospodarza i, policzywszy obecnych, kazał podać czternaście kieliszków słodkiego likieru. Gdy przyniesiono, wstał i rozczulony przemówił:

— Bądźcie mi braćmi, bo ja także wasz brat!

Zebrani górnicy zawołali chórem:

— Wiwat nasz brat!

VI.

Numer 26, uzupełniony górnikiem Pakoszem i jeszcze jednym, prócz Jana Lacha, ładowaczem, w przewidywaniu urobku węgla, szedł zwolna chodnikiem „Prokopa“. Na czele postępował sztygar, stukając okutą laską, tuż za nim Maciej, dalej Wincenty, Pakosz, Wojtek, a dwaj ładowacze nieśli drabinę — wszyscy szli w milczeniu, rozświecając chwilowo tę gęstą, ciężką, odwieczną noc podziemną. Od czasu do czasu, spotkany górnik lub robotnik, ustępując szybko w bok przed sztygarem, rzucił: „Szczęść Boże!“ otrzymywał głuchą, chó-

ralną odpowiedź i wkrótce migotliwe światełko tonęło w ciemnościach.

Stanęli u wejścia do przodka.

Sztygar, zwracając się do stojących za nim górników, rzekł:

— Najpierw trzeba górę zbadać; pójdzie...

— Ja, panie sztygar! — zawołał Wojtek.

— Idź!

Wojtek pochwycił drabinę i wszedł do przodka. Chwilkę wahał się, szukając oparcia nóg drabiny, rozsunął nogą węgle i próbował punktu oparcia, wreszcie górną część przycisnął do ściany węglowej. Zgrzytnął węgiel i posypały się drobiny.

Górnicy ze względu na obecność sztygara zachowywali milczenie, tylko cichy szept obawy, czy modlitwy, objawiał ich współczucie.

Na trzask węgla, krzyknął sztygar:

— Pozór!... A uskocz pod ścianę!

Po chwili w głębokiej ciemności i ciszy odezwał się skrzyp uginających się szczebli i światełko posuwało się w górę.

— Jestem! — zawołał Wojtek.

— Obejrzyj bok!... spróbuj młotkiem!... Głęboka wyrwa?...

— Miarkuję, że spadło z dziesięć wózków, nie więcej...

— A ściana? — spytał sztygar.

Odezwały się miarowe uderzenia.

— Przy drabinie mocna.

Światełko posuwało się zwolna ku prawej stronie.

— Panie sztygar! Cosik tam na prawo w górze błyszczy... ale nie dojrzę...

— Źle! Ustaw drabinę!

W czasie wykonywania rozkazu, odezwał się Pakosz:

— Panie sztygar, pójdę ja!

— Milczeć! — zawołał przełożony i zamruczał:— Przyjdzie kolej i na ciebie.

Maciej kręcił się niespokojny, wreszcie rzekł:

— Panie sztygar! Wczoraj tośmy wszyscy w przodku byli, zabierając Adama... i nic nam.

— Starszy jesteś, a głupi! Co się miało oderwać wczoraj, to i zleciało, a przez szychtę dzienną znów coś się popsuło.

— Popsuło, albo i nie popsuło — zamruczał Pakosz, trochę zazdrosny o robotę Wojtka.

— Sztygar podniósł lampkę w górę, spojrzał groźnie na mówiącego:

— Ty, Prusaku, stul gębę, kiedy ja tu jestem. Rozumiesz?

— Jo!

Tymczasem Wojtek już znów był na drabinie i zawołał:

— Panie sztygar, to woda błyszczy.

— Woda?... Złaź!... — i, zwracając się do Pakosza, mówił dalej: — weź oskard ze sobą, uderzysz lekko, a od suchego podważysz...

Pakosz szybko postąpił ku drabinie i zaledwie Wojtek dotknął ziemi, już darł się w górę.

Usłyszano miarowe uderzenia oskardem z lewej i z prawej strony drabiny.

— *Fest!* — krzyknął Pakosz.

— Bij w wodę!

Rozległo się silne echo i bryła węgla spadła. Zachwiała się drabina, zadrgało światełko w górze.

— Ten kawał wisiał — objaśniał Pakosz — a wyżej to już dobrze!

— Bij!

Posypały się tylko kawałki odbite.

— Podważ! — rozkazywał sztygar.

Tylko ze skrzypu szczebli można było wnosić, że Pakosz wytęża siły, lampka bowiem, wbita w węgiel, wisiała niżej z boku.

— Nie drgnie!

— Złaź!... A wy do roboty!

Równocześnie z tym rozkazem weszli górnicy i ładowacze do przodka, uchylając czapki przed sztygarem ze słowami: „Szczęść Boże!“

Rozpoczęło się szybkie uprzątanie i ładowanie węgla leżącego, rozbijanego silnie oskardami. Sztygar chwilkę patrzał, skinął głową na znak, że podoba mu się robota, zamruczał: Szczęść Boże! — i opuścił górników.

Pracowali w milczeniu, póki nie napełniono pustych wagoników.

— Po sprawiedliwości — odezwał się Wincenty — to ten węgiel jest Adama.

— A juścić! — zawołał Wojtek. — Jest tu część jego krwi i potu.

Starszy górnik milczał, zdala dolatywał turkot nadchodzących wózków.

— Czyja praca to i płaca — rzekł Pakosz.

— Aj, pachniesz ty Prusakiem! — odpowiedział Wojtek — takie chciwce bez sumienia!

— Ja chciwiec!? — obruszył się Pakosz i opierając się na oskardzie, mówił: — Ty, Wojtek, nie wymyślaj mi od Prusaków i łajdaków, bo ja górnik i rozumu cię nauczę.

— Nauczysz?! — krzyknął Wojtek. — Patrzajcie! taki przybłęda! do nauki się już bierze!

Spojrzeli nienawistnie na siebie, gotowi wziąć się za bary. Zawsze obecna w kopalni groźba śmierci i gorączkowa robota rozstraja i podnieca nerwowo górników.

— Cicho! do pracy! — krzyknął Maciej.

Nadbiegły wózki, robota szła szybko. Po dobrej chwili Pakosz stanął przed Maciejem i, uchylając czapki, rzekł:

— Panie oberhajer! podzielą się oni z Grotkiem, podzielę się i ja, bo ja nie Prusak, ino Szlązak czysty, nie chciwiec, ino sprawiedliwy.

— Dobrze! dobrze! pogadamy później.

Gdy skończono z oczyszczeniem, a poseł, chłopak młody, służący do posyłek, przyniósł za Maciejem Bibielą potrzebny proch na minę, wziął Wincenty, pracujący w górnym otworze, część prochu z rurą papierową grubości zgięcia ręki i dłoni

i włożył w dziurę, przygotowaną przez Adama. Przymocowawszy gutaperkowy lont, zabił szczelnie otwór i zszedł z drabiny. Równocześnie tę samą robotę spełnił Wojtek na dole. Na dane hasło starszego górnika, dotknęli obaj knota lampkami i szybko cofnęli się w głąb chodnika „Prokopa".

Nie upłynęło trzech minut, gdy najpierw u dołu rozległ się głuchy huk, a tuż za nim u góry. Pył węglowy, gnany prądem wybuchu, otoczył górników w „Prokopie" zakrywających starannie lampki od przeciągu powietrza.

Łoskot i łomot węgli słychać było dobrą chwilę; gdy się uciszyło, zwrócili się górnicy ku przodkowi. Napełniono wózki węglem, leżącym u wstępu do przodka.

Pakosz, ocierając czoło prawie czarną chustką, rzekł:

— Okrutniem zmachany... Możeby krztynkę odpocząć.

Maciej spojrzał na swój wielki srebrny zegarek.

— Hm... Jest-ci dwunasta bez dziesięciu, czas na kawę!

Usiedli wszyscy czterej na bryłach węglowych, pootwierali blaszanki, powyciągali chleb z torb i jedli.

— Ale ci węgiel równo odsunął, jakby ręką objął — rzekł Wojtek, zadowolony z dobrze założonej miny.

— Proch zawsze tak robi — dodał sentencyonalnie Maciej — nie tak dynamit.

— Jak pracowałem w *Querschlagu* — zaczął Pakosz — to jak palnął dynamit, tylko kurzu narobił.

— Bo dynamit trze, a proch odwala — objaśniał znane górnikom rzeczy Maciej.

— Hej! hej! miły Boże! – rzekł po chwili Wincenty. — Ta górna część, co poleciała, jakby siekierą uciął; tożby się cieszył Adam nieborak...

— Ano! Jak myślicie, Wincenty, możeby dać Adamowi coniebądź za jego krwawicę... Ja dam część... -- mówił Maciej z rozmysłem.

— I ja! — zawołał Wojtek.

— I ja! — dorzucił Wincenty — patrząc podejrzliwie na Pakosza.

— Nie gorszym od was, chociażem obcy — rzekł Pakosz — dam swoją część.

— Jeśli taka zgoda — mówił Maciej po namyśle — to cała dzisiejsza szychta po połowie. Jemu połowa, nam druga.

Usłyszał to Jan Lach, ładowacz, i rzekł pokornym głosem:

— Cóż my gorszego? Weźcie i nas!

Górnicy spojrzeli na Macieja, który, przełknąwszy jeszcze raz kawę z chlebem, odezwał się:

— I to także rzecz sprawiedliwa! Nie obsunęłaby się góra, nie byłoby węgla. Nie przygotowałby Adam dziury, musiałby ktoś zrobić; ale waszej krzywdy ja nie chcę, dacie trzecią część... i basta!

— Panie starszy! — odezwał się Jan — czemuż nie połowę?

— Powiedziałem basta, czy nie? — huknął Maciej. — To już i koniec! Nie twój rozum i kalkulacya. Rozumiesz?

— Ono to tak! — rzekł pokornie.

Po chwili milczenia odezwał się Pakosz, ziewając i wyprostowując ręce nad głową:

— Lubię taką robotę, że folarze nie nadążą. Ona pali się w ręku i dobrze!

— U nas nie folarz, ino ładowacz, a z ogniem ostrożniej gadaj — upominał go Wojtek, już udobruchany ofiarnością dla Adama.

— O! ostrożnie z ogniem! — ostrzegał Wincenty. — Nie wiesz czasu ni godziny, kiedy cię ogarnie.

— Paliło się u was? — spytał zaciekawiony Pakosz.

— A tyś co myślał? — rzekł z przechwałką Wojtek. — I paliło się i pali!

— Lampka?! — zadrwił Pakosz.

— Oj, nie lampka, kolego — mówił zwolna Wincenty — sam węgiel. Zginęło wtedy z pięćdziesięciu ludzi, dobrze nie pamiętam — i zwrócił twarz ku Maciejowi.

— Pięćdziesiąt sześć — objaśnił starszy górnik.

— I co? i co? — dopytywał się Pakosz. — Bo u nas ognia nie było, tylko mój ojciec opowiadał, że kiedyś był.

— A cóżby?... Ludzi pochowano po bożemu,

po katolicku. Od ognia postawiono tamę, grubą na dwa metry, i dalej robią.

— I pali się?

— Opowiadał mi Franciszek Burak — ciągnął dalej Wincenty — że mur ten ciepły, jak nieprzymierzając piec w zimie. Jak przytulić ucho, to huczy jak w kominie.

— I gdzie to?

— Na naszem polu, ale daleko, z przeciwka od nas.

— Zobaczyłbym! — zawołał Pakosz.

— Jak będziesz w kompanii z nami, to za dwa albo trzy tygodnie będziemy blizko, bo idziemy w krąg numerami — dodał Maciej. — A teraz do roboty.

VII.

W nadchodzącą niedzielę Pakosz, odświętnie ubrany w marynarkę szarą, czarne spodnie i w butach z wyglansowanemi cholewami, chodził niecierpliwie po pierwszej izbie Grotka. Czasami krzyknął na swawolące dzieci, które z cicha przedrzeźniały jego szląski język i akcent:

— Szwajgujcie, burszaki!

Słowa te powtarzały z chichotem. Przechodząc obok małego lusterka nad łóżkiem Grotkowej, Pakosz poprawiał sztywny, stojący kołnierzyk, krawat zielony w czerwone paski, i gładził włosy niesforne nad uchem.

Czekał na Grotkową i Paulisię, chcąc je od-

prowadzić do kościoła. Pragnął przyśpieszyć wyjście, zanim nadejdzie szleper, Franciszek Butny, lokator i kawaler Paulisi.

Stanął przed wpół otwartemi drzwiami do drugiego pokoju, gdzie ubierały się kobiety, i zawołał:

— Pani Grotkowa, już po jedenastej, nie zastaniemy sumy w kościele.

— O! o! będzie czas. Ubrać się muszę... Prosta chłopka i ta potrzebuje czasu, aby się ubrać, cóż dopiero my?!

— Ja już zapomniałem, kiedym się ubrał, a pani?...

— Ee, co tam u was! — odezwała się z lekceważeniem. — Szast! prast! i już gotów, co innego my. Czekajże pan, zaraz wyjdę.

Pakosz przeszedł wzdłuż izbę i stanął u okna W szarym, mglistym dniu, budynek gospodarski, długi, czarniawy, z przedzielonemi klatkami, wyglądał jak więzienie. W oddali puste pola tonęły w mgle i dymie. Pakosz splunął na ten widok, gdyż przed oczyma stanęły mu ładne, czyste, białe domki szląskie, otoczone drzewami; spojrzał po brudnej, nieporządnej izbie, znów splunął i zaczął myśleć o Paulisi, której głos dochodził przez uchylone drzwi. W ciągu tych kilku dni, mając dzień swobodny, bo pracował w nocnej szychcie, miał sposobność zbliżenia się do Paulisi.

Dziewczyna podobała mu się coraz bardziej, lgnął do niej, jak mucha do miodu, a gdy Pauli-

sia przychodziła ze szwalni na obiad, z izby na krok nie ustępował. Wówczas oczy jego tylko ją widziały. Znał przegięcia jej kibici, odgłos jej bucików, bliznę na lewej ręce, pieprzyk koło ucha. Podziwiał jej bujne, ciemno-kasztanowate włosy, związane w węzeł, a w jej piwne oczy tylkoby patrzał i patrzał.

Paulisia, spostrzegłszy swą władzę, coraz częściej miewała dla niego pogardliwy grymas na twarzy, oczy umyślnie przysłaniała powiekami, odwracała się niby od niego, chociaż rada była, że młody górnik za nią szaleje.

Pakosz nie sypiał, pomizerniał, tracił przy niej swoją swadę i śmiałość, wreszcie powiedział sobie: ta albo żadna. I z usilnością zakochanego, z zawziętością chłopa, z gorączką człowieka, niewiedzącego, czy dożyje jutra, pragnął jej uśmiechu i uścisku.

Wtem zaskrzypiały drzwi i weszła Paulisia w ciemnej sukni, w kapelusiku popielatym, zdobnym w bukiet kwiatów. Obcisły, welwetowy żakiet rysował dokładnie jej zgrabną figurkę, cienką w pasie, szeroką w ramionach z powodu bufiastych, modnych rękawów. Poprawiając białą ręką kapelusik przed lustrem, uśmiechnęła się drwiąco na widok Pakosza, zapatrzonego w nią, jak w święty obraz.

Przez swawolę raczej, aniżeli z rozmysłu, rzekła do Pakosza o drugim lokatorze w niej rozkochanym, nie patrząc na niego:

— Gdyby tu był Franciszek, nie siedziałby pan Władysław tak kołkiem w pokoju.

— Albo co?

— Bo znamy się dawniej i to jego prawo iść ze mną do kościoła.

— Kto silniejszy, tego i prawo — mruknął Pakosz, chmurząc się.

— O! silny i bardzo — zaśmiała się dziewczyna.

— Ee, taki szleper — mówił z uśmiechem lekceważenia.

W tej chwili weszła Grotkowa, szeleszcząc krochmalonemi spódnicami, a słysząc ostatnie słowa, rzekła z pewną dumą macierzyńską, a zarazem zadowolona z rywalizacyi, bo zysk z obu ciągnęła:

— Nie taki on byle jaki szleper! Ma on rubli 200 w kasie.

— Będę i ja miał! Niewielkie to rzeczy.

Nie była to pierwsza tego rodzaju jątrząca rozmowa. Dostawał i Franciszek wieczorem, w nieobecności górnika, podobne zachęty ku zazdrości.

Dotychczas nie spotkali się obaj ani razu w izbie, chociaż znali się już, mijając się w domu zbornym. Patrzyli chmurnie i gniewnie na siebie, jak dwa brysie nad jedną kością. Dziś po raz pierwszy mieli się spotkać, gdyż w niedzielę szychta dzienna kończyła się w południe. I dlatego tak niecierpliwił się Pakosz, chcąc ubiedz Franciszka w prowadzeniu Paulisi do kościoła.

Matka wydawała ostatnie rozporządzenia jedenastoletniej córeczce:

— Pilnuj ognia, nastaw wodę na kaszę, a małego uśpij. Pójdziesz potem na nieszpór.

— Ja chcę do tatusia! — zawołało dziecko.

— Do tatusia pójdziesz we wtorek z Franciszkiem.

— Kiedy ja chcę dzisiaj!

— Tatuś nikogo nie poznaje, po co ci iść? Przyniosę ci cukierka — dodała, widząc łzy.

— Ja dzisiaj pójdę, dzisiaj! — upierała się mała.

— Może cię weźmie pan Pakosz, to pójdziesz.

— O wezmę, wezmę! — zawołał górnik ze sieni, w której stał z Paulisią.

Wyszli. Droga była błotnista, lecz obok ciągnęła się wydeptana ścieżka, przerznięta mniejszemi i większemi kałużami. Ścieżką sunęli ludzie w odświętnych strojach. Kobiety, zbierając ręką szersze spódnice i suknie, podnosiły je dość wysoko z obawy błota, a nad kałużą zastanawiały się dobrą chwilę, aby nie powalać bucików.

Pakosz, zadowolony z nieobecności rywala, dumny z piękności towarzyszki, starał się być jak najbardziej uprzejmym.

Na ślizkich i niebezpiecznych miejscach podawał rękę, troszczył się o czystość bucików i częściej, aniżeli trzeba, przypatrywał się kolorowym pończochom Paulisi.

Gdy ścieżka stała się szerszą, zaproponował nieśmiało:

— Możeby panna dla wygody oparła się na mnie?

— Ha, ha, ha — zaśmiała się głośno. — U nas tylko po zaręczynach tak chodzą, a ja wolna!

— Od panny zależy — zamruczał Pakosz — ja tam i dziś gotów.

— Może jest już pierścionek? — drwiła dziewczyna.

— O jej! Czy sklepów tu niema, byle pieniądze, a i te mam.

— Jeszcze złotnik nie kupił złota na ten pierścionek, i nie wiem, czy dostanie — mówiła, śmiejąc się.

— O, panna trudna! — rzekł z westchnieniem Pakosz.

— A u was łatwe? — śmiała się głośno.

— Nie swawolcie — rzekła z udaną powagą matka. — Ludzie się dziwują, ot, aż przystanęła Mańka Kurakówna.

— Oho! Wojtek za nią, jak cień — dorzuciła córka.

— Czy to jego kochanka? — zapytał Pakosz.

— Jego! — zaśmiała się złośliwie Grotkowa. — Spytaj się pan jej, ilu kochała... Ot, biedny chłopiec, żal mi go, bo on krewniak.

Szli dalej w milczeniu.

— Czy widzi mama, jak się wystroiła Bibieli-

cha? suknia w kraty, pewno po babce jeszcze, bo to niemodne teraz.

— Oj, widzę ja więcej, moje dziecko, niedarmo Bibiela wącha się ze sztygarem — rzekła, wzdychając. — A córki jego, widzisz, Paulisiu? jak strzelają oczami na chłopców, byle tylko złapać i ukryć swój wstyd!

— Dziś podobno zaręczyny u nich, Bronka złapała szlepra, Michała.

— A którego? — dopytywała się matka.

— Tego, co się miał do Mańki, póki Wojtka coś nie poniosło.

— Wielki honor! — zadrwiła Grotkowa — taki ciskacz prosty!

Grotkową dopędziło inne towarzystwo, nastąpiły witania, dopytywanie się o szczegóły gospodarskie i domowe.

Na ulicy ruch idących do kościoła był tak wielki, że Pakosz z trudnością utrzymywał się przy boku Paulisi, zajętej żywą rozmową z towarzyszkami spotkanemi.

Przez zwykłą drewnianą bramę, ozdobioną krzyżem, weszli w wązkie przejście, z dwóch stron ogrodzone parkanem.

Kościół mały, murowany, mógł pomieścić zaledwie 200 ludzi, gdy wierni liczyli się na tysiące.

Dla spóźnionych nawą było owo przejście i mały placyk przed kościołem, na którym pod dachem urządzono skromny ołtarz z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Z trudnością przecisnął się Pakosz, a za nim kobiety, do połowy wązkiego przejścia. Gdy przechodzili, obok szeptu odmawianych modlitw, dały się słyszeć słowa z przekąsem:

— O! Grotkowa z córką pcha się przed wielki ołtarz!

— Wielka pani!

— Tu wszyscy równi! — zaskrzeczała popchnięta niewiasta.

Matka i córka słyszały te docinki, rzucały zjadliwe spojrzenia na okazujących niechęć, ale milczały. Matka podniosła tylko wyżej głowę, odrzucając wstążki kapelusza na plecy i sznurując usta; córka pąsowiała z oburzenia. W miejscu trochę wolniejszem, zrobionem łokciami Pakosza, stanęły przytulone do drewnianego parkanu; otworzyły książki i zajęły się modlitwą.

Pakosz rozejrzał się po ciżbie, ale spostrzegł tylko różnego wieku kobiety, postrojone odświętnie i mężczyzn, modlących się przykładnie z książek. Żółtawe, zmęczone twarze, przeważnie posępne, nie odrywały prawie oczu od czytania.

Nad kościołem i całym tłumem przelatywały odgłosy maszyn, jakieś zgrzyty, huki, grubsze i cieńsze gwizdki; łoskot sunących wagonów na stacyi opodal leżącej; turkot wozów z ulicy, nawoływania woźniców, tętent koni i trzaskanie z biczów.

Wśród tego szumu i hałasu fabrycznego, odzywał się ledwie słyszalny ton organów i przenikliwy głos dzwonka z kościoła. Równocześnie

z dźwiękiem podnosił się od bramy kościelnej jednostajny jęk upokorzenia i zachwytu, cały tłum wiernych cofał się nieznacznie, by, schyliwszy głowę, uklęknąć. Mniej pobożni i mniej pobożne zadawalali się głębokim pokłonem, gorliwsi klękali. Kobiety, podnosząc wierzchnią suknię i spodnią białą, klękały na rozmokłej ziemi, tuląc głowę do książek i całując święte obrazki; mężczyzni podkładali pod kolana podszewki czapek i kapeluszy. Po chwili tłum się wyprostował, zakołysał w kierunku kościoła, a szept modlitw stawał się głośniejszy.

Po skończonej sumie, gdy tłum usuwał się zwolna z kościoła, skorzystały z tego Grotkowa z córką, zbliżając się stopniowo do otwartych oddrzwi kościelnych. Na uczynioną przez Pakosza uwagę, że byłby czas wyjść, odrzekła:

— Tylko poganie modlą się w niedzielę pod gołem niebem, a katolicy w kościele.

Znów musiał Pakosz torować drogę aż do bocznego ołtarza. Tu uklękły obie i sumiennie odczytywały modlitwy, zalecone przy słuchaniu sumy.

Nareszcie skończyły i rozpoczęły odwrót łatwiejszy, mimo ścisku w kościele, bo każdy chociaż o krok mógł się posunąć bliżej ołtarza.

Na placyku było już swobodniej, a przejście prawie puste. Grotkowa już skręcała ku przejściu, gdy usłyszała głos młodszej córki.

— Mamo! mamo!

Zdziwiona zatrzymała się, a zbliżającą się córkę powitała:

— Ty tu? A kto przy dzieciach?

— Przyszła ciocia Kasia i mnie wyprawiła za mamą.

W tej chwili zbliżył się szczupły, średniego wzrostu młody brunet, ubrany w czysty, ale wyszarzany czarny surdut, trochę za szeroki i za długi.

Odgarnął kościstą, spracowaną ręką twarde włosy z czoła, na którem bieliła się blizna, i rzekł zcicha:

— To ja przyprowadziłem Julcię!

— Dobrze zrobił pan Franciszek, jeszczeby ją rozjechano.

Franciszek szukał oczu Paulisi, stojącej spokojnie obok Pakosza.

Paulisia, patrząc przed siebie, nie odwracała twarzy i oczy szlepra spotkały się ze spojrzeniem Pakosza, tryumfującego nad spóźnionym.

Podniecania zazdrości, podszczuwania i plotki kobiet wydały natychmiast owoce.

Franciszkowi błysnęły oczy, zaczerwieniła się żółtawa twarz, blizna z białej zrobiła się czerwona, zacisnął zęby i wązkie wargi tak, że wąsy opadły aż na brodę, i patrzał uporczywie, wyzywająco na górnika.

Pakosz zrozumiał to spojrzenie. Niebieskie oczy nabrały stalowego odblysku, usta otworzył, aby

chwytać powietrze i kapelusz miął w ręku gwałtownie.

— Pójdźmy do domu — odezwała się Grotkowa.

Obok Paulisi szedł milczący i chmurny Pakosz. Gdy wyszli na ulicę, kobiety stanęły, aby naradzić się nad zrobieniem kilku sprawunków, ale Julcia, młodsza córka, zaczęła prosić ze łzami, aby iść do ojca.

Mężczyzni milczeli, udając, że się nie znają. Spojrzała Paulisia na obu. Pakosz wyższy, zgrabniejszy, czysty, w lepszem ubraniu, w kołnierzyku stojącym, był nawet ładnym chłopcem wobec Franciszka, który, śpiesząc się, źle się ubrał, niedbale umył, tak, że w uszach widniał pył węglowy. W twarzy zmęczonej miał zawziętość i zazdrość kochanka.

— Któż cię zaprowadzi do szpitala? — spytała matka, ulegając córce, i spojrzała na dwóch towarzyszy.

Milczeli. Wówczas Paulisia odezwała się:

— Pójdę z nią, moja mamo.

— Sama? — rzuciła Grotkowa.

Równocześnie odezwały się dwa głosy.

— I ja!

Zaśmiała się głośno Grotkowa i spojrzała na wesołą twarz córki.

— Komedye! Jak Boga kocham komedye! Z początku żaden, teraz dwa — i znów się śmiała. —

No, ale wy się nie znacie, chociaż razem kwaterujecie.

— Znam ci go, znam — zawołał porywczo Franciszek.

— Mnie tam nie śpieszno do znajomości — odezwał się pogardliwie Pakosz.

Zaśmiały się kobiety i matka postanowiła załatwić sprawunki, a córki miały iść do ojca w towarzystwie lokatorów.

Paulisia, spojrzawszy na ich twarze, rozognione złością, rzekła, biorąc Julcię pod rękę:

— Pójdziemy razem, tylko żadnych breweryi po drodze, bo się pogniewam i ani przemówię do tego, co zacznie.

Słowa te podziałały, jak kubeł zimnej wody; obaj się uspokoili i szli przykładnie w milczeniu, wązkim chodnikiem tuż za siostrami.

Gdy weszli na drogę, Pakosz szybkim ruchem stanął przy Paulisi, która uśmiechała się zalotnie, ale zaraz zwróciła się do Franciszka, idącego przy Julci:

— Czemu to pan Franciszek taki smutny dzisiaj?

— Alboż niema czego? Czy panna nie słyszała, że chleb drożeje?

— Nie, nic mi mama nie mówiła.

— Oj podrożeje, bo szarpią i zjadają go obcy, a dla swoich zabraknie.

Odczuł ten pocisk Pakosz i odpowiedział:

— Ja tam razowego chleba nie łakomy — robiąc aluzyę do zajęcia szlepra.

— Razowy, ale swój — zawołał gorąco.

— To go trzymaj w garści — zaśmiał się górnik.

— Już zaczynacie — zawołała Paulisia.

Szli dalej w milczeniu; ale Franciszek, który miał prawie słowo dziewczyny, a rodzice przyrzekli mu ją oddać, skoro górnikiem zostanie, czuł się pewniejszym, jakkolwiek i Paulisia i matka od czasu przybycia górnika były mniej łaskawe i dbałe o niego. Po chwili zaczął:

— Wie panna, jaka nowina dziś przyszła?

Na przeczący znak zaczął szybko:

— W domu zbornym ogłoszono, że szukają Prusaka, który zabił i obdarł osiem dziewcząt. Każdej mówił, że się z nią ożeni, wyprowadzał potem na pole, obdzierał i zabijał. Jezusie Nazareński! Święta Barbaro! Toż to łajdactwo pruskie nawet panienki niewinne morduje!

Odetchnął, patrząc z pod oka na Pakosza, jakoby on był tym poszukiwanym. I Paulisia podejrzliwie spojrzała na górnika, który to bladł, to czerwieniał, wreszcie zaczął chrypliwym głosem.

— Prusy to wielki naród, może i tacy bywają, co mordują dla zarobku, bo w ręku fachu nie mają i jak przyjdą do kopalni, to idą w szlepry między takich zbójników i łotrów jak oni.

Spojrzał wyzywająco i z pogardą na Franciszka, który tak samo patrzał na niego. Te krzyżu-

jące się spojrzenia zauważyła Paulisia, przestraszyła się nieco, ale, czując swą władzę, wnet zmarszczyła brwi gniewnie, stanęła i rzekła tonem rozkazu:

— Pan Franciszek pójdzie ze mną do szpitala i odprowadzi mnie do skrętu, to połowa drogi; tam niech zaczeka pan Władysław i odprowadzi mnie do Wańdzi, mojej przyjaciółki.

Zawahał się Pakosz i patrząc na Paulisię, mówił:

— Dziś moje prawo, bo przecież ja do kościoła prowadziłem.

— Nie chce pan mnie odprowadzić — zawołała z gniewem — to się obejdę, pójdę z panem Franciszkiem.

— Idę, już idę — rzekł z pośpiechem — a gdzie ten skręt?

— Tam na prawo, gdzie chodnik się zaczyna — objaśniała udobruchana z tryumfującym uśmiechem.

Pakosz zwolna poszedł we wskazanym kierunku.

Franciszek, uradowany na razie zwycięstwem, poweselał i szedł obok Paulisi.

— Niech pan Franciszek opowie, jak to było z tym Prusakiem, co mordował?

— Musiało być tak, jak zawsze. Przyjdzie jakiś przybłęda ze świata, udaje kawalera, wystroi się to, bałamuci, gada... a wiadoma rzecz, dziewczętom w to graj, bo nowe sitko na kołek, już im raj...

— A do kogo to pan Franciszek pije? — zapytała surowo.

— Ja nie piję, tylko opowiadam.

— To i ostrożnie, bo Pakosz górnik i zarabia dużo, jak mi mówiła Bibielanka, co słyszała od ojca.

— O, ten Pakosz — zawarczał Franciszek — sama cholera go przyniosła.

— Nie cholera, bo koleją przyjechał — odezwała się Julcia.

Przez chwilę milczeli, wreszcie zaczął Franciszek:

— Jakże będzie z nami, panno Paulisiu?

— A cóż ma być? Mnie tam dobrze, a komu źle, niech sobie radzi.

— Oj, wie panna, co ja mówię. Toż my po słowie...

— Ale nie było zaręczyn — przerwała szybko Paulisia.

— A słowo to nic?

— Ja muszę słuchać rodziców — broniła się dziewczyna.

— To i dobrze, tylko niech panna pamięta, że jak tylko górnikiem będę, to damy na zapowiedzi.

— Daleki to termin — zaśmiała się Paulisia.

— Bliższy on, niż panna myśli, już ja wiem — rzekł tonem pewności.

— Czyż tak? — zapytała trochę zaniepokojona.

— Znam ja drogę do sztygara — objaśniał —

żal mi pieniędzy, ale milsze mi życie, bo mówię pannie, że bez niej trudno mi żyć.

— Ho, ho, aż tak? — zaśmiała się.

— Ja prosty człowiek, nie umiem mówić pięknie, ale dokumentnie powiem, że niech ten Prusak waruje, ale z daleka, bo mu kości połamię.

— Ładny mi kawaler, który nie pozwala spojrzeć na drugiego, a przecież ja nie po ślubie...

— Pannie wolno popatrzeć, od tego są oczy, ale niech Prusak zna respekt i od naszych mu wara; niech się żeni z Prusaczką.

— A to mu pan powiedz — zadrwiła.

— Już ja mu powiem, ale to będzie nieszczęśliwa godzina dla niego.

— Nie wiedziałam, że pan Franciszek taki zawzięty.

— Bo ja szczery! Jak miłuję, to do śmierci, ale jak mi podlec w drogę włazi, pamiętam do skonu.

— Ja tylko proszę pana Franciszka, żeby w domu nie było żadnych bijatyk, bo się pogniewam na zawsze — dodała tonem groźnego ostrzeżenia.

— Szukać go nie będę, ale jak mi podlezie...

— Tylko nie w domu.

— Znajdę go, znajdę za domem.

— Ot i szpital niedaleko — zawołała Julcia.

— No, panno Paulisiu, czy zgoda między nami? — zapytał, patrząc w jej twarz.

— Niby w czem? — udała naiwnie.

— Względem małżeństwa...

— Wpierw musi tatuś wyzdrowieć, a jak rodzice oboje pozwolą... — zawahała się.

— Otóż jak pozwolą, a czemużby nie mieli pozwolić, kiedy zostanę górnikiem. Więc co?

— Jak pan Franciszek górnikiem będzie i nie będzie taki zazdrosny, a rodzice pozwolą, to już niech i tak będzie — kończyła z lekkiem westchnieniem.

— To i dobrze, bo słowo panny to grunt. Już ja górnikiem będę... Myślałem, że dobiję się pracą, bo mi szkoda krwawo zapracowanych pieniędzy ale jak trzeba, to trzeba — mówił tonem zdecydowanym.

Paulisia zamyśliła się, bo przecież Pakosz to już górnik, i taki zakochany, taki strojny, ale zawsze on Prusak, przyszedł z za świata; niby mówi po polsku, ale na śmiech ludziom; kto go wie? może on taki kochliwy z natury, a potem porzuca? A może morduje?... zadrżała. Zawsze co swój, to swój. Oszczędny, zebrał grosz, chociaż szleper, a niech tam i on będzie, kończyła w myśli swój monolog.

Stanęli przed szpitalem, kamienicą nową, jednopiętrową, opatrzoną wielkiemi oknami.

Już od wejścia uderzył ich zapach karbolu i jodoformu, którym zda się nawet mury były tu przesiąknięte.

Z przedpokoju po kamiennej posadzce weszli do poczekalni na lewo, gdzie na ławkach pod ścianami siedziało kilkanaście osób.

Paulisia z siostrą usiadły w milczeniu, zdając

na Franciszka kłopot wyjednania pozwolenia wejścia na salę i zobaczenia chorego.

Franciszek znał tu dozorców i felczera, gdyż kilka tygodni przeleżał, gdy rozbił głowę w kopalni, czego ślad nosił na czole. Podszedł więc do dozorcy chorych, pełniącego dziś funkcyę odźwiernego i, wsunąwszy mu kilkanaście kopiejek, dowiedział się, że tylko felczer może udzielić pozwolenia. Przez korytarzyk przeszedł, zapukał nieśmiało i wszedł.

Był to pokój mały o jednem oknie, pod ścianami stały oszklone szafki z lekarstwami podręcznemi i narzędziami chirurgicznemi. Wchodzący przypomniał sobie swoją chorobę i wzdrygnął się na ten szereg błyszczących obcęgów, kleszczy, skalpelów, nożów, piłeczek i kluczów.

— A co tam? — zapytał felczer, niewielki, szczupły blondyn, odwracając od okna pół twarzy.

— Przyszedłem prosić łaski pana — odezwał się Franciszek.

— O co? — i białą ręką pogładził brodę, czysto utrzymaną, wpatrując się w stojącego u drzwi łagodnem ale badawczem spojrzeniem.

— Jest tu na sali Adam Grotek; przyszły córki do niego.

Felczer, spostrzegłszy bliznę na czole, nie odrywał od niego oczu, znów spojrzał na twarz i rzekł:

— Byłeś w szpitalu?

— Byłem.

W umyśle felczera jasno odtworzył się obraz

rannego Franciszka z nadpękniętą kością czołową i zszywaniem skóry.

— To ty numer 10?

— Ja.

— Jakże ci teraz? Głowa poboliwa?

— Dziękuję panu, czasem strzyknie, poboli z dobę i przejdzie.

— A to chwała Bogu, był to bardzo ciekawy wypadek — mówił z miną lekarza specyalisty. — Z czemże przyszedłeś?

— To tak... Adam Grotek, górnik, leży tu na sali, przyszły go odwiedzić córki i ja z niemi...

— Adam Grotek?... Aha, już wiem, to górnik, sala chirurgiczna, zewnętrzne obrażenie potylicy ze wstrząśnieniem mózgu, nadwerężenie łopatki i jedno żebro nadłamane. Powikłana choroba...

— Czy aby żyć będzie?

— Robimy co można, trochę mu lepiej, gorączka mniejsza, ale życie jego w ręku Boga.

— Czy córki mogą wejść i zobaczyć?

— Hm... hm... Cóż one tobie, czyś ty zięć jego?

— Jeszcze nie, ale ze starszą jestem po słowie.

— Mówić prawie on nie może, ale bywa przytomny chwilami... Każę was wpuścić na kilka minut.

Wyszli. Gdy przechodzili obok poczekalni, skinął Franciszek na dziewczęta. Felczer popatrzył na Paulisię i, idąc dalej, rzekł:

— Wybrałeś sobie ładną narzeczoną, ale pilnuj, aby cię za łeb nie wzięła...

— O! o! — powątpiewał Franciszek, gdy Paulisia rumieniła się coraz bardziej.

Felczer otworzył drzwi i wydał dozorcy sali odpowiednie polecenie.

Był to wielki, podłużny pokój, jasny, wysoki, ale mimo przewiewu, czuć w nim było prócz jodoformu, gorączkę ciał okaleczonych, ran niezasklepionych, wydzieliny potu chorego. Łóżka, ustawione w dwu szeregach, w każdym po osiem, były zwrócone nogami ku środkowemu przejściu, głowami ku ścianom.

Wszystkie były zajęte. Na czystej pościeli leżeli tu chorzy, okaleczeni w kopalni. Ciche jęki, mamrotania, głośniejsze westchnienie, rzadziej ruch gwałtowny, okazywały cierpienia.

Adam Grotek leżał pod numerem 14.

Obok na numerze 15 siedział chory, ubrany w szlafrok szpitalny, koloru granatowego w paski białe, którego jeden rękaw pusty był zatknięty za pasek szlafroka, a na drugą rękę bez trzech palców spozierał chory co chwila.

Adam z obandażowaną głową leżał bezwładny, z oczyma zamkniętemi. Patrząc na żółtą bladość twarzy, na ściśnięte usta, na tę nieruchomość, zdawało się, że już umarł.

Julcia z przytłumionym jękiem, rzuciła się do prawej ręki, leżącej na kołdrze. Paulisia płakała. Chory jęknął, poczuwszy ciężar głowy Julci na ręce.

— Ostrożnie — rzekł dozorca.

Adam otworzył oczy, spojrzał na Paulisię, na Julcię, znów zamknął, by po chwili spojrzeć.

Około bladych ust przewinął się leciutki uśmiech, wargi się poruszyły, ale nic nie mówił.

— O mój tatusiu! tatusiu! — jęknęła Julcia.

Chory oczy zamknął i szepnął wyraźniej:

— Boli!

Dozorca wziął szorstko Julcię za ramię i odsunął.

— Chory jest, widzicie, przyjdźcie za tydzień, będzie zdrowszy, to i pogada z wami, a teraz idźcie!

Córki, ucałowawszy prawą rękę, wyszły.

Gdy opuszczali szpital, Julcia zalewając się łzami jęknęła:

— Jaki tatuś biedny! Jaki biedny!

— Mówił mi felczer — zaczął Franciszek uspakajającym tonem — że teraz lepiej, gorączki już niema, a to rzecz główna, reszta głupstwo, zeszyją, posmarują, wygoi się, zarośnie i człowiek zdrów.

Paulisia spojrzała przez łzy z wdzięcznością na towarzysza.

Szli dalej w milczeniu. Franciszka zaczął boleć Pakosz, oczekujący ich na skręcie.

— Panno Paulisiu, to rzecz już ułożona, ja górnikiem, a panna moją żoną. Muszę pewno wiedzieć, bo trzeba się oszczędzać, aby biedy nie było... Cóż, kocha mnie panna?

Paulisię, która jeszcze przed sobą widziała salę

szpitalną, ojca zmienionego, chorego, ledwie żyjącego, rozgniewało to pytanie i rzekła porywczo:

— Niech mi pan Franciszek da spokój z tymi amorami. Tam ojciec chory, matka bieduje aż żal patrzeć, a ten, zamiast coś poradzić, raz wraz trajkocze o ślubie. Także się wybrał!!

Franciszek popatrzył na nią z gniewem tajonym, ale się przemógł i mówił spokojnie:

— Ojciec to wyzdrowieje, mamie pożyczyłem 15 rubli, pożyczę i jeszcze, bylem tylko miał słowo panny.

— Już je pan masz!

— To i dobrze, tylko... ten Prusak!

Paulisia uśmiechnęła się ukradkiem i już weselszym tonem odezwała się:

— Jaki pan Franciszek dziwny, a poprostu głupi. Przecież on lokator mamy, płaci i to dobrze, wysługuje się nam, a że na mnie wytrzeszcza oczy, to i cóż? Czy to ja dziecko? rozumu nie mam? Niech się kręci, kiedy nam z tem dobrze!

— Hm... hm... niby to tak, byle tylko nie za blizko.

— A to co takiego! — zawołała z oburzeniem. — Póki ksiądz stułą nie zwiąże, wolnam ci i jaka!

— Aby bez zbytku — mruknął posępnie.

— Mam już rok osiemnasty i nie było nijakich zbytków, to i nie będzie.

Widząc jednak chmurną sztywność towarzysza, mówiła, przymilając się:

— Okrutniem kontenta, że p. Franciszek taki o mnie dbały, ale trzeba znać politykę z ludźmi. Ot, taki Pakosz, płaci za łóżko, za stół, za kawę, jest się kim wyręczyć, jak pana Franciszka niema, to i dobrze. Mnie on tam głowy nie zawróci, ale muszę być z nim grzeczna; dałaby mi mama!

— Już ja teraz panny bezpieczny! — zawołał uradowany. — Niech go tam, dopiero on zgłupieje po naszym ślubie! — i zaśmiał się głośno.

Po chwili dodał:

— Że ja pannie wierzę, to ani spojrzę, jak on pójdzie z panną i Julcią.

— Teraz pan Franciszek rozumnie gada — mówiła z uśmiechem dobroci — już ja widzę, że nam i po ślubie dobrze będzie.

— Daj tylko Boże, aby prędzej! — westchnął rozkochany Franciszek.

Z daleka już spostrzegli Pakosza, który, gapiąc się, oczekiwał Paulisi. Zobaczył ich, i z ukłonem witał. Franciszek poczerwieniał, co widząc dziewczyna rzekła tonem prośby:

— Niech pan Franciszek pójdzie na lewo.

Pożałował on teraz swych słów poprzednich i zły odburknął:

— Wiem sam, kiedy mi odejść.

Po chwili zapytał z namysłem:

— Panna pójdzie prosto do swojej przyjaciółki?

Popatrzyła obrażona, ale odrzekła łagodnie:

— Prosto, tylko że przez miasto, bo na drodze okrutne błoto.

Pakosz był już tylko o kilka kroków, więc Franciszek przystanął, ukłonił się nizko czapką przed Paulisią, wziął jej rękę, ubraną w rękawiczkę ciemną z jaskrawymi pasami, pocałował głośno, i ze słowem:

— Do widzenia, wieczorem! — poszedł na lewo.

Pakosz był już przy dziewczętach. Obrócił się Franciszek za odchodzącymi, spojrzał i wzdychając, zamruczał:

— Oj, żebym ja cię tak nie lubił, jak lubię, byłoby mi lepiej na świecie! Ślizgaś ty, ale musisz być moja!

VII.

Zwracając się do Paulisi, rzekł Pakosz:

— Znudziłem się tu okrutnie, jak pies na łańcuchu!

— A to było nie czekać! — żartowała.

— Choćby do sądnego dnia, a czekałbym. Taka moja natura, jak sobie powiem mus, to już Święty Boże nie pomoże!

— Aby nie ze mną — zaśmiała się Paulisia.

— Z panną? Tem ci bardziej, już ja siebie znam. Jak tylko pannę zobaczyłem, powiedziałem zaraz: ta albo żadna.

— To może i żadna — drażniła się dziewczyna.

— Nie może być! Toż za szlepra panna nie pójdzie. Górnicka córka ino za górnika, takie jest prawo!

— Będzie i on górnikiem — odezwała się Julcia.

— A ty skąd wiesz? — zapytał Pakosz.

— Mówił dziś Paulisi — odpowiedziała śmiało.

— To w kominie pisano, a choćby i został, to zawsze ja starszy od niego. — Umilkli, mijając przechodniów, którzy szli z miasta z rozbawionemi twarzami. Pakosz, patrząc na dziewczęta idące przodem, przypomniał sobie szpital i zapytał:

— A jak tam z ojcem?

— Tatuś bardzo słaby — szepnęła Julcia.

— Ale już lepiej... Za tydzień znów pójdziemy — dodała Paulisia.

Ulica długa miała bitą szosę po środku a z jednego boku wązki chodnik, pełen snujących się ludzi. Obok domów wielkich, piętrowych, murowanych, stały małe drewniane domki, otoczone ogródkiem, ciągnącym się daleko w głąb. Obok sklepów z wystawą stały budy drewniane z ruchomą ladą na której rozłożone były owoce, ciasteczka, cukierki różnokolorowe, albo też wędliny, świeże mięso ociekłe krwią i przeróżne jarzyny. Sąsiedztwo starych pochylonych domków z kamienicami wielkiemi, ubóstwa widocznego z bogactwem, sklepów wystawnych z przygodnymi kramami, to zmieszanie towarów, ich gatunku i wyglądu — odbijało się i na przechodniach. Obok ubrań tandetnych, skupowanych przypadkowo, niedomierzonych, ani wszerz, ani wzdłuż, obok postaci pochyłych, ociężałych pod brzemieniem fizycznéj pracy, przesuwali się panowie, ubrani modnie, w błyszczących cylindrach, z laseczką w ręku, przed którymi

tłum szary usuwał się na bok z pewną uniżonością. Panowie ci, idąc z podniesioną głową, zdawali się nie widzieć tych zmęczonych, pożółkłych twarzy i ciężkich ruchów — widzieli, poznawali, witali, usuwali się, spotkawszy tylko podobnych sobie.

Środkiem ulicy ruch wozów nieustanny. Bryki, ładowne wozy, zakryte furgony, obok wózków żydowskich, wozów chłopskich, bryczek z wymęczonymi końmi dorożkarskimi i eleganckich powozów, landów, karet, zaprzęgniętych w doskonale utrzymane konie. Nad tem brudnem błotem, gnijącymi odpadkami, w tem dusznem, przesiąkniętem dymem, zanieczyszczonem powietrzu, ciągnęły się liczne druty telefonów i telegrafów, obok nędznych latarń ulicy, elektryczne oświetlenie wspaniałych budynków. Siła, życie, ruch, energia całego miasta ześrodkowały się w kopalniach i fabrykach, które, chłonąc bogactwo natury i pracę ludzką, wznosiły się dumie szeregiem wysokich, smukłych, czerwonych kominów ponad to mrowisko ludzi i dyktowały prawa życiowe, moralne i towarzyskie.

Wśród przechodniów, rozmawiających i nawołujących się różnymi dyalektami, polskim, rzadziej językiem niemieckim, tu i owdzie odezwał się szwargot żydowski. Lecz o ile mało ich było na ulicy, tem gęściej obsiedli sklepy, sklepiki, kramy i budy, nieustannie polując na przechodzących robotników, ich żony i córki. Nie uniknął tego Pakosz i jego towarzyszki, a rozstawione przysmaki

przypominały im głód. Z rozrzutnością, właściwą ludziom, zarabiającym zawsze niepewną, zawsze chwiejną, zawsze wątpliwą sumę pieniędzy w każdym dniu — Pakosz zakupił dla towarzyszek ciastek i cukierków. Gdy ciastka zjadły, a cukierki zaczęły chrupać, usilnie namawiał na wstąpienie do restauracyi, by wypiły kufel piwa. Przez otwarte drzwi restauracyi i szynków, dolatywały tu i owdzie tony piskliwe skrzypców.

— Wejdźmy! — zawołał Pakosz, wskazując na restauracyę, napełnioną robotnikami.

— Nie wypada! — odpowiedziała Paulisia. — Pan nie wie, jakie tu, u nas, złe są języki... Obnieśliby nas zaraz.

— A u nas chodzą i panny i mężatki do restauracyi...

— To u was, ale tu nie można.

— A gdzież one piją piwo? — dziwił się.

— W domu! albo też idą z mężem, ojcem, bratem.

— Hm... hm... A jak nie mają?

— Jest tu jedno miejsce — zaczęła tajemniczo, — byłam tam raz z mamą, tam są słodkie likiery, wódki, jest i piwo.

— A gdzie? Prowadź panna.

— Ot tam, na prawo, gdzie szyld: „Hersz Szczekacz".

— Tam?? To sklep!

— Tam jest pokoik i tam piją.

— Ano to chodźmy — zawołał Pakosz.

Mały, ruchliwy, niemłody żyd, rozszerzył w uśmiechu szerokie usta, pokazał długie, żółte zęby i, gładząc brudną brodę, zawołał:

— Bardzo proszę państwa młodych. U mnie towar tylko rarytny, antyk, dla takich młodych państwa...

— Ee, my tam nie po towary — rzekł Pakosz — dajno słodkiego likieru.

Żyd obejrzał się lękliwie i, zniżając głos, zapytał:

— Jakie likiery?... Kto panu powiedział?

— Byłam tu z mamą, tam w pokoiku — odezwała się Paulisia i wskazała na drzwi lewe za ladą.

— Pannuncia była?... Nu, teraz nie można, tam dużo pań...

— A to pierońskie szczęście! — zaklął Pakosz.

Żyd obejrzał bacznie gości, spojrzał na ulicę i rzekł cicho:

— Ja coś powiem... Tam nie można, ale w moim alkierzu... ja taki dobry, co ustąpię.

— Gdzie on? — zapytał Pakosz.

Żyd zawołał głośno, nie ruszając się z miejsca:

— Jankiel!

A gdy z poza szaf sklepowych wysunął się blady, zmęczony chłopiec, rzekł:

— Zaprowadź państwo do mego alkierza.... A jaki likier?

— Słodki i dobry — rzekł Pakosz.

— Ile dać?

— Daj, policzymy się później — odpowiedział butnie.

Gdy w godzinę później wychodzili, dziewczęta śmiały się głośno i miały oczy błyszczące, a Pakosz, paląc papierosa, mówił:

— O! u nas lepsze piwo, znacznie lepsze!

— Ale likiery? — zapytała Paulisia, patrząc mu w oczy.

— Likiery dobre i słodkie, ale słodsze panny usta. A! jakie słodkie! — mówił, smakując.

— Jak pan raz jeszcze o tem powie, pogniewam się i nigdy nie pocałujesz.

— Będę milczał jak grób — zaklął się górnik — ale jeszcze pocałuję. Dobrze, panno Paulisiu?

— Tu? na ulicy? Julciu! wiesz, że on się upił! ha, ha, ha — śmiała się głośno.

— Ja nie pijany i nie mówię tu, ale dziś wieczorem odprowadzę i...

— Dziś? To za często.

— Ja tak proszę, tak proszę.

— Cicho! — krzyknęła nagle Paulisia. — Idzie tu moja przyjaciółka.

Nastąpiło spotkanie i pocałunki, nie tyle może szczere, ile głośne.

Pakosz został odprawiony do domu, a dziewczęta poszły do znajomych.

Gdy Paulisia, wchodząc do sieni, odwróciła się i skinęła z uśmiechem głową stojącemu Pakoszowi,

ten głęboko się ukłonił i szedł przed siebie jak pijany szepcąc:

— Jaka ładna, jaka słodka, musi być moją!

IX.

W dzień targowy, Grotkowa, jak każda szanująca się górniczka, szła do miasta po zakupy, a jeszcze bardziej, by z tą lub ową znajomą zobaczyć się i pogadać. Wielkie było zdziwienie Grotkowej, gdy rano Franciszek oświadczył, że dziś nie idzie na swą dzienną szychtę, ale na targ.

— Tracić szychtę?! A to po co? — zapytała, bardziej ciekawa, aniżeli zgorszona.

— Mam interes — odpowiedział sucho — a może kogo ze swoich zobaczę.

I poszli. W mieście Franciszek odłączył się od Grotkowej, kupił faseczkę i skupował masło. Wytargował trzy plastry miodu, zawinął starannie i poszedł do domu.

Przebrawszy się, jak na niedzielę, zabrał masło, miód i poszedł ku mieszkaniu swego sztygara, który wspólnie z innymi przełożonymi w kopalni zajmował jeden z pokaźniejszych domów fabrycznych, a w nim lokal, złożony z trzech pokoi. Dom ten to taka sama podłużna, murowana na wzór koszar, kamienica, tylko staranniej utrzymana, z kilkoma nędznymi kasztanami i malutkim ogródkiem od frontu.

Zapukał nieśmiało do pierwszych drzwi na lewo w sieni parterowej.

— Kto tam? — zawołał głos kobiecy.

Wkrótce drzwi się otworzyły i wejrzała na stojącego Franciszka kobieta jeszcze dość młoda, z bladawą twarzą, ubrana w ciemny szlafroczek, poplamiony tłuszczem.

Franciszek bez czapki stał w milczeniu.

— A po co? — spytała ostro.

— Przyszedłem prosić łaski pani — bąknął i wysunął trochę trzymane przedmioty.

— Jeśli co sprzedać, nie potrzebuję, poszła moja służąca kupić do miasta — rzekła z progu.

— Ja nie po sprzedaży przyszedłem, tylko ot, to masło i ten miód przyniosłem dla wielmożnej pani.

— Dla mnie?... Chodźcie-no bliżej, do przedpokoju...

Tak zwany przedpokój, było to wązkie a długie przejście z pierwszej izby do drugiej, oddzielone od właściwej kuchni perkalową firanką na drucie.

Franciszek stanął tuż koło drzwi, postawił na ziemi faseczkę, talerz z plastrami miodu i pocałował rękę pani sztygarowej, mówiąc:

— Przyniosłem trochę masła i miodu, i proszę pokornie, aby wielmożna pani przyjęła.

— Cóż wy za jedni?

— Służę jako szleper pod panem sztygarem.

— O! nie wezmę za nic na świecie, pewno zmalowaliście co, wypędzili was, a teraz do mnie w prośby. Zabierajcie to i idźcie sobie.

— To nie to, wielmożna pani. Ja rzetelny robotnik, sześć lat bez mała pracuję i sztrafu nie miałem. To jest inny interes.

Jego pokorna mina, drżący głos, usposobiły panią lepiej i zapytała już z uśmiechem łaskawszym:

— Jakiż to interes?

— Napracowałem się jako szleper okrutnie, inni zostali już górnikami, a ja szleprem i szleprem. Jaki taki ćwiknie mi tem w oczy, to mi i wielka żałość...

— Cóż ja wam poradzę?

— To jest tak. Co żona chce, musi mąż poniewoli zrobić, tak i myślę, żeby tylko wielmożna pani przemówiła dobre słowo — jakbym już był górnikiem!

— Tak wam się zdaje — mówiła, rada z roli opiekunki — pracujcie szczerze, to musicie kiedyś zostać górnikiem.

— To się wie, że kiedyś zostanę, ale już chyba powiem całą prawdę wielmożnej pani, jak na spowiedzi. — Zawahał się, umilkł i kręcił czapką, patrząc w podłogę.

— Cóż? mówcie!... — rzekła zachęcająco i spojrzała na faseczkę i na miód, wyciekający z talerza. Pomyślała, jakąby to uciechę dzieciom zrobił miód z orzechami, a i masło przydałoby się w gospodarstwie, nie narzekałby mąż na codzienną słoninę. Pokusa była coraz to silniejsza.

Franciszek po chwili zaczął zwolna mówić, następnie coraz płynniej:

— Jako ja kawaler, to mi niejako żyć... ani to jedzenia, ani oprania, ani żadnego oporządzenia... czas mi już żenić się... I... i... znalazłem dziewczynę, porządnego domu, edukowana, umie szyć na maszynie, panna z niej cała. Byłaby i ona nie od tego, cóż kiedy ojcowie ani rusz bez to, że ona górnicka córka, a ja szleper. Mówią tak: jak ty górnik, to i tobie córka nasza. Ot w tem jest rzecz, że czasu niema, bo ona ładna, to i zabiegają drudzy.

— Cóż dalej? — zapytała, zainteresowana tą historyą miłosną.

— Jest teraz jeden górnik, wielki frant, przyczepił się do niej.

— Zatem wy chcecie... — nie dokończyła tych słów, gdyż w drugim pokoju podniósł się wielki wrzask dzieci i matka wyszła, aby uspokoić.

Franciszek stał i dumał, zda-li się na co to wyrzucenie pieniędzy na masło i miód; co on zrobi z tym fantem, gdy pani nie przyjmie; żydzi dadzą pół ceny, chyba rozprzeda sam... Już miał splunąć i zakląć, gdy pani weszła, wzięła miód i w drugim pokoju słychać było brzęk talerzy rozstawianych. Po chwili weszła do przedpokoju:

— Jakże wy nazywacie się?

— Franciszek Butny, szleper.

— Chcielibyście zostać górnikiem?

— O to dopraszam łaski wielmożnej pani — i pocałował ją w rękę.

— Powiem mężowi, jeśli zasługujecie na to, to

zostaniecie górnikiem, a jeśli nie, to wasza wina, że oszukaliście mnie, iż wy porządny człowiek.

— Bardzo dziękuję wielmożnej pani, ja swego pewny...

— Dobrze, już dobrze, — przerwała mu pani, śpiesząc do dzieci — zanieście masło do kuchni, a za trzy dni przyjdźcie o tej porze po odpowiedź.

Franciszek, postawiwszy masło na stole kuchennym, jeszcze raz ucałował rękę pani, i skłoniwszy się niezgrabnie, poszedł na miasto.

Grotkowa, wróciwszy do domu, dowiedziała się od dzieci, że Franciszek był w domu, przyniósł i wyniósł miód, że się ubrał odświętnie i że miał coś jeszcze w faseczce. Paliła ją ciekawość, dlaczego jej lokator został w domu, chodził na jarmark, coś kupił i ubrany w surdut wyszedł, niewiadomo dokąd. Bolało ją, że nie dał chociażby troszeczki miodu jej dzieciom, które opowiadały z wielkim zachwytem o tym przysmaczku. Zaczęła rozmyślać nad postępowaniem Franciszka... Przypomniała sobie, że od kilku dni był chmurny, osowiały, małomówny, nie sarkał na Pakosza, ani się odgrażał. Zeszłej niedzieli nie odprowadzał Paulisi do szpitala, a na propozycyę nowej pożyczki odpowiedział szorstko, że dosyć już dał. Kombinując, doszła do wniosku, że pewno Franciszek zakochał się w innej dziewczynie, wyprawia dziś zaręczyny i miód poniósł w podarunku.

— Otóżem się doczekała pociechy z Paulisi! Taki dobry lokator, taki, co to siedzi na pienią-

dzach i w ostatecznym razie poratuje, pewno porzuci jej dom, przeniesie się, a kto winien? Paulisia!

I co ona teraz zrobi z temi dziećmi? — rozżalała się Grotkowa, ani to bucików, ani ubrania zimowego, kredyt wyczerpany, grosz grosza nie zobaczy, a i lokatora traci.

Z wielkiego żalu wpadła w gniew, i wybiła chłopaka, dokuczającego jej prośbą o obwarzanek.

To jej ulżyło i zapłakała.

— A mama czego płacze? — zapytała Julcia.

— Czego? — wybuchnęła. — Ona się pyta czego? Nie mam ja was czworga na głowie! Ojca zatłukło i leży sobie jak pan w szpitalu, a ty kręć głową! Jeszcze na sam koniec ten Franciszek odchodzi!

— Zawsze jest Pakosz — ośmieliła się powiedzieć Julcia, wtajemniczona w stosunki Paulisi.

— Pakosz! Pakosz! A bogdajby nigdy tu nie zajrzał! Co miał, to już stracił, już mi za dwie kawy dłużny, to hołysz...

Na tę scenę rodzinną przyszła Paulisia z roboty u modniarki na obiad. Matka zaczęła natychmiast:

— Ładnie się ty prowadzisz! Narobiłaś nieszczęścia i tyle! Zawsze ci mówiłam: ej ostrożnie, bo źle będzie, i sprawdziło się! Ale gdziebyś ty matki słuchała! Tobie, byle oczami strzelać, byle szczerzyć zęby do chłopców — i masz teraz za swoje!

Paulisia na razie pobladła, chwilę słuchała

w milczeniu i przeszła spokojnie do drugiej izby. Rozebrawszy się z palta i zdjąwszy kapelusz, weszła do kuchni ze słowami:

— Niech mama spokojnie powie, o co idzie?

— O co idzie?... Mam mówić spokojnie! Patrzcie no, jaka mi wielka pani. Tak mówię, jak mi się podoba. Czy ty wiesz, że Franciszek się wyprowadza? Może poszedł na zaręczyny z inną, bo mu się naprzykrzyła już twoja swawola... I ma rozum, o! ma!

— A niech sobie idzie, niech się żeni, dosyć go mam. Nie będzie on, będzie drugi!

— Może Pakosz? Taki straceniec, co to miejsca nie zagrzeje, a pieniądze puszcza bez opamiętania, wykapany twój tatuś! Za takiego nie pozwolę ci wyjść, dość mam własnej biedy!

— Któż temu winien? — mówiła Paulisia, szukając w garnkach obiadu. — Franciszek pożyczał, Pakosz także, a wszystko poszło w gardła dzieci. To moje pieniądze! Nie daliby mamie, daliby mi prezenta...

— Tom się doczekała — wybuchnęła Grotkowa płaczem. — Czyż ja dla siebie co kupiłam? Wszystko pcham w dom, a rodzona córka wyrzuty mi robi — i płakała. Ten płacz uspokoił ją zupełnie. Po otarciu łez, podała cichym dzieciom obiad i zapytała córki:

— Cóż ty myślisz z Franciszkiem?

— Jak zechcę, dziś będą zaręczyny, ale po co, czy mama przygotowana do gości?

— Co to, to nie, ale możeby pożyczył?

— A niech pożycza, lecz zaręczyn nie chcę.

— Ej, Paulisiu, ostrożnie, bo kto dwie sroki za ogon trzyma...

— Niech i żadnego nie będzie, to mi wszystko jedno! Cóż mi za niewola iść za Franciszka, albo Pakosza? Lubię i jednego i drugiego, ale do ślubu daleko.

— Ano twój to rozum. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, tylko uważaj, Franciszek ma pieniądze...

— A niech sobie ma. Zobaczy mama, jak on prosić się będzie do nas, ale wtedy fora ze dwora!

— Aby tylko ten dług w sklepie zapłacić! — niepokoiła się głośno Grotkowa.

— Przyjdzie Geldtag, zapłaci Pakosz — pocieszała córka.

— Czy tylko zapłaci?

— A nie on, to Franciszek.

— Pewno, że jeden z nich musi zapłacić... Ot, i pocieszyłaś mnie, moja pociecho! — kończyła matka, całując Paulisię.

X.

Tego dnia wieczorem około godziny ósmej, gdy sztygar trzeciego pola, przełożony Franciszka wrócił do domu, dzieci przywitały go cicho i grzecznie, wpatrzone z niespokojnem oczekiwaniem na jabłka i masło, zdobiące stół jadalnego pokoju.

Na razie ojciec, przechodząc szybko do pokoju

dalszego, nie spostrzegł zastawy, lecz gdy umywszy się, wrócił, spojrzał ze zdziwieniem na żonę:

— Cóż to za imieniny dzisiaj?...

— To nie imieniny — odezwała się córeczka nieśmiało.

— Tyle razy mówiłem, żebyś żadnych zbytków nie pozwalała sobie i dzieciom. Pracuję na chleb, a nie na przysmaki — zaczął gniewnie narzekać i siadł przy stole, oświeconym lampą wiszącą.

Żona wyszła do kuchni, aby przyśpieszyć posiłek wieczorny.

Troje dzieci usiadło w milczeniu do stołu, spoglądając podejrzliwie na chmurnego ojca, częściej na przysmaki.

W czerwonawem świetle lampy, miód, sączący się z komórek białego wosku, nabierał odblasku starego złota i kilka much, zwabionych silnym zapachem, krążyło, racząc się co chwila słodyczą. Czerwonawe jabłka, starannie otarte, ułożone w piramidę, błyszczały rubinowo w świetle, będąc narówni z miodem celem pożądliwych spojrzeń dzieci, które, przechylając ciemne główki, starannie badały wielkość i ilość jabłek.

Po krótkiej chwili weszła żona, a tuż za nią służąca z półmiskiem pieczeni i suto kraszonych kartofli. Woń cebuli i opar świeżego sosu napełniły powietrze. Ojciec, napiwszy się wódki, sięgnął po chleb i masło.

— Cóż to za festyn? — zapytał ostro.

— To prezent dzisiejszy — odpowiedziała mu z uśmiechem.

— Prezent? Ze wsi? Od kogo? — rzucał kolejno zapytania, nabierając pieczeni na talerz.

— Zaraz ci opowiem, bo to cała historya, tylko dzieciom rozdam kolacyę.

W obszernym pokoju słychać było szczęk noży, widelców i głośne mlaskanie językiem.

Gdy mąż zaspokoił pierwszy, gwałtowny apetyt, a dzieci wszczęły ciche spory, komu jakie jabłko przypadnie w udziale, rzekła żona:

— W południe przyszedł tu szleper i przyniósł faskę masła, miód i jabłka.

— Szleper? jak się nazywa?

— Nazywa się, zaraz, zaraz, mam nazwisko zapisane... Chce się żenić, ale nie chcą mu dać dziewczyny, póki nie zostanie górnikiem. Przyszedł więc prosić ciebie, abyś go nim zrobił; mówi, że sześć lat już jest szleprem.

— Zobaczno, jak się nazywa — rzekł mąż, kończąc jeść.

Żona wstała, a zaniepokojone oczy dzieci śledziły jej ruchy, gdy szła do komody opodal stojącej, gdy przeszukiwała koszyk z robótkami, i odetchnęły, gdy zbliżyła się do oświetlonego stołu i z małego skrawka papieru odczytała:

— Franciszek Butny.

— Aha! — zawołał mąż z uśmiechem zadowolenia. — Przyszedłeś sam, ptaszku, o! znam go, znam! No, tego podskubać można bezpiecznie!

— Jest z czego? — zapytała żona, nabierając miodu na talerze dzieci.

— Hm... hm... to Butny przyszedł — mówił sztygar, obierając jabłko — prawda, że dziś nie był na szychcie. I coś mi się zdało, iż to on chyba, ale nie dowierzałem sobie, bo to chytry i kuty chłop.

— Powiedziałam mu, aby przyszedł za trzy dni po odpowiedź.

— Mówią o nim — zaczął mąż, gryząc głośno jabłko — że kilkaset rubli uskładał w kasie, robotnik dobry, nie pije, nie hula, no i mówisz, że chce się żenić?

— Tak mi opowiadał.

— Wiedziałem ci, że mu się chce górnikiem zostać i byłby nim teraz, bo zima idzie i obstalunki sypnęły się, a to zgłupiał chyba, że mu tak pilno...

— Żenić się chce — dorzuciła żona.

— Każdy głupieje przed ślubem — zaśmiał się grubo — ano, niechże płaci. Powiedz mu, że górnikiem zostanie po Św. Barbarze, ale tęczówka na stół.

— Czy nie zawiele sto rubli? — rzekła żona.

— Jak ci mówię sto, to i koniec. Teraz ma z wózka pięć kopiejek, bo jest ładowaczem, a jako górnik weźmie osiemnaście kopiejek. To i co! I sto rubli za mało.

— A jak się przestraszy takiej sumy?

— To da dwieście, jak zechcę. Tylko niech

spróbuje, zaraz z ładowacza pójdzie na spinacza, albo taczkarza i będzie śpiewał cienko!

Dzieci, które już zjadły miód, zaczęły coraz głośniej dopominać się o jabłka. Rozdawała matka w milczeniu.

— Nie wiesz, z kim się żeni?

Żona spojrzała z wyrzutem na męża.

— Nie wiem. Cóż mnie to obchodzi? Mam dosyć, że muszę codziennie patrzeć na tych oberwańców czarnych, jak się snują pod oknami. Zawsze tylko dymy i ci robotnicy, to męka, prawdziwy krzyż pański...

— A to idź z wizytą, czy nie masz gdzie? — zaśmiał się mąż, racząc się miodem.

— Z wizytą? a w czem? Co miałam, to się zdarło, albo niemodne. Ludzie palcem na mnie pokazują, w końcu do kościoła nawet nie pójdę, bo mi wstyd za ciebie...

— No, no, uspokój się, nie becz! Nie znam się na tych fatałachach waszych, a chcesz, to już weź dla siebie ze dwadzieścia z tych stu rubli. Tylko już cicho i nie narzekaj.

— Dwadzieścia! czyś oszalał? zawołała zaczerwieniona, z błyszczącemi oczyma. — Sam materyał na okrycie będzie tyle kosztował, a robota, podszewka, wata, potrzeby?

— To niech będzie dwadzieścia pięć.

— Mój kochany — rzekła drżącym głosem, siląc się na spokój — wolę nie brać i kopiejki, aniteli ni to, ni owo. Tak przynajmniej wiem, że nie

mam w co się ubrać, a trochę dasz i potem muszę słuchać wymówek twoich, pretensyi dogadywań... Nie, nic nie chcę...

— Ileż ci trzeba?

— Ile? Dla mnie z pięćdziesiąt rubli, razem z suknią, dla dzieci choć ze trzydzieści rubli. Pomyśl, że to zima idzie, a wydarły się do cna przez lato i jesień...

— Niechże już będzie dla ciebie i dzieci pięćdziesiąt, ale pamiętaj: do wiosny sza, ani słowa!

Żona uśmiechnęła się zadowolona i, biorąc jabłko, rzekła:

— Na robotę sukienek coś dodasz, już ja znam ciebie, żeś dobry. A wiesz, kupię sobie aksamitną okrywkę... Tej niedzieli nadsztygarowa weszła dumnie do kościoła, w aksamitnym kaftanie, długim do kolan, wszyscy aż oczy wytrzeszczali, ale ja nie taka głupia, przysunęłam się bliżej, pomacałam, i wyobraź sobie, to był welwet, może za pięć marek welwet, a ona się kręci, kryguje, odsuwa się od ludzi, jakby to był najlepszy aksamit. No zobaczy ona mój aksamit, dopiero posinieje!

Mąż słuchał, nie słuchając i po chwili odezwał się:

— Pierońska to służba tutaj... Zawiadowca i dyrektor raz wraz krzyczą: taniej! taniej! Już i żyły wyciągnęliby z człowieka, byle im taniej węgiel przyszedł... Cóż, czy mam sto rąk, aby urobić węgla dużo a tanio? Już i tak krzywią się na mnie górnicy, a oni taniej i taniej!

— O ta nadsztygarka! Wiesz, stroi dzieci jak lalki, same jedwabie i aksamity, wstążki z przodu, a podpięcia także ze wstążki. Co z tych dzieci wyrośnie? Sama nie wiem, gdzie ta kobieta ma rozum i zastanowienie?

— Et, nie lubię babskiego gadania !— obruszył się mąż. — Ja ci mówię o chlebie, a ty mi terkoczesz nad głową fatałaszkami.

Żona ściągając brwi i, nastrajając się poważnie, rzekła:

— Czy i ja mam ci kłopotać głowę interesami służby, ot, radabym cię rozerwać, rozruszać, bo z tymi górnikami na nic schłopiejesz...

— No, no, ja to wiem, alem okrutnie zmordowany, pójdę spać. Herbatę przynieś mi do łóżka.

Wstał, przeciągnął się, ziewnął głośno i, ciężko stąpając, poszedł do sypialni.

Gdy Franciszek w oznaczony czas przyszedł, pani na razie udała, że go nie poznaje:

— Czego to chcecie?

— To ja, proszę łaski wielmożnej pani, com przychodził wedle łaski pana sztygara.

— Ach! to wy! Przypominam sobie... — i, zwracając się do służącej, rzekła: — Idźno, Kasiu, po dziesiątek jaj, tylko świeżych poszukaj, ja już sama dopilnuję kuchni...

Służąca odeszła, patrząc podejrzliwie na Franciszka, który ubrany w strój niedzielny, stał pokornie u drzwi przedpokoju.

— Mówiłam memu mężowi, panu sztygarowi —

zaczęła pani, ubrana w poplamiony szlafroczek i powiedział mi, że to bardzo trudna sprawa... Bo wy macie dużo zawistnych i takich nieprzyjaciół, że raz wraz skarżą się na was.

Franciszek, zdziwiony, słuchał, nagle przemknęła mu myśl, że nikt inny, tylko Pakosz może być takim wrogiem. Chciał zakląć i splunąć, ale powstrzymał się i rzekł:

— To niby na mnie gadają i obmawiają! a niedoczekanie ich! Pewno ten Prusak rozgaduje, co to chciałby się żenić także z moją dziewczyną...

— Napewno nie wiem kto, ale że rozgaduje ktoś, to wiem, sam pan sztygar mówił. Może to i ten wasz rywal.

— Rywal, nie rywal — wybuchnął Franciszek, zaciskając pięści — ale że nie daruję, to nie daruję.

Uśmiechnęła się nieznacznie, rada ze swej dyplomacyi, i zaczęła:

— Żeby nie ta gadanina, zostalibyście górnikiem bez wielkich kosztów i zachodów, ale tak to trudno...

Franciszek pobladł i wybełkotał:

— Jakto? nie zostanę? To jedna pruska gęba więcej warta, aniżeli tyla roboty mojej?

— Nie mówię, że nie, ale to bardzo trudna i kosztowna sprawa, bo trzeba temu i owemu urzędnikowi gębę zamknąć, jak przyjdzie skarga na was....

— Hm... Ja to rozumiem niby, ale ktoby tam śmiał coś powiedzieć na wolę pana sztygara?

— Nie rozumiecie mnie. W kopalni panem jest pan sztygar, to pewna, i nikt mu nic nie powie. Ale te gryzipiórki z biura, co to Bóg wie za co biorą dobre pensye, im w to graj, jak skarga na was przyjdzie...

— Aha — mruknął Franciszek — teraz, to ja wiem. I cóż, rady nijakiej niema?

— Trzeba dać sto rubli, a kto wie, czy i to wystarczy.

Franciszek pobladł. Tak wielkiej sumy nie spodziewał się. Był przygotowany na dziesięć, może piętnaście rubli, ale sto! taki majątek! Toż on zbierał grosz do grosza, nie odpoczął, nie dojadł, nie dospał, odejmował sobie od ust i teraz wydać tak wielki pieniądz! Męka była widoczna w jego żółtawej twarzy, oczy błędnie patrzyły na końce butów zrudziałych, na białą podłogę, na ścianę, pomalowaną w niebieskie kwiateczki, na młodą sztygarową, która pilnie śledziła wyraz jego twarzy. Dwie potęgi walczyły w nim w tej chwili. Chciwość i skąpstwo biedaka, który został kapitalistą, i miłość do Paulisi, z perspektywą zostania górnikiem i możliwością odzyskania tej sumy wytężoną pracą. Ale, gdy wspomniał sobie na trud zbierania tych pieniędzy, gdy obraz mile szeleszczących banknotów stanął mu w myśli, gdy rozważył, że wyda taką sumę na niepewne, bo przecież górnik, to nie żadna ziemia albo chata: taki żal

ścisnął mu serce, że już miał się wyrzec wszystkiego i dalej wieść życie szlepra. W tej chwili sztygarowa przemówiła:

— Tak, tak, mój człowieku, żeby nie te gadania i skargi, to nie kosztowałoby was tyle...

Oczy Franciszka błysnęły złowrogo, nienawiść zwyciężyła skąpstwo wrodzone i głosem zdławionym rzekł:

— Niechże się wielmożna pani ulituje mojej nędzy, trochę grosza mam uzbieranego, chciałem ojcowiznę odkupić, ale takich okrutnych pieniędzy nie mam, muszę się zapożyczyć. Opuść, wielmożna pani, Bóg wam nagrodzi...

Ale sztygarowa już była pewna siebie, chwilowy niepokój o powodzenie ustąpił. Na blade jej policzki wystąpiły wypieki i tonem ostrym, piskliwym zawołała:

— Czy myślisz, że pan sztygar potrzebuje tych głupich stu rubli? Także coś nowego? Ja z dobroci prosiłam męża, a to bydle nie rozumie, że pan sztygar się poświęca, łaskę mu robi. Wynoś się zaraz, dosyć już tego!

Franciszek rzucił się do rąk pani, zaczął całować, jęcząc:

— Wielmożna pani, przebacz, ulituj się, ja prostak, nie umiem gadać...

— No, więc cóż, dacie, czy nie?

— Juścić, że dam... ino górnikiem zostanę.

— Albo na Św. Barbarę zostaniecie, albo zaraz po Św. Barbarze. Ale to głupie gadanie wasze,

że aż górnikiem zostaniecie, trzeba dać naprzód, obiecanki zostawcie dla równych sobie... Inaczej nic nie będzie!

Franciszek się przeraził, ale pomyślał sobie, jak obrażę sztygara, to chyba mi uciec z kopalni; dokuczy on, doskwirze i wypędzi, bez świadectwa, i także, kiedy już raz powiedziałem, że dam, to dać muszę, ale chyba połowa wystarczy na razie. Z wielką pokorą i nieśmiałością odezwał się:

— To jest taka rzecz Mam uskładanych pięćdziesiąt rubli, to i dam zaraz. a już na drugie niech wielmożna pani zaczeka do geldtagu grudniowego. O tę łaskę dopraszam się wielmożnej pani.

Tę prośbę z wielką pokorą i usilnością zrobił, powodowany ostrożnością, gdyż Św. Barbarę obchodzą górnicy d. 4 grudnia, a wypłata, ów geldtag z niemiecka zwany, odbywa się 15 każdego miesiąca, a więc i 15 grudnia.

Na razie nie zoryentowała się pani i propozycyę przyjęła:

— Niechże i tak będzie. Dziś dacie pięćdziesiąt rubli, na geldtag drugie pięćdziesiąt rubli, a na Św. Barbarę zostaniecie górnikiem.

Franciszek stał, pełen wahania. Fala skąpstwa, obawy oddania pieniędzy na niepewne, żalu za banknotami, napłynęła silniej. Patrzał niemal obłąkanym wzrokiem.

Pani nie spojrzała nawet na niego, ale tak, aby coś powiedzieć, rzekła:

— Kiedyż ślub wasz będzie?

Franciszek, któremu się zdawało, że jest pogrążony w czarnej przepaści, nagle oprzytomniał. Paulisia wydała mu się zbawieniem, promieniem, łaską, nagrodą za przecierpiane męki takiego wydatku i, rozszerzając w uśmiechu swe wązkie wargi, odpowiedział:

— Zaraz po adwencie... Teraz pójdę do kasy, a za godzinę przyniosę pieniądze.

— Dobrze. Idźcie i wracajcie szybko, bo później nie będę w domu.

Gdy Franciszek wręczał paczkę banknotów, pani, widząc jego ból i żal, rzekła w rodzaju pociechy:

— Przecież dać sto rubli na to, aby zostać górnikiem i ożenić się z ukochaną dziewczyną, zawsze się wam opłaci.

— Bóg tam wie, co będzie — westchnął z wielką żałością.

— Tylko uważajcie na tego rywala, górnika — zaśmiała się pani szczerze, bo ją bawiła zazdrość marnych robotników o jakąś tam prostą dziewczynę.

— Już ja mu nie daruję! — zawołał Franciszek, podniecony w swej nienawiści ku Pakoszowi zazdrością i podsuniętą przez sztygarową wiadomością o obgadywaniu i wreszcie poniesionym wydatkiem.

Gdy wyszedł z domu mieszkalnego sztygara, był blady, zataczał się, jak pijany i, zaciskając konwulsyjnie ręce, szeptał chrypliwie:

— Nie daruję ci, psie pruski! Zabiję, zabiję, jak psa wściekłego!

XI.

Nadszedł wreszcie tak niecierpliwie przez robotników oczekiwany dzień wypłaty zarobków. Zaliczka, wzięta pierwszego za ubiegły miesiąc, dawno się już rozeszła. Większość robotników zdążyła zrobić nowe długi po szynkach, gospodach, garkuchniach, zaciągnąć nowe zobowiązania w sklepach spożywczych i u swych gospodyń. W ostatnich dniach nastały przymusowe posty i wstrzemięźliwość od napitków. To też „geldtag“ powitano z radością. Błyszczały oczy, uśmiechały się twarze, rzucano wesołym głosem powitania: „Szczęść Boże!“, każdą uwagę, każdy najbardziej wątpliwy dowcip przyjmowano wybuchem głośnego śmiechu, nawet ociężałe, spracowane ruchy stały się lżejszymi, elastyczniejszymi, bo do pustych kieszeni napłynie gotówka, spłacą się konieczne długi i znów nastaną krótkie dni, obfite smaczne jedzenie, w pożądane napitki.

Dzień był pogodny, późną jesienią, cichy, łagodny poranek, ze słońcem, przysłoniętem lekkiemi mgłami, z oparami mlecznymi, unoszącymi się nad pustemi polami. Na niedzielę wypadł w tym miesiącu dzień 15, ów dzień upragniony dla robotników kopalni.

Ze wszech stron śpieszono do domu zbornego, gdzie wypłacano zarobki.

Na nagiem, jesiennem polu z jednej i z drugiej strony szerokiej drogi, wiodącej do kopalni i domu zbornego, rozsiedli się liczni przekupnie, rozkładając towary na przenośnych stolikach, w koszach, na stolnicach. Zamożniejsi przekupnie, nawołując na żony i posługę, ustawiali przygodne namioty z desek, nakrytych dachem płóciennym.

Robotnicy, rozweseleni, rzucali w przejściu pożądliwe spojrzenia na przysmaki, ale tem śpieszniej dążyli na wypłatę, aby użyć przyjemności kupowania i spożywania.

Przekupniów było może czterdziestu.

— Ho, ho, zleciały się już kruki na nasze pieniądze! — zawołał jeden z robotników.

Zaśmiano się.

— Jest ci tu i wrona — rzekł drugi, wskazując na przekupkę w szarej chustce.

Nastąpił wybuch śmiechu.

I posypały się porównania do srok, dzierlatek, dudków. Największą wesołość obudził rzeźnik, ochrzczony na poczekaniu, jako „bryś tłusty“.

Przekupnie z uprzejmym uśmiechem znosili te żarty, odpowiadając wesoło na zaczepki. Przyrównani do ptaków, zachęcali robotników do podskubywania, do zabrania skrzydełek, piersi smacznych. Rzeźnik sentencyonalnie zawołał:

— Ja wam, panowie, wierny jak bryś!

Droga była bardzo wesoła.

Bliżej domu zbornego rozsiedli się żebracy, którzy, zawodząc żałośnie, odsłaniając rany, przypomi-

nali przechodniom, że byli niegdyś górnikami, że pracowali w tejże kopalni, i wzywali litości.

Przed wejściem do domu zbornego stał tłum wielki, zbity, gwarząc zcicha i szeregując się wedle pól pracy. Wczoraj wypłacono wieczorem pierwsze i drugie pole. Dziś zaczęto wypłatę od ostatniego, piątego pola, by ukończyć na trzeciem polu.

Ze strony przeciwnej od wejścia do domu zbornego były drzwi dla wychodzących, już zapłaconych robotników. Drzwi te, strzeżone przez dwóch woźnych, były oblężone przez żony, córki, dzieci robotników. Tu i owdzie przewijały się postaci w brudnych, zabłoconych chałatach. Żydzi, rozstawiwszy się półkolem, jak myśliwi w kniei, nie uważali na potrącania, przekleństwa, złorzeczenia kobiet, ze wzrokiem utkwionym w drzwi, czekali na wychodzących, znosząc w milczeniu wszelkie obelgi. Czasem tylko jednym wykrzyknikiem zwracali uwagę współwyznawcy na wyjście dłużnika, należącego do którego z lichwiarzy. I dalej czuwali z równem natężeniem. Wśród oczekujących kobiet przeważały starsze, ubogo ubrane, z dziećmi u boku, wychudłe, mizerne, przykrywające chustką wierzchnią suknie podniszczone. Rozmowa była gwarna i nieustająca. Słowa: „mój“ i „niech mu Pan Bóg nie pamięta“ były dominujące. Przyszły tu wcześnie, aby uratować zarobek na chleb dla dzieci, na ubranie, na długi.

Poza tem biedactwem, cisnącem się najbliżej

do drzwi wyjścia, aby zaraz pochwycić męża lub ojca, stały górniczki ubrane odświętnie, spokojne, bezpieczne, z tem przedświadczeniem, że ich mąż czy ojciec sam je wyszuka i ufetuje.

A dopiero w głębi, najbliżej przekupniów, zebrały się dziewczęta, chichocząc, dokazując, strzelając oczkami, zwierzając się z różnych tajemnic i oczekując z niepokojem dzisiejszych zabaw i tańców. Czysto ubrane, w sukienkach obcisłych, przeważnie w chusteczkach na głowie, czekały niecierpliwie ojców, a może więcej kawalerów.

Tymczasem w mrocznej, wielkiej sali domu zbornego odbywała się wypłata z biurokratyczną ścisłością i systematycznością.

Przy podwyższonym stole zasiadł delegowany kasyer, dwóch rachmistrzów, zarazem kontrolerów. Obok nich przed otaczającą balustradą stał w tej chwili sztygar pola piątego, silny, barczysty, który spozierał na każdego biorącego zapłatę, sprawdzając wraz z jednym ze starszych górników osobistość robotnika.

Jeden z rachmistrzów, młody, szczupły, brunet, z ołówkiem kolorowym w ręku, wywoływał głośno nazwisko robotnika, drugi ogłaszał przybyłemu ilość zarobionych pieniędzy, co kasyer potwierdzał, kładąc na drewnianą tackę odpowiednią sumę. Woźny wsypywał w nadstawiony kapelusz czy czapkę pieniądze, ołówki przekreślały nazwisko wypłaconego robotnika i znów na nowo rozpoczynała się podobna manipulacya. Trzy głosy, równomierne,

monotonne urzędników i czwarty, odezwanie się robotnika, rozlegały się głucho, jak tępe uderzenia w sali wielkiej, pełnej milczących ludzi. Układały się one w dziwny akord jakiejś melodyi, która nigdy nie może się skończyć, zawsze się zaczyna i znów wraca do pierwszego tonu, jak wieczna praca, wieczny trud, wieczna nędza człowieka, skazanego na pracę bez wytchnienia, bez przyjemności, bez uśmiechu szczęścia. Przez drzwi wchodowe wpływały nieustannie niewyraźne tony nadziei, wesołego gwaru, pomruku zadowolenia; przez wyjściowe drzwi dolatywały jękliwe głosy kobiet, przerywane ostrym, ostrzegawczym tonem lichwiarzy. Chwilami tylko, gdy po wywołanem nazwisku zabrakło odpowiedzi robotnika, następowała krótka pauza. Kontroler podejrzliwie popatrzył na sztygara, zaznaczył nazwisko i wypłata odbywała się nieprzerwanie.

Sztygar spojrzenie to wytrzymał spokojnie, wiedząc doskonale jego znaczenie; wzrok bowiem kontrolera mówił wyraźnie, czy istotnie taki robotnik istnieje w kopalni? czy nie jest to fikcyjne nazwisko, podstawione przez sztygara, który następnie tego lub owego robotnika wyśle po odbiór zarobku, zyskanego na fałszywym, krzywdzącym innych robotników rachunku. Ten rodzaj wyzyskiwania górników, którym się urywa wypracowane wózki, jest tak zwyczajny, tak codzienny, że porządny sztygar wstydzi się uciekać do tak zwykłych sposobów zwiększania dochodów. Są bowiem

lepsze, wykwintniejsze, trudniejsze do odkrycia. To też po ustach sztygara przewinął się uśmiech lekceważący, a tylko gorycz do gryzipiórków biurowych wzmogła się bardziej.

Nareszcie wśród wychodzących zjawił się Władysław Pakosz, który mimo 20-rublowej zaliczki na pierwszego, czuł w kieszeni 40 rubli, dzięki robocie zyskownej przy filarach. Spostrzegłszy Grotkową z dwojgiem dzieci wśród górniczek, przystąpił do niej, uiścił się z drobnego długu za kawę, zapłacił resztę komornego i zapytał o Paulisię.

— Pewno między dziewczętami z Julcią; pójdźmy ich szukać.

Pakosz, zadowolony, że jest pierwszy z pieniędzmi przy Grotkowej, gdyż Franciszek, jako należący do trzeciego pola, dopiero później odbierze należność, szedł dumny, pewny siebie, żartując z dziećmi, ku grupie dziewcząt.

Ta i owa spojrzała na niego, coś zaszeptały do sąsiadki, zaśmiały się i oglądały się za Paulisią, która wystrojona, w kapelusiku z piórem, wyglądała, jak zabłąkana panna pomiędzy pokojówkami.

Matka, widząc Paulisię, otoczoną rówieśnicami, rzekła do Pakosza:

— Dziwno, jakie to szczęście ma Paulisia, spójrzno pan, ile to dziewcząt koło niej.

— Nic dziwnego — odpowiedział z uśmiechem — do miodu każdy rad.

— Już to Pan Bóg wynagrodził mi krzywdę życia; takiej, jak Paulisia, ze świecą nie znajdziesz.

— Na co jej tam świeca — zawołał Pakosz — lampka górnicza dla niej, bo to górnicka córka.

Właśnie Grotkowa chciała długo i szeroko opowiedzieć, jako nie tylko górnicy bywali w tym rodzie, gdy Paulisia, spostrzegłszy idących, podeszła.

— A gdzie Franciszek? — zapytała matki.

— O! Zaraz on na ustach i po co? — obruszył się Pakosz.

— Mam kilka sprawunków, a wiem, że on mi nie pożałuje — odparła z uśmiechem.

— Niby to ja co gorszego... Zakupię cały kram, jak trzeba, chodźmy.

I poszli w stronę przekupniów.

Żebracy, widząc idących, głośniej zakrzyczeli, podstawiając talerzyki. Pakosz rzucił kilka kopiejek.

Przy pierwszym straganie z ciastkami i słodyczami nakupił dla dzieci przysmaków i, zostawiając Grotkową w tyle, sam z Paulisią i Julcią ruszył ku bogatszym kramom.

Pod rozłożonym namiotem spostrzegł lusterka, zdobne w kwiatki. Przystanął i, zwracając się do towarzyszki, rzekł:

— Wybieraj panna, kupię każde.

— Mam ja w domu, ale od przybytku głowa nie zaboli.

Zaczął się wybór i targ. Gdy kupili, Pakosz ofiarował Julci i młodszym dzieciom smażone migdały.

Zostali sami, idąc zwolna, przed kramem z galanteryą i pierścionkami.

— Kupmy pierścionki, niech już raz będą zaręczyny...

— O takiś pan skory! — zaśmiała się dziewczyna. — A na gospodarstwo masz pan? Toż mebli trzeba, porządków i statków rozmaitych. Ja nic nie mam, bo tatuś chorują, a cóż pan ma?

— Prawda po stronie panny; to rozumnie powiedziane. Ale wie panna, od przyszłego „geldtagu“, jak się zawezmę, to w mig pieniądze zbiorę i zrobimy weselisko huczne.

— Zobaczymy, jak dożyjemy. Ach! cóż to za śmieszny pajac! — zawołała na widok małpeczki z drzewa, wywracającej koziołki na sprężynie.

— Kupię! — rzekł Pakosz. — A ile za tego pajaca?

— To nie pajac, tylko małpa — objaśniał kupiec.

— Mnie tam rozumu nie ucz, ile chcesz za tego pajaca?

Po krótkich targach zabawka była w ręku Paulisi. Kupił naparstek, białych koronek, pudełko z cukierkami, broszkę z dwóch gołębi, grzebień do podtrzymania włosów. Wreszcie, obszedłszy wszystkie kramy, wrócili do Grotkowej.

— Co myślisz, Paulisiu? Możebyśmy dzisiaj poszli do Marcinowej na kopalnię Makdulfa? — zapytała matka, patrząc z ciekawością na zakupy córki?

— Cóż tam będziemy robili? Tu weselej.

— I tam jest wypłata, a jarmark lepszy i do kumy iść wypada.

W tej chwili nadszedł Wojtek Szpałek obok Mańki Kurakównej z matką. Jako Kurakowa była dobrą znajomą Grotkowej, a Wojtek krewniakiem— przystanęli.

Mańka, tęga, czerwona, zdrowa dziewczyna, uśmiechała się nieustannie, pokazując białe zęby i zerkając na chłopców. Po chwili, widząc umizgi Pakosza do Paulisi i żywą rozmowę matki z Grotkową, mrugnęła na Wojtka i poszli między kramy.

Na plac kupna przybywali raz wraz robotnicy; jaki taki powitał Mańkę. Nie uszło to uwagi Grotkowej, która ze słodką miną odezwała się:

— Czy nie za dużo chłopców kręci się koło waszej Mani, moja sąsiadko? Z panną lepiej ostrożnie...

Odczuła ten ukryty pocisk Kurakowa i porywczo odrzekła:

— To zależy od panny. Moja Mania to nie mydło i nie zmydli się, bo golić nie potrzebuje.

Była to wyraźna przymówka do stosunku Paulisi z Pakoszem i Franciszkiem; nie omieszkała też Grotkowa odpowiedzieć:

— Tylko stara brzytwa umie golić, a młoda, to nic po niej.

— Prawda wasza, moja sąsiadko, to też chwalić Boga, moja Mania młodsza chyba od waszej Paulisi.

Zaczęły się spory o dzień i godzinę narodzin, aż je przerwał Kurak, zabierając żonę.

— A to gadzina! — zawołała Grotkowa po jej odejściu. — Kontenta, że złapała Wojtka, i dmie. Ale już ja na to poradzę, niechno zobaczę krewniaków. Ano, chodźmy Paulisiu do Makdulfa, dość tej zabawy!

— Jakto — zdziwiła się zgorszona córka — z tymi pakunkami? tak daleko? Świecić ludziom w oczy?

— Zajdziemy do domu... I tak muszę zobaczyć, czy jest porządek.

Przez ten czas tłum kupujących zwiększył się znacznie. Jakkolwiek była to dopiero godzina dziesiąta rano i wypłacono dotychczas w domu zbornym robotnikom czwartego pola, z trudnością można się było przecisnąć do przekupniów. Stoły i kosze, niedawno pełne przysmaków i cukierków, stały w większej części puste, snujące się kobiety i dzieci były obładowane torbeczkami różnej wielkości i zwolna, cmokając, chrupały cukierki. Zwłaszcza dla dzieci dzień wypłaty był dniem balu i używania. Dostatnio i czysto ubrane, co chwila przybiegały do rodziców, kumów, krewnych, z żądaniem kupna nowych przysmaków, nowych cukierków, nowych zabawek! W ich poufałości, w sposobie proszenia i przyjmowania, uwidoczniało się to bezwzględne tyrańskie dzieci, pewnych miłości i uległości starszych. Ten codzienny hazard życia, niepewność powrotu z kopalni, obawa pozostawienia

sierot, narażanie nieustanne dzieci na niepewną, nędzną przyszłość, potęgowały miłość rodzicielską do wysokiego stopnia i skłaniały ojców do ulegania nietylko popędom i pożądaniom, ale kaprysom dzieci. One to były bohaterami tego przygodnego odpustu. kręciły się, krzyczały. piszczały, nawoływały, i starsi ustępowali im bez szemrania pierwszego miejsca, dogodniejszej drogi, łatwiejszego przystępu do ponętnie rozstawionych towarów. Po cukierkach i ciastkach największym pokupem cieszyły się harmonijki ustne i ręczne, trąbki i gwizdki. Ze wszystkich stron odzywały się piskliwe i przenikliwe tony tych narzędzi muzycznych, a zmieszane z hałasem dzieci, z gwarem rozmów, z nawoływaniem starszych, z nieustannym targiem, wytwarzały tę dziwacznie nieharmonijną nutę rozbawionego na jarmarku tłumu, w której ostry, gwałtowny krzyk stanowi najwyższy ton zadowolenia i chwilowej rozkoszy.

Z tem zaspokojeniem potrzeb fizycznych harmonizowała miłość. Pary zakochanych lub chwilowo zainteresowanych sobą snuły się jak na odludziu, dziewczęta i kobiety, czując swą przewagę na razie, pożądały dowodów miłości, w rodzaju zakupienia tych czy owych drobnostek, łakoci, świecidełek.

— Przyjdź dzisiaj „Pod gołębia“, Maniu, potańcujemy — prosił pokornie Wojtek.

— Przyszłabym, tylko nie wiem, czy się godzi?

— Będzie cały nasz numer i sami górnicy — odparł z dumą.

— I ten Szlązak, co wisi przy Paulisi?

— A tobie co do niego? — zapytał z zazdrością.

— Tak sobie... Zaplątał się on tak w spódnice Paulisi, że go nie widać.

— Pewno będzie i on „Pod gołębiem", bo i ona będzie.

— Hm... Trzeba mi kwiatka do włosów i gorsetu...

— Furda!... Kupię całą furę, tylko przyjdź.

Skierowali się ku namiotowi pokaźniejszemu, gdzie w pudełkach barwiły się sztuczne róże, maki, bławaty, lilie...

Mania wybierała, gdy nadeszła Paulisia z całem swem towarzystwem.

— Pakosz! — zawołał Wojtek. — Nie zapomnij też przyjść „Pod gołębia".

— Prosisz na zrękowiny, czy wesele, Wojtku?— zaśmiała się Paulisia.

— Kto tam wie, co będzie? Ale umówiliśmy się na muzykę i tańce. Przyjdziesz, Paulisiu?

— Nie wiem, bom nieprzygotowana.

— Mania bierze kwiaty, weź i ty, ja płacę.

Po dość długich wahaniach, wybrały dziewczęta kwiaty i, posuwane falą ludzi, skierowały się na główną drogę.

Za obrębem przekupniów droga była dość swo-

bodna, szły nią tylko liczne gromadki ludzi, wracających z domu zbornego.

Paulisia, Julcia i Pakosz poprzedzali matkę, Adamową, nawołującą co chwila opóźniające się dzieci.

Po prawej stronie drogi, w trzecim domu, widniał szyld szynku. Pakosz, który prócz serzanego ciastka, nic dzisiaj nie jadł, zwrócił się do Paulisi, wskazując na szynk:

— Pójdźmy na słodką, tak mi czczo jakoś!

Paulisia i Julcia spojrzały na niego zgorszone. Zaciskając zęby, rzekła starsza Grotkówna:

— Także się wybrał! Toż to karczma hutnic, gdzież nam iść do niej!

— Aa! hutnicka!? Nie wiedziałem, znajdziem i naszą. Zapomniałem, bom spragniony!

Wkrótce po lewej stronie, o kilka domów dalej, był szynk drugi, górników. W głębi snuli się goście liczni i od czasu do czasu dobywały się urwane tony skrzypiec, basetli i głośniejsze harmonii.

Weszli i Pakosz zażądał słodkiej wódki, następnie piwa. Sala obok, z podłogą świeżo umytą, była zamknięta, oczekując końca wypłaty, końca nabożeństwa i początku tańców. W pierwszym, szczupłym pokoju było rojno i gwarno.

— A kiedy wasz wydobrzeje? — zapytał Grotkową znajomy górnik.

— Doktorzy obiecują za dwie niedziele, ale ktoby im wierzył?

— Prawdę mówicie — wmieszał się trzeci —

im, byle mamić, a oszukiwać, żadnej z nich poręki i pomocy. Niedawno kajsik zachorzała mi żona i dzieciska, poszedłem, prosiłem, albo to który przyszedł? Tylko obiecują, zwlekają, bo śmierdzi im górnik...

— Ale brać pensye z braterskiej kasy, to biorą, nasz pieniądz im smakuje i jak!? — dodał inny.

Przy słowach o braterskiej kasie, rozmawiający górnicy zwrócili swe oczy na górnika, który, siedząc z poważną miną, palił cygaro, popijając piwem. Był to jeden z delegatów kasy braterskiej, z grona robotników wybrany, który zasiadał w wydziale kasy z głosem doradczym. Odczuł on wzrok obecnych na sobie, a słyszał rozmowę i, strząsając popiół z cygara, rzekł:

— Jest u nas dla poratunku trzech doktorów i biorą setne pieniądze z kasy braterskiej, bo każdy po rubli 4.000 i więcej. Pociechy to z nich żadnej, byle pieniądz pochwycić, a na felczera cała robota...

— To ich przepędzić na cztery wiatry! — zawołał ktoś z głębi.

— Nie pyskować, kiedy mówię! — ciągnął z powagą delegat. — Już my tam myśleli, aby ludowi pomódz, no i coś wymyślimy, tylko nie odrazu, bo co nagle, to po dyable! W tem jest rzecz!

— Ale kobiety nam chorują, dzieciska mrą, a ty Maćku, czekaj zmiłowania! — gorszył się jakiś górnik.

— Idźże se do okręgowego inżyniera, a nie psuj

nam „geldtagu“ i świętej niedzieli — zawyrokował delegat, biorąc w rękę pełen kufel piwa.

— Racya! racya! — potwierdziły liczne głosy.

W tej chwili skrzypiciel, będący w pokoiku za szynkwasem, zagrał wesołego oberka, starsi przytupywali, młodsi, poprawiając czapki, zakrzyczeli półgłosem! hu! hu! a dziewczęta i kobiety poczerwieniały z radości. Sam tylko delegat w poczuciu swej godności zachował powagę, splunął i, zwracając się, rzekł:

— Panie gospodarzu! Obraza boska przed nabożeństwem bawić się muzyką.

— Tak! tak! — mruknęli starsi.

Na znak gospodarza muzyka ucichła i zebrani zwolna wychodzili, ustępując miejsca nowoprzybyłym.

Przed szynkiem górnickim było rojno i gwarno, kobiety opowiadały nowinki i plotki, dzieci zabawiały się oglądaniem zabawek, a mężczyzni obliczali wzajemnie zarobki.

Drogą, że to była niedziela, snuli się ludzie idący do kościoła. Szli też gromadą, odświętnie ubrani, hutnicy z żonami i córkami.

Gdy ich zoczono, zaczęły się drwiny, a któryś z chłopców zaśpiewał:

Idą, idą smolipyski,
Zamiast palców, mają łyżki.
Wyszli, wyszli ze śmierdziuchy,
Okręcają się w kożuchy.

Były to złośliwe przytyki do ich narzędzi robotniczych, w rodzaju łyżek i istotnie niemiłych, trujących gazów, wydobywających się z palenia rudy cynkowej.

Młode hutniczki zarumieniły się i szły naprzód, patrząc przed siebie wielkiemi, rozszerzonemi od ognia źrenicami. Starsze i hutnicy spoglądali z nienawiścią prawie na rozbawionych górników. Ubrani, jak na dzisiejszy, pogodny dzień, ciepło, kobiety w zimowych chustkach, mężczyzni w paltotach watowych, w butach z wysokiemi cholewami, w kaszkietach z wielkimi daszkami, mieli oni istotnie wygląd południowców, przemieszkujących w zimnym kraju. Ich strój był naturalnym wynikiem zajęcia w gorących i parnych hutach.

— To ci się owinęła baba, jak na mróz! — krzyknął ktoś z obozu górników, pokazując starszą hutniczkę.

— Z piekła wyszła, to ją Boże słoneczko ziębi! — odpowiedział drugi.

— Zaśmiano się chóralnie.

— Milczelibyście, krety zatracone! — oburzył się któryś z hutników.

— Nie otwieraj gęby, bo ci płomień buchnie i spali na nice! — odwrzasnął ktoś.

— Krety! krety! krety!

— A wy, smolipyski! skwarki zadymione!

Na odgłos tych krzyków wyszedł delegat górników z izby i, zwracając się do obecnych, rzekł podniesionym głosem:

— Nie wydziwiajcie! Toż i hutnicy ludzie, pracują inaczej, ale pracują. Pana Boga też chwalą, jako i my; to i pocóż te swary?

— Bo śmierdzą! — zawołał ktoś z gromady.

— A ty pachniesz, chociażeś w górnictwie?! Ot, byłaby zgoda i spokój.

— Jako między ogniem a wodą! — zaśmiał się Wincenty, który z dziećmi i żoną stał przed szynkiem.

— Obraza boska i tyle! — tłómaczył delegat.— Insi to ludzie, ale ludzie.

— A niech tam! — zawołał Wincenty — tylko niech nie zaczepiają — i ruszył w kierunku swego mieszkania.

Za nim szedł Pakosz z rodziną Grotka.

Wtem zdala od hutników, którzy już minęli domostwa górników, zabrzmiała piosenka:

Ziemię świętą ryje,
Wodą zgniłą żyje;
Wózki kret popycha,
A na słońcu zdycha.

— Masz i zgodę! — mruknęli z niechęcią górnicy.

— A mówił delegat, że to ludzie!

XII.

Z chwilą powrotu pierwszych pobożnych ze sumy, szynkarz otworzył do sali, wskazał w rogu

przeciwległym miejsce dla muzykantów, otworzył trzy okna, wychodzące na ulicę, i z uśmiechem zadowolenia potarł krótką, rudą brodę, pewny dobrych żniw, jak zwykle przy miesięcznych wypłatach.

Pierwsi goście wchodzili nieśmiało, z pewnem ociąganiem żądali napitków i siadali skromnie przy stolikach w wielkiej sali; zwolna napływali inni, zaczęło być gwarniej, a muzyka grająca dodawała ochoty. Z kobiet zjawiły się najpierw górniczki w latach i, zostawiając mężom swobodę, same obsiadły stół oddzielny, racząc się piwem, przegryzając obwarzankami, i obgadując każdego i wszystkich z wprawą sąsiadek blizkich a przymusowych, pełnych niechęci, pretensyi, zatargów, gdyż obowiązujące przepisem utrzymanie porządków w sieniach i na schodach, dawało usprawiedliwione powody do wzajemnych skarg i narzekań.

Kilka dziewcząt wsunęło się równocześnie do sali w towarzystwie kawalerów, a wśród nich Mańka Kurakówna z nieodstępnym Wojtkiem.

Gdy ją zobaczyły starsze kobiety rzucającą oczyma to w tę, to w ową stronę, rozdającą uśmiechy i powitania, potrząsły niechętnie głowami, a najbliższa jej sąsiadka z domu zaczęła:

— Oj, źle skończy ta dziewczyna! Już to ja widzę, a niejedno i słyszę, bo mieszka za ścianą.

— Mówicie, moiściewy, że będzie źle — zawołała druga, poprawiając chustkę na sobie i sa-

dowiąc się lepiej — już jest źle, jak mi Boga przy skonaniu!

— Wiem ja więcej od kumy, bo ona mi pod bokiem, ale obraza boska gadać — broniła się pierwsza.

— Albo co? Ona niczego, jako panna — dopytywała się inna.

— Za jej panieństwo i szelągabym nie dała — obruszyła się sąsiadka. Tylko jej stroje i zabawy w głowie, skądże brać na to, w takich ciężkich czasach. Ot, spójrzcie tylko, i suknia niczego i kwiatki we włosach i drugie przy sukni, skądże to? Aby coś mieć, trzeba coś dać, to rzecz wiadoma.

Mówiła tak szybko, że aż straciła oddech, westchnęła z głębi piersi i odświeżyła gardło piwem.

— Ja sama, jak mnie żywą widzicie — zaczęła inna, korzystając z czasu — widziałam raz taką rzecz. Posłuchajcie tylko. Idę raz sobie wieczorem do kumy Józefowej, co to mieszka aż w ostatnim domu, już przy „szlafhauzie“ pożyczyć sadła zajęczego, bo mojego potłukło w „querschlagu“, a sadło zajęcze zaraz goi...

— A ja wam powiadam, że najlepsze sadło z prosięcia, z mleczaka. Jak mi przytłukło chłopaka przy sortyrówce...

— Co wy tam o sadłach gadacie! Ja mam maść, co mi ją sprzedał owczarz z pod Kielc aż, to aż człowiek zdrowszy cały, jak się wysmaruje.

To obraziło dwie poprzednie kumoszki i zaczął

się ostry spór o wartości sadła zajęczego, prosięcia i maści owczarza...

Tymczasem muzyka nie ustawała, i co chwila wyrywała się to jedna, to dwie pary, okręciły się kilka razy po sali, przytupnęły i siadały, bo jakoś ochoty zabrakło.

Wojtek, który lgnął do Mańki, jak mucha do miodu, zaproponował „słodkiej"! Za jego przykładem poszli inni kawalerowie. Dziewczęta, stosownie do przyjętych obyczajów, odmawiały, odwracając głowy; chłopcy nalegali goręcej. Nowa odmowa, nowe zaprosiny, aż wreszcie ruszyło całe towarzystwo młodych do pierwszego pokoju, gdzie za baryerą szynkowano wódki i piwa. Dziewczęta wstydliwie ledwie usta umoczyły na razie w kieliszkach, wołając:

— Jakaż mocna!

— Sam spirytus, jak Boga kocham!

— Stracę głowę!

Chłopcy dowcipkowali, kupowali obwarzanki i już z lepszą ochotą zabrano się do tańców.

Tańczono oberka. Czerwona sukienka Mańki fruwała w powietrzu, aż białe spódnice podnosiły się w górę, a gdy Wojtek przykląkł, łaskotała mu zawijająca się spódnica głowę i twarz rozognioną. I dwie Bibielanki w jednakowych niebieskich spódniczkach, miały dobrych tancerzy, którzy to w lewo, to w prawo okręcali dziewczęta, rade tańcom i oczom ludzkim. Widzowie przy stolikach brali żywy udział w hulance, raz wraz huknęli głośno

w takt muzyce, popijali piwo i z wielkiej radości przytupywali butami. Ludzi napływało coraz więcej. W powietrzu unosiła się woń wódki i piwa, okrzyki ludzi mieszały się z dźwiękami muzyki, nawoływania o napitki z wykrzyknikami tancerzy.

W chwili. gdy skrzypce kończyły długim, przeciągłym tonem melodyę oberka, weszła na salę Paulisia, Julcia, Grotkowa i kilka znajomych im dziewcząt. Obok Paulisi, ubranej w ciemno-granatową sukienkę, z makami ponsowymi u gorsu i we włosach, weszli prócz Pakosza i Franciszka, dwaj młodzi ludzie. Byli to górnicy szląscy, z poblizkiej za Przemszą leżącej kopalni Augusty, którzy, przyszedłszy w odwiedziny do towarzyszy, zwabieni muzyką, weszli na salę. Tędzy chłopcy, dobrze odżywieni, ładnie ubrani, zwrócili na siebie uwagę dziewcząt, które nawet zaczęły się prostować, krygować, poważnieć, sznurować usta, by tej zwykłej zabawie nadać ton balu. Szlązacy, jako znajomi tych i owych górników, witali się najpierw z mężczyznami, lecz do mazura, który wnet się zaczął, żaden nie stanął; nawet Pakosz musiał z przykrością przypatrywać się tańcującemu z Paulisią Franciszkowi, nie ufał bowiem swej sztuce tańczenia. Skończył się mazur, jaki taki z kawalerów przyniósł swej damie piwo i w sali słychać tylko zmieszany gwar rozmowy. Dwaj Szlązacy i Pakosz przystąpili do muzyki, a rzucając kilka srebrnych monet, zażądali polki. Tańcowali dobrze i ostro. Po polce zażądali sztejera. I w tym tańcu trzy-

mali prym, jako do niego nawykli. Gniewało to młodzież męską, ambitną do tańca i hulanki. Jaki taki się odgrażał na Prusaków, a już najbardziej Wojtek i Franciszek. Pierwszy za Mańkę, drugi za Paulisię. Wojtek poszedł wprost do muzykantów, schwycił rękę skrzypka ze smyczkiem, urwał melodyę, zmieszał takt i, rzucając pieniądz. zawołał:

— Dość tych niemieckich podrygasów! zagrajcie naszego!

Młodzi zawtórowali mu okrzykiem zachęty.

— Zagramy, albo dlaczegoż nie? Tylko nie wiemy jakiego?

— Zaraz wam prześpiewam! — rzekł Wojtek. Spojrzy, aż tu Mańka robi słodkie oczy do jednego ze Szlązaków; ukłóło go to, i szedł ku niej pochmurny.

— Chodź, Maniu, zatańczymy! Niech widzą te Prusaki!

Wziął ją w pół, jak do krakowiaka, stanął przed muzyką i zaśpiewał:

Kopalnie, kopalnie, to nasze pałace,
Niejedna panienka rzewliwie zapłacze;
Rzewliwie zapłacze, wesoło zaśpiewa,
Bo się każdej chwili nieszczęścia spodziewa.

I ruszył w tan na czele kilkunastu par. Piosenka stara, znana wszystkim górnikom, to też śpiewano ją chórem nie zważając na fałsze i niezgodność głosów; szło o myśl słów, a nie o melo-

dyę. Tańczono zapamiętale, z bezwzględnem oddaniem się ludzi, którzy wobec ciągłego niebezpieczeństwa żyją nerwami, wydatkują całą siłę i żywość temperamentu na daną chwilę, bo kto wie, czyje jutro!

Drżała podłoga, stoliki, dzwoniły szklanki, chwiały się płomienie lamp naftowych, pył podnosił się w górę wraz z zapachem potu, wódki, piwa, tytuniu i cygar. W sali zaczynało być ciasno i duszno, mimo trzech otwartych okien. Gościnny szynkarz oddał swój pokój dla starszych górników, zrobiło się w sali trochę swobodniej, ale też tem ogniściej tańczono. Ten szał zabawy ogarnął wkrótce Szlązaków i Pakosza, pijących dotychczas spokojnie piwo; wmieszali się w krąg. Pakosz, widząc Paulisię, chwilowo wolną, zbliżył się, równocześnie przystąpił i Franciszek. Zmierzyli się wzrokiem, ale Franciszek pewniejszy polskiego tańca, odtrącił Pakosza i wziął rękę Paulisi. Wśród wrzawy i melodyi rozległo się głośne uderzenie w twarz. Bliższe pary przystanęły, a tuż przy Pakoszu stanął i Wojtek.

— Precz ze szleprami! — krzyknął Pakosz, biorąc ogłuszonego Franciszka za kołnierz.

Nie wiedzieli górnicy o co, jak i dlaczego zaszedł spór, ale to odezwanie się do honoru górnickiego poskutkowało. Natychmiast krzyknęli zajadle:

— Precz ze szleprami!

Wszczął się krzyk i zamęt. Przestraszone ko-

biety i dziewczęta skupiły się pod piecem w jedną gromadę, muzyka ustała, a zwycięzcy górnicy oczyszczali salę i przyległe pokoje ze szleprów, broniących się słabo, gdyż górnicy byli i liczniejsi i starsi stanowiskiem.

Franciszek obity, wyrzucony, z obdartym rękawem, wściekły bezsilnym gniewem, gryzł wargi do krwi, aby się od krzyku i złorzeczeń głośnych powstrzymać. Stanął za oknem, śledząc pałającym wzrokiem tryumf swego rywala. Stał chwilę, ale nie mogąc znieść widoku umizgów Pakosza, odwrócił się, sycząc przez zaciśnięte zęby:

— Drogo mi zapłacisz, Prusaku, za ten wieczór!

I szedł ku domowi. W tej chwili nie kochał Paulisi, przeciwnie, miał głęboki żal do niej za dzień dzisiejszy, ale przez zemstę, na przekór Pakoszowi, postanowił ożenić się z nią i przysięgał sobie, że tego dopnie, a swoją drogą zemści się na Pakoszu.

Sprawę szleprów zapito piwem, ale ten wypadek zwarzył ochotę do tańców. Ruszyły najpierw górniczki, ciągnąc mężów za sobą, o ile się to udało; za niemi znikały dziewczęta, odprowadzane przez kawalerów; muzykanci, pomęczeni, grali bez zapału i wkrótce zostali sami mężczyzni, gawędząc i paląc papierosy i cygara.

Ponieważ Grotkowa z córkami zaszła do kumy w pobliżu mieszkającej, więc Pakosz wrócił wkrótce do szynku. W sali opustoszałej pogaszono dwie lampy ścienne, tylko środkowa, wisząca, oświetlała

jaśniej krąg najbliższy, a pod ścianami panowało łagodne półświatło. Górnicy nocnej szychty już opuścili szynk, idąc do kopalni — zostali pracownicy dziennej szychty. Przy większym stole, w rogu, siedzieli gromadnie, pijąc zwolna piwo: delegat braterskiej kasy, starszy Maciej Bibiela, Wincenty Bieluń, Józef Bez, Walenty Kurak i kilku innych. Pakosz kazał sobie podać kufel piwa i, dotykając bocznej kieszeni, przypomniał sobie, że tam znajduje się jego książka obrachunkowa. Wyjąwszy ją, poszedł pod lampę, wczytując się w swój rachunek. Sprawdził dokładnie sumę należności do potrącenia z zarobku, a mianowicie: zaliczkę na kasę braterską, za chleb, za materyały, na kościół, na szkołę, dla sklepu „Nadzieja“ i uśmiechnął się zadowolony, że rachmistrz i on nie pomylili się w dodawaniu. Również i prawa strona otwartej książki, zatytułowana: „zarobek“, w działaniu rachunkowem, w odejmowaniu była bez błędu, ale ilość wózków wydała mu się zbyt małą. Przybliżył książkę do lampy, palcem prawej ręki, grubym, spracowanym, z brudem pod paznogciem, dotknął wątpliwej cyfry 285, nachmurzył się i zaklął głośno.

To zwróciło uwagę siedzących. Maciej Bibiela, wyjmując z ust cygaro, zawołał:

— A co tam, Pakoszu? Braknie?

— Alboż wy nie wiecie sami? — odparł z goryczą, gdyż Maciej, jako starszy górnik, liczył za cały numer.

— Co wiem, to wiem. Ileż braknie?

— Piętnaście całych — odpowiedział Pakosz, chowając książkę i zbliżając się do stołu — a już nie liczę odrzuconych.

— Toś jeszcze szczęśliwy, bracie, — zawołał Józef Bez, śmiejąc się głośno — mogło ci braknąć trzydziestu.

Pakosz zły, nadpił piwa, siadł ciężko na stołek i, patrząc z podełba, rzucił:

— Głupie żarty! Za moją pracę muszą być i moje pieniądze. Starszy winien, bo źle liczył...

— W gorączce gada, to i głupstwa plecie — zaczął Maciej, odrzucając włosy z nad czoła. — Pomiarkuj tylko, jeśli tobie braknie, to i każdemu z nas braknie, a najwięcej mnie, bom starszy... Ale ty nienawykły, boś zagraniczny. My to już wiemy, że urwać, to urwą zawsze; idzie o to, aby urwali mniej, a w tem moja sztuka.

— O! u nas tego niema! — obruszył się Pakosz.

— Jest ci i u was — wmieszał się delegat — tylko nie każdy przejrzy...

— Któż bierze za te wózki? — rozgoryczał się Pakosz, bijąc pięścią w stół. — Ci panowie, co w pałacach siedzą, nie potrzebują, mogliby jeszcze nam dać; w tem jest oszukaństwo!

Gniew Pakosza rozśmieszył górników i Józef Bez, gładząc łysinę ze śladami ran wyleczonych, zawołał wśród śmiechu:

— Ja mu wytłómaczę! To jest, bracie, taki interes. Sztygar pensyę ma małą, ale procenta duże,

dwa i trzy razy takie, jak pensya od tego, aby dał tani węgiel. Jakby szedł po sprawiedliwości, procenta miałby małe, a tu żyć trzeba i dzieci chować. To też gdzie może, a już najbardziej przy filarach i przy akordzie, w skale urywa.

— A cóż wy na to? — dziwił się Pakosz.

— Radzimy, jak możemy — zabrał głos Wincenty, kurząc fajkę i zwolna pykając. — On nas rwie, to i my jego. Tylko że...

— On zawsze górą! — zawołał Józef.

Rozmowa ta niepokoiła widocznie Macieja Bibielę, kręcił się i co chwila tarł ręką czoło; wreszcie rzekł z niechęcią:

— Co tu gadać po próżnemu. Pobędziesz u nas, to i poznasz sam, a nie podoba ci się, to idź dalej!

— Ja muszę znaleźć sprawiedliwość! — zawołał Pakosz. — Nie daruję swego!

— To już nie z nami — odpowiedział zwolna Maciej, patrząc na sposępniałych towarzyszy. — Ja mam dzieci i żonę, karmić ich muszę... Nie będę ci świadczył...

— Ni ja! Miły mi chleb.

— To macie tu pierońskie życie! — zawołał Szlązak. — I niema rady?

Nastało milczenie. Górnicy spoglądali jeden na drugiego. Wreszcie odchrząknął delegat, wpatrzył się jasnemi oczyma w Pakosza, jak gdyby go chciał przejrzeć do gruntu, i rzekł:

— Hm... Rada?... Radzić każdy gotów... Pom-

stować na złe i krzywdę też... Podjudzić i to potrafi każdy... ale co z tego? Ogień rozniecić łatwo, ale kto wie, kogo spali?

— Budynki słomiaste, a drewniane najpierwej — rzekł Maciej Bibiela, patrząc po towarzyszach — a pałace murowane i asekurowane ostoją się...

— Nie przed oskardem! — zawołał Józef Bez, uderzając pięścią w stół.

— Et, marne gadanie! — powiedział delegat nadąsany, bo lubił ład, porządek, umiarkowanie.

Nastało milczenie. Po chwili Maciej, podpierając głowę na dłoni, zwrócił się do delegata:

— Nie czytaliście jakich nowin w gazecie?

— Bardzo ważnego, to nie. Zwykłe rzeczy. Tam kościół budują, ówdzie naprawili, same pobożne rzeczy.

— A o wojnie?

— Ani słychu. Francuz spokojny, Niemiec też, Włosi biją się z dzikusami i tyle...

Górnicy słuchali, a Pakosz, zadzwoniwszy o nowy kufel, zapalił papierosa i, zwracając się do delegata, przemówił:

— Od kamratów, co tu byli na tańcach z kopalni „Augusty", słyszałem, że na wiosnę będzie pewnie wojna.

— Kto? z kim? — zapytał Maciej zainteresowany.

— Będą Turków precz wyganiać — objaśniał Pakosz, zadowolony z wrażenia.

— Co tam Turki — rzekł lekceważąco Wincenty — żeby to tych żydów lichwiarzy?!

— Oj to, to to — dodał Walenty Kurak.

— Czytałem w gazecie — mówił delegat tonem pewnej wyższości — że im fundują państwo żydowskie...

— A gdzie?

— Gdzieżby mieli iść — zgorszył się nieświadomością delegat — każdy ciągnie do swego kraju, to i żydzi do swego.

— A kajże on? — pytał Kurak.

— Toć Ziemia Święta! — zawołał Maciej.

— Jakto? — obruszył się Wincenty, przechylając głowę, jakby sobie nie dowierzał. — Do Ziemi Świętej? Tam, gdzie Nasz Pan cierpiał, żył i był umęczon? Niemożliwe to i chyba łżą te gazety... Sam żyd mi mówił, co za morzem jest ich państwo nowe, gdzieś w Brazylii...

— I ja mam racyę i wy macie racyę — objaśniał delegat — bo im dwa państwa chcą zrobić; toć ich dużo na świecie, a jakby żyli w jednem państwie, to i z czego? Z kim handlować? od kogo brać lichwę? dla kogo faktorować? Wiadoma rzecz, że do pracy żyd niezdatny, ot i w naszym fachu ani poświecisz żyda, niema go na lekarstwo, chociaż to fach dochodny i honorny.

— Honorny to jest, dochodny, jak kiedy — rzekł zwolna Wincenty, kończąc piwo i dzwoniąc o nowe — ale że okrutnie zjada ludzi, to zjada...

Jak już siądę w szalę, to się tylko Panu Bogu i Św. Barbarze polecam, bo czy wiem, co będzie?

Obecni westchnęli, ale starszy górnik, Walenty, uśmiechnął się pod przyciętym wąsem i, robiąc palcem zygzaki z rozlanego piwa, przemówił:

— Żebyście byli kmotrem topielca, jak ten ci górnik, nie byłoby wam tak straszno?

— Nie straszno mi — oburzył się Wincenty — tylko że się jeździ w dół, jak po śmierć, to prawda!...

Ale inni górnicy, zwłaszcza młodsi i Pakosz, ciekawi tego kmotrostwa, wołali:

— Gadajcie ojcze!.. Jakże to było?...

— Ano było to tak — zaczął Walenty, patrząc przed siebie wązkiemi oczkami. — Byłci górnik, chłop setny, pracowity, ale cóż, kiedy bieda aż piszczy w domu, bo miał drobiazgu dziewięć gąb do żywienia. Uprosił też, aby robił w świąteczne dni i brał za to prawie w dubelt. Gdzie źle, to tam słał sztygar Tomasza, niby jego. Aż tu, co się zrobiło! Jakoś na Zielone Świątki woda, wiecie tam w źródlisku, gdzie ją ciągnie maszyna, huczy, szumi, przewala się i toczy żółtą pianę, rzekłbyś, oszalała! Maszyna już ledwie zdąży, aż dech z niej wypiera, a woda idzie i idzie. Postawił tam sztygar Tomasza, aby dał pozór i meldował, co będzie. No i nic, siedzi Tomasz, myśli o kościele, jako przystrojony w zieleń, jak tam organy grają, i tęskno mu do domu, do dziecisków, zwyczajnie jak

ojciec. Porwała go złość na wodę tę, splunął raz, drugi, trzeci i klnie a wyklina.

Przerwał i sączył resztę piwa z kufla. Delegat, chociaż znał tę historyę, słuchał z zajęciem, zadzwonił, zafundował Kurakowi piwa, poczęstował papierosem i rzekł:

— Już to wy, ojcze Walenty, opowiadać, to już umiecie, aż miło posłuchać... No i cóż dalej?

Bardzo ucieszyła ta pochwała Kuraka, nadpił piwa, spojrzał dumnie na zasłuchanych i rzekł:

— Niedarmo też byłem i ja starszym górnikiem tyle lat i byłbym ci jeszcze, ale zwichnęło mi rękę prawą w łokciu, a lewą w zgięciu, obcięło dwa palce u nogi i porwało plecy. Trochę siły mam, ale już nie do górnickiej roboty. Stróżuję — dobre i to.

— Jakżeż to było? — zapytał niecierpliwy Pakosz, bębniąc palcami po stole.

— Na czemże stanąłem? — zapytał Walenty, rad z pytania.

— Ano wyklina od pieronów tej wodzie — odezwał się Wincenty.

— To też klnie a wyzywa, bo go żal i złość wzięła... I co się dzieje? Patrzy, aż tu z wody wyłazi sobie pomalutku człowiek, włosy długie, żółte, kręcone, ociekają wodą, ubiór na nim górnicki, porządny, z łatą, jak się należy. Oskarda nie ma, ale ma świder mocny i wielki, którym się podpiera, a lampka tyla, co guzik, ale błyszczy. Tomasz patrzy, przetarł oczy, patrzy i splunął:

— Tfu, licho jakieś!

A on mu na to:

— Nie pluj, bo jeszcze tę wodę pić będziesz.

— Otóż nie będę! — krzyknął.

— Będziesz — mówi on.

— Nie będę! — odpowiada.

Tak ten patrzy na Tomasza, widzi, że silny chłop, nie poradzi mu, i mówi:

— Ty masz dziewięcioro dzieci?

— Mam.

— Kochający chcesz ich widzieć w takie święto?

— Ba, chcę to chcę, ale muszę wody pilnować.

— Zaraz się uspokoi, tylko mnie posłuchaj. Mam i ja dzieci sporo, teraz syn mi się narodził i nie mam kmotra. Przyrzekł mi ten topielec od Przemszy przyjść, ale widać nie może... Bądźże mi kmotrem.

Poznał go teraz Tomasz. Zerwał się na nogi i krzyknął:

— A utopcze pieroński, to górnika zachciało ci się za kmotra, a niedoczekanie twoje!

— Zaczekajże — mówi mu topielec, bo to był z kopalni — powiem ci sekret taki, że zawsze wyjdziesz żyw z kopalni. Pomyśl, co będzie z dziećmi, jak cię tu zatłucze?

— Prawda! pomrą z głodu — odpowiedział Tomasz i, jako był miękkiego serca, zapłakał.

— Tu sobie postoisz — namawiał ten znów — przyjdzie kuma z dzieckiem i w mig to się skończy.

Tomasz, że mu stanęły dzieci przed oczyma, westchnął i rzekł:

— Niechta będzie i tak. Tylko sekret mi gadaj i uspokój źródlisko.

— A on mu na to:

— Wiem, żeś honorny górnik, to ci naprzód powiem. Jak masz iść do przodka, albo gdzieniebądź, to przedtem, ale pamiętaj sobie, przed modlitwą, zajdź do tej wody. Będzie się burzyć, a piana stanie, to uciekaj, bo śmierć już wisi, a cicho jest, pracuj ile chcesz. Jeszcze nie skończył, aż tu w te pędy woda tak zaszumiała, że aż bryzgi lecą, stoi kuma z dzieckiem. Ubrana jako górniczka po naszemu, tylko blada na gębie, a cieniutkie wargi ledwie kryją wielkie zęby i woda ciurkiem z niej leci. Cóż miał robić? trzyma małego, a był lekki, jako piana. Coś tam pomamrotali, dali mu tej wody pić, a była smakowita, jako wino i sza, cicho... zniknęli. Patrzy, a tu wody ubywa i ubywa, aż się zdziwił. No i poszedł do domu na święta.

Walenty umilkł, rad z wrażenia wywołanego.

— A jakże z tą wodą było? Topielec dotrzymał swego? — pytał Pakosz.

— Jeszczeby też topielec nie dotrzymał? — obruszył się Walenty. — Kmotr zawsze dziecku może zaszkodzić.

— I co się z nim stało? z tym Tomaszem? — badał Wincenty, zasłuchany tak, że o piwie zapomniał.

— A cóżby? Chodził, patrzał na wodę, no i dobrze. Ostrzegała go rzetelnie. Ale raz na spowiedzi wszystko wyznał księdzu. Dobrodziej okrutnie go sfukał i kazał wpierw się pomodlić, a dopiero iść do wody onej. Posłuchał Tomasz, bo był prawy katolik, a i bał się o żywot wieczny... Tak idzie po modlitwie, raz, drugi raz, może i więcej, no i nic, woda spokojna, płynie sobie jakby nic. Aż raz, poprawiał proch, bo jakoś nie chciał odwalić węgla, majstruje, gdy w tem jak buchnie, tyle i jego było... Mówią, że to topielec zemścił się na nim, niby proch zamoczył, aby go zmamić.

Przez chwilę panowało milczenie; odezwał się pierwszy Maciej:

— Ojcze Walenty! Widzieliście wy też topielca?

Zapytany nachmurzył się, potem spojrzał dokoła i rzekł głosem przyciszonym:

— Pytacie, czego ja pod ziemią nie widział? Bo to wiecie, wy wszyscy na ziemi, słoneczko i miesiączek wam świeci, jako na święta, czy to Wielkiejnocy, Trzech Króli, Bożego Narodzenia, bo wy w domu przy wigilii... a ja przy magazynie raz wraz być muszę; wolności niema. To coś tam się i widzi, i słyszy, i zobaczy, bo jak ludzi niema, ani górników, wyłażą dopiero oni i... ot, po co to i gadać.

Wszyscy słuchali, a Wincenty zapytał tajemniczo, drżącym głosem:

— A która, powiedzcie mi, proszę, najdłuższa noc dla was?

— Prawdę powiedziawszy, to i Wielkano swoje, i Zielone Świątki i Święty Piotr i Paweł i inne, ale najgorsza to wigilia Bożego Narodzenia, wtenczas oni moc największą mają, jako Pan nasz Jezus Przenajświętszy jeszcze się nie narodził.

— No, kiedyście już skończyli, ojcze Walenty, czas nam iść, bo namęczył się człek przez dzień, a jutro do roboty.

Zawołano gospodarza, zapłacono, a gdy wstali, zwrócił się Pakosz do Macieja:

— *Vorhäuer* — rzekł z niemiecka, bo nie przywykł był jeszcze mówić po polsku — a gdzie jutro robota?

Spojrzał starszy na niego, skrzywił usta do uśmiechu i mówił:

— Cóż to? Nie wybierasz się od nas za te wózki brakujące?

Ubodło to pytanie Szlązaka i naciskając kapelusz na głowie, odpowiedział krótko:

— Pójdę, kiedy sam zechcę, nie mam tu długu... ale jeszcze zostanę.

— Dla Paulisi — mruknął Wincenty.

— A może, czy mi niewolno, jakom kawaler... Więc gdzie jutro, ojcze?

— Nam z kolei robota w skale, w poprzecznicy...

— To niby w „querschlagu“?

— A tak. Tylko to fajn robota, bo ogień blizki.

— Aha! to już wiem.

Wyszli z pustej sali i przechodzili jeden za

drugim obok szynkwasu. Pakoszowi było jakoś nijako, że się przemówił ze starszym górnikiem o te brakujące wózki, chciał zapić sprawę, to też przy drzwiach chwycił ręką za ubranie Macieja, a drugą za ramię Wincentego i rzekł:

— Napijmy się „mocnej“ do poduszki.

Spojrzeli obaj na niego, a widząc jego twarz uśmiechniętą, skinęli głową z pomrukiem zgody.

Wróciwszy, kazał Pakosz dać trzy kieliszki „mocnej“, którą zagryźli plasterkiem kiełbasy i już wychodzili, gdy nadszedł Wojtek z górnikiem, Sebastyanem. Znów prosi, aby wrócili, ale Maciej odmówił:

— Jako starszy, muszę być pierwszy na szychcie i dość już opiłem się piwska.

I Wincenty nie chciał zostać:

— Czeka mnie kobieta w domu z kolacyą, będzie swarzyć. Po co licho zaczepiać, pójdę i ja do domu.

Wojtek, Pakosz i Sebastyan weszli znów do szynku. Wojtek miał twarz uśmiechniętą, błyszczące oczy i wesołość w ruchach; zawołał głośno o trzy piwa. Pakosz przypatrywał mu się z uwagą i rzekł:

— Cóżeś taki wesoły?... Co było z Mańką?

Wojtek odpowiedział szorstko:

— Nie pytam ja ciebie, co z Paulisią! Nie pytaj ty mnie o moją dziewuchę. Rozumiesz?

— I głupi to rozumie — a że w tej chwili po-

dano piwo, Pakosz trącając kufel Wojtka swoim kuflem, krzyknął: — Na zdar!

— Co mnie tam chcesz zdzierać? Po naszemu: za wasze zdrowie! Szczęść Boże!

Światło w sali zagasił gospodarz, tylko w szynku paliła się lampka, przybita do ściany i przez szkło, trochę zakopcone, rzucała żółte odblaski na szynkwas, na żółtawe twarze górników, nadając im woskowy wygląd i na gospodarza sennego, który, oparłszy się łokciami o stół, ziewał szeroko. Chłopca usługującego wyprawił spać i miał ochotę wyprawić trzech górników, ale nie śmiał, bał się ich obrazić, jako że byli gośćmi stałymi.

Wtem drzwi od ulicy otworzyły się szeroko i tuż weszło pięciu hutników. Pierwszy odedrzwi krzyknął:

— Hej! piwa daj, gospodarzu, bo ogień nas spali!

Inni zaśmiali się głośno i dogadywali:

— Zalać go trzeba!

— Zgasić piwem!

Gospodarz rad zarobkowi, pośpieszył z kuflami do beczki.

Hutnicy obsiedli stół przy ścianie, naprzeciw górników, którzy ich mierzyli groźnem okiem, dziwiąc się potrochu ich śmiałości, że weszli do szynku górnickiego. Jeden z hutników, mały, szczupły, z obwisłym wąsem, zwrócił rozszerzone oczy na gospodarza i mówił:

— Nie stało już u nas piwa, a pragnienie nas

paliło, wodą go nie ugasisz — tu spojrzał złośliwie na górników — więc przyszliśmy do was na kufel piwa.

Górnicy spojrzeli porozumiewawczo na siebie, usłyszawszy przymówkę o wodzie. Wojtek zapiął na wszystkie guziki marynarkę, bo wiedział, że w spokojności to się nie skończy, i tak silnie zatarł ręce, że aż zachrzęszczały kości — ale milczał, przygryzając wargi. Gospodarz z uśmiechem postawił pięć kufli na stole hutników, mówiąc:

— Na zdrowie wypijcie, panowie!

A tuż zaraz zaczął Wojtek:

— Wiecie też, kamraci, z kim się ożenił dyabeł?

— O! z wierzbą suchą — odezwał się trochę podchmielony Sebastyan, śmiejąc się na głos.

— Głupiś! Gorzej jeszcze. Posłuchaj.

Napił się piwa, a że głośno mówił, słuchali go, nie słuchając, hutnicy.

— Dyabeł, jako z piekła rodem, boi się wody; idzie suchem polem i choć słońce piecze w kożuchu — tu spojrzał na hutników — idzie i medytuje, gdzie dostać żony? Był już tu i owdzie, odmówiono mu wszędzie. Aż napotkał hutnika...

— Hej! Ostrożnie z hutnikami — zawołał jeden z nich, biorąc się w boki.

— Czyżby to o was ta historya? — pyta Wojtek z głupia frant. — Nie wiedziałem, żeście hutnik.

I mówił dalej z uśmiechem:

— Spotkali się i, jako swój ze swoim, zaczęli

gadać. Zwierzył się dyabeł ze swego kłopotu o żonę, a hutnik mu na to: bierzcie bracie hutniczkę, toż ona twego rodu!

Jeszcze ostatniego słowa nie skończył, gdy nad głową gwizdnął mu kufel, rzucony przez hutnika. Uchylił głowy i uniknął ciosu, ale też już porwali się górnicy z miejsc. Pakosz i Wojtek pochwycili krzesła, Sebastyan pijany szedł z gołemi rękami. Hutnicy powstali też, wywijając stołkami.

Przestraszony gospodarz krzyczał z całych sił:

— Spokój, panowie! Spokój!

Rozpoczęła się bójka na krzesła i stołki. We drzwiach od alkierza stanęła gospodyni rozebrana, z włosem rozpuszczonym; nadbiegł chłopak, pobudzone dzieci uderzyły w płacz. Krzyczał gospodarz, chowając kieliszki i kufle, zawodziła gospodyni, wrzeszczał chłopak, stojąc bezradny; płakały dzieci. A ci biją się zawzięcie. Sebastyan dostał raz i drugi raz stołkiem, więc w zapalczywości rzucił się na tęgiego hutnika, pochwycił rękami za szyję i zaczął go dusić, nie zważając na razy gęste. Duszony posiniał, już i charczeć zaczął, ale domacawszy się noża w kieszeni, otworzył go i ostatnim wysiłkiem ciął Sebastyana od pachy do biodra. Obaj padli na ziemię, a Sebastyan głową uderzył o róg stołu. Porwał się hutnik, cały okrwawiony, i cofa się za swoich. Spojrzą inni, a Sebastyan leży jak trup, krew tylko bucha. Gospodarz wrzasnął okropnym głosem:

— Śmierć!

Bójka ustała na krótką chwilę. Hutnicy, przerażeni tą nagłą śmiercią, zaczęli się cofać ku drzwiom. Wojtek i Pakosz zdrętwieli, zobaczywszy skrwawionego towarzysza i nagle porwała ich taka pasya i gniew, że rzucili się na oślep ku hutnikom. Lecz ci nie czekali natarcia, szybko wyskoczyli za drzwi i napróżno było gonić ich w ciemnej nocy. Rozżalony Wojtek stanął w progu i zawołał za uciekającymi:

— Poznam cię i zginiesz!

Wszedł znów do szynku i wzięto się do ratowania Sebastyana, ocucając go wodą; gospodarz dał szmat do przewiązania rany i naglił, aby rannego do domu odprowadzić, gdzie będzie mu lepiej i wygodniej.

Wojtek, patrząc na bladego Sebastyana, łamał ręce z rozpaczy, wołając:

— Co powie matka Sebastyana, ma go jednego tylko! I to ja go wyciągnąłem na jego nieszczęście!

Po chwili, jak gdyby się pocieszał, rzekł:

— Już ja znajdę tego hutnika! Odpowie mi on za Sebastyana, zamorduję, zabiję, skórę żywcem zedrę!

We dwóch z Pakoszem, podtrzymując rannego Sebastyana, wyszli i zniknęli wkrótce z oczu wyglądającego gospodarza w cieniach nocy.

XIII.

Nazajutrz rano, zanim przeczytano listę górników i robotników, zebrani żywo opowiadali sobie

przejścia wczorajszego „geldtagu“. Opowieść Wojtka o zajściu krwawem z hutnikami, wywołała szmer oburzenia i zgrozy. Jaki taki spojrzał na poblizką hutę cynkową i, wygrażając pięścią, przeklinał. Współczucie dla Sebastyana i jego matki było ogólne, a Wojtek, iż tak hutnikom umiał dopiec, urósł w ich oczach.

Numer 26, jak przewidywał Maciej Bibiela, został przez sztygara przeznaczony w skale. Gdy zjechali szypem na dół, Maciej znając to miejsce, poprowadził swój numer po długiej i krętej drodze.

Z torbami przewieszonemi, z oskardem i świdrem w prawej, z lampką w lewej ręce, szli po chodnikach ciemnych, po stromych pochylniach. Od czasu do czasu spotykali górników i szleprów, których światełka nie mogły rozprószyć odwiecznej ciemności. Ze słowami: „Szczęść Boże!“ szli dalej w głąb tajemniczą. Na okrzyk: „Pozór“ odsuwali się pod ściany czarne, wilgotne od wody a przed nimi przelatywały wózki z węglem, hucząc i turkocząc w ciasnym chodniku. Gdzieś z boku zabłysła lampka; zdawało się, że w tej ciemnicy samo światełko rusza się, żyje, kręgi zatacza i gdzieś w ciemnej ścianie niknie. Czasem, jak daleki grzmot, to ciszej, to głośniej odzywała się mina prochowa. Znów jak białe duchy podnosiły się sosnowe podpory, chwilowo rozświetlone i niknące w nocy nieprzejrzanej. Spuściwszy się głębiej na jednej z pochylni, usłyszeli wyraźny szmer wody, który stopniowo wzrastał, jako szum, głośny wir, kotłowanie

niecierpliwej fali. Zbiornik wód gadał do nich, to śpiewał cicho, łagodnie, jak kołysanka, znów burzył się i rwał, jak młodość, to uderzał o ściany, wściekły z gniewu. I on tak zawsze szemrze, szumi, rwie, huczy, złości się, bezsilny, zawsze czujny, czeka z utęsknieniem chwili, gdy omdleje w swej pracy maszyna, pompy ssać przestaną, ludzie usną pomęczeni, a wówczas zemści się za swe długie lata niewoli — zaleje z rozkoszą pracę ludzką. Mówią górnicy, że woda podziemna jest straszna, nieprzejednana, mściwa, marzy tylko o szkodach, nieszczęściu, zniszczeniu. Wszędzie się wciska, wszędzie jest, zawsze obecna, nieodgadniona, nieopanowana. Gdy sama szkodzić nie może, łączy się z pyłem węglowym, porzuconym przez górników, i zagrzewa węgiel do walki strasznej, śmiertelnej, przerażającej — wznieca pożar! To też ani górnicy z nią, ani ona z górnikami pokoju zawrzeć nie mogą, — wre walka nieustanna. Numer 26, przechodząc obok zbiornika, spojrzał podejrzliwie na ciemne, wykute w skale schody w głąb do wody wiodące, i minął je w posępnem milczeniu. W umyśle Macieja i Wincentego odtworzyły się przerażające obrazy zalewu to tej, to owej kopalni, gdzie poginęły setki górników, to też w milczeniu przeszli długą pochylnię, nasłuchując mimowoli okrzyków wojennych nieprzyjaciela — wody.

— Hej! Żeby ją tak rozkuć! — rzekł Wojtek — dopieroby pohulała!

— Cicho! Nie wyzywaj licha! — ostrzegł Wincenty.

W ciemnym chodniku, którym szli dalej w milczeniu, było tylko słychać stukot ich butów, uderzenia głuche hełmisk, oskardów, którymi się podpierali, i cienkie skwierczenie knota lampki.

Gdy stanęli przed czarnym otworem, przeznaczonym do ich roboty, zdjął Maciej pilśniowy kapelusz i zwracając się do towarzyszy rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na co ci, odsłaniając głowę, odpowiedzieli niemal jednogłośnie:

— Na wieki wieków, amen!

Ukląkł Maciej a za nim jego towarzysze, przeżegnał się i głosem silnym, jednostajnym, odmówił modlitwę, powtarzaną na głos przez obecnych.

Słowa modlitwy, wypowiadane przez pięć osób niemal równocześnie, odbijały się o nizkie sklepienia chodnika, jako jeden silny głos, który dźwięczał czas jakiś i ginął gdzieś w czarnej głębi. Postawione na ziemi lampki, chwiane powiewem wiatru, rozświecały i pogrążały w cień twarze górników, zapalały błyski w ich wzniesionych oczach, migotały w paznogciach rąk złożonych, w guzikach metalowych, odznaczały białe blizny po zagojonych ranach. Cienie modlących się na czarnej skale chodnika rysowały się linią świetlistą, chwiejną,

zmienną, to czepiającą się czarnego tła, znów ginącą w czarnych pomrokach.

Skończyli modlitwę i Maciej, jako starszy górnik, wszedł pierwszy w rozpoczęty poprzeczny chodnik ze słowami:

— Szczęść Boże!

Tamci, odpowiedziawszy, postępowali za nim; jeden tylko Wincenty pozostał w tyle, kończąc modlitwę, bijąc się w piersi z nadzwyczajną pokorą i przejęciem.

Uszli jakie 60 metrów. Nagle Maciej stanął i krzyknął:

— Żeby was siarczysty, ognisty pieron zatrząsł, harhary zatracone! Czy widzicie, co te pierońskie giździe nam zostawili? Toż tu skały nawalono ze trzy wózki, a my musimy to wybrać, bo dostępu, ani rachunku niema!

Stanęli półkolem nad kupą zwalonych kamieni, urwanych ze ścian skalistych, i każdy, nie wyłączając ładowacza, Jana, klął najlepiej, jak umiał. Mniejsze i większe bryły skał leżały i uniemożliwiały dalszą porządną robotę. Zostawili je poprzedni górnicy z nocnej szychty. Pierwszy uspokoił się Maciej i rzekł w rodzaju pociechy:

— Zostawimy i my im z dziennej szychty, oduczą się głupich żartów.

— Dobry mi żart tyle wywieźć! — mruknął ładowacz Jan.

— I ten flek coś tu gada! — oburzył się Maciej, rad, że na kim złość wywrzeć może. — Ty

zatracony giździe, płatny od wózka, albo dziennie, to i co tobie do tego, ale nam, górnikom, nam to ciężko. Jeszcze z takim durniem muszę się ujadać! Bierz się zaraz do roboty, bo cię ściągnę kryką!

Jan, nic nie mówiąc, zaczął napełniać taczki kamieniem.

— Ty, Pakoszu — mówił Maciej Bibiela, wskazując miejsce lampką — będziesz wiercił z góry na ukos do Wojtka, który stanie na prawo. A wy Wincenty, z lewej wierćcie ku Pakoszowi. Ja odmierzę chodnik, aby nam nie urwano.

Górnicy odłożyli oskardy, a wzięli w ręce tak zwane świdry, ciężki, żelazny drążek, około 70 centymetrów długi, zakończony ostrem dłutem. Rozpoczęły się głuche, miarowe uderzenia, przerywane od czasu do czasu głośniejszemi klątwami Pakosza i Wojtka na twardy, nieużyty kamień. Upłynęła dobra chwila żarliwej roboty.

Znudzony milczeniem, Pakosz zaczął gwizdać wesołą polkę. Natychmiast Wincenty i Wojtek przestali pracować, krzycząc:

— Milcz! milcz, zatracony!

Zdziwiony Pakosz, przestał gwizdać i zwrócił się do towarzyszy.

— Nie gwizdaj! — zawołał Wojtek oburzony.

Wincenty, odetchnąwszy głęboko, zaczął mówić głośno, zduszonym od gniewu głosem:

— Że ciebie za gwizdanie Skarbnik lunie, to i dobrze, będzie to po sprawiedliwości, bo gwiz-

dać on nie pozwala nikomu; ale że ty na nas nieszczęście ściągniesz, na nas niewinnych, to już po prusacku!

Pakosz zlazł z podwyższenia, na którem stał, wybijając otwór, przystąpił bliżej do Wincentego i rzekł z gniewem:

— Wy mi nie wymyślajcie od Prusaków, bo ja rzetelny Szlązak. I to się jeszcze nie pokazało, abym kamratom źle życzył! To pamiętajcie sobie, ojcze Wincenty.

— Pocóż gwizdałeś? — wmieszał się Wojtek.

— Po co? Tak, dla ochoty. Czy to grzech?

— Grzech? to nie! — odpowiedział spokojniej Wincenty. — Tylko tu u nas niewolno gwizdać, bo cię zaraz gwizdnie Skarbnik. On tu pan i każdy musi go słuchać. Niebardzo lubi on i śpiew ladajaki, tylko jak pobożny śpiew, to słucha go przykładnie, bo mu lżej na duszy. Ale gwizdać!? A niech ręka boska broni... Kto wie, czy on tu już nie jest blizko?

Oglądał się niespokojnie, nasłuchując; patrzali w krąg i Wojtek i Pakosz zaniepokojeni, ale wokoło była cisza, tylko w dali, koło chodnika, migała jakaś lampka, pewno Macieja, jak się domyślali! Wtem posłyszeli trzask osuwających się kamieni z otworu Pakosza. Pobledli i czekali z biciem serca, co będzie dalej. Ale po tym odgłosie zapanowała znów cisza. Po chwili Wincenty, zniżywszy głos, zaczął:

— Musisz przebłagać skarbnika, bo źle będzie,

on gdzieś tu jest, dał nam znak. Albo daj na Mszę świętą, albo funt woskowych świec, tylko jak przyrzekniesz, to dotrzymaj.

— Dam na Mszę świętą! — odpowiedział Pakosz z pokorą.

— A teraz bracia zmówmy razem litanię do Św. Barbary, naszej patronki.

Uklękli i za przewodem Wincentego, powtarzali litanię. Zanim skończyli, nadszedł Maciej i Jan; nie pytając, uklękli i dołączyli swe głosy. Najgłośniej powtarzał, najsilniej bił się w piersi i najniżej schylał głowę Pakosz, poczuwając się do winy i błagając o pomoc i przebaczenie zarówno Św. Barbarę, jak i Skarbnika. Na razie dwie te potęgi nadziemskie miały równą moc i siłę w jego wyobraźni w tem podziemiu głębokiem, przerażającem ciemnością, ciszą i grozą tajemniczą.

Gdy skończyli litanię, zapytał Maciej o powód modlitwy, a dowiedziawszy się, spojrzał surowo i niechętnie na Pakosza, mówiąc:

— Gwizdać tu, u nas, niewolno. Może ci to ujdzie na sucho, boś nieświadomy. A teraz do roboty! Ja rozbiję większe kawały.

Górnicy skierowali się do rozpoczętych otworów, a Wojtek zapytał:

— A ile metrów mierzy?

— Sześćdziesiąt i jeden. Mierzyłem rzetelnie, tylko co powie sztygar?

— Przypilnujcie miary — doradzał Wincenty.

— Już mnie nie uczcie — obruszył się Maciej.

Pracowano zawzięcie, chcąc wynagrodzić czas, poświęcony modlitwie. Otwory były już prawie gotowe, gdy nadszedł sztygar. Maciej skarżył się na pozostawiony kamień.

— Powiem panu nadsztygarowi — odpowiedział przełożony — tamten numer osztrafuje się porządnie, ale wy nie wagujcie się coś zostawiać bo zaliczę podwójny sztraf. — Oglądał robotę dał kartkę na dwukrotną minę dynamitową i zapytał:

— Mierzyłeś poprzecznicę?

— Mierzyłem, panie sztygar.

— Czem?

— Mój oskard z żelazem akurat metr jeden.

— Ile?

— Sześćdziesiąt jeden metrów, panie sztygar.

— Sprawdzę moim metrem. Skąd dokąd mierzyłeś?

Maciej wskazał punkt końcowy, tuż przy skale zamykającej drogę. Sztygar wyjął łańcuszek, długi na trzy metry, i zaczął mierzyć. Maciej przytrzymywał początek, sztygar szedł przodem. Przy każdych nowych trzech metrach, sam sztygar wieszał lampkę Macieja dla kontroli i dopiero na jego rozkaz wolno było ruszyć światło. Gdy już byli u chodnika, sztygar, zwracając się do Macieja, zaśmiał się grubo:

— Rzuć do pierona twój metr długi... Tu jest sześćdziesiąt dwa i pół metra! Słyszałeś?

I mówiąc „Szczęść Boże“, poszedł dalej.

Gdy Maciej z ładunkami dynamitowymi wrócił do numeru, otwory były już gotowe. W chwili, gdy ostrożnie zakładano minę, zapytał Wincenty:

— A jaka miara?

— Trzy ruble nam urwał! Mówi, że jest sześćdziesiąt dwa i pół, a ja wiem, że sześćdziesiąt jeden metrów.

— Było motać w tył! — zawołał Wojtek.

— Myślisz, żem popuszczał? — odpowiedział Maciej z ironią. — Ale on ci tu przy was już wiedział, że nam urwie trzy ruble.

Wszyscy zaklęli. Po chwili odezwał się Pakosz:

— I półtora metra ukradł i co nam ta przyjdzie ze sztrafu, kiedy zrobić musimy porządek.

Zaśmiał się złośliwie Wincenty.

— A znasz ty przysłowie: kruk krukowi oka nie wykole?

— No, znam!

— To się naucz, że i sztygar sztygarowi nie zrobi tego. Nasz do nadsztygara nie pójdzie, zwąchają się sztygarzy ze sobą i sztraf numeru nocnej szychty dla nich pójdzie, a my darmo robić musimy.

Znów zaklęli jednogłośnie.

— To zostawmy i my! — obruszył się Pakosz.

— Dobryś! — rzekł Maciej. — Słyszałeś, nam podwójny sztraf, i dopieroby się obłowili obaj. Ho, ho, znam ja te sztuki! Porządek musimy zrobić, bo tylko raz chwyci ryba haczyk...

Miny były gotowe i długie lonty trzymając

w lewej ręce, prawą zbliżyli na dane hasło płomień lampki. Podpalili równocześnie i szybko poszli ku chodnikowi podłużnemu.

Usiedli, jedząc chleb, przyniesiony z wędliną.

Pakosz, który swych niedoliczonych wózków nie mógł zapomnieć, zgorszył się tembardziej pozostawionym kamieniem i fałszywą miarą, i zaczął:

— I u nas nie jest taki porządek, aby to było sprawiedliwie; płacą mniej, sztrafują za byle co, czasem dla fantazyi... urwą, jak się niedopatrzysz... ale, żeby tak na oczach zdzierać skórę, tego nie widziałem!

W tej chwili rozległy się trzy tępo brzmiące wystrzały i silny powiew wypychanego powietrza zachwiał płomykami lampy.

— Równa robota! — zaśmiał się Wojtek z zadowoleniem.

Nasłuchiwali echa i łomotu padających kamieni. Pakosz, rozgoryczony, mówił dalej:

— Przecież czytałem, i jest wyraźny paragraf prawa, że i płaca i odbiór akordowej roboty może być tylko za zgodą górników ze sztygarem, albo zawiadowcą kopalni. U nas, jak prawo, to prawo, sam dyrektor musi go słuchać. Czemuż nie trzymacie się prawa?

Towarzysze spoglądali na siebie z uśmiechem ironii, wreszcie rzekł Maciej:

— Zaraz widać, żeś ty zagraniczny, bo u nas prawo pisane jest piękne, lepsze aniżeli u was; ale gdzie znajdziesz sprawiedliwość?

— Tylko u Boga jest sprawiedliwość! — westchnął pobożnie Wincenty.

— Możesz iść, bracie, ze skargą do okręgowego — wmieszał się Wojtek — zaraz zjedzie, rozpatrzy, powie jak być powinno... ale i odjedzie. A ty rzuć wtedy kopalnię, zarobek, wszystko, boś na łasce sztygara, tego lub drugiego. Nie schowasz się pod ziemią, bo cię tu znajdzie zaraz... Bóg wysoko, to i nie dosięgniesz prawdy.

— Ale w żywocie wiecznym zobaczym, kto będzie praw? my czy oni? — pocieszał szczerze i poważnie Wincenty.

Maciej, słuchając, rzucał często okiem w głąb chodnika i po chwili rzekł:

— Miał sztygar przysłać dwóch taczkarzy do nas, bo powiedziałem, że u nas robota pali się w ręku. No i nie widać.

Jan wstał, patrzył dość długo i zwracając się do Macieja, odrzekł:

— Idą na nas dwie lampki, jedna za drugą, chyba to oni.

— Może!... To i wstańmy, pewno kurz już opadł. Ty, Janie, chybaj po wózki, a oni skałę dowiozą ci taczkami. Chodźmy!

Wojtek, wstawszy, przeciągał się, ziewając.

— Cóżeś taki zmęczony? — zapytał Maciej.

— A to po wczorajszej bójce z hutnikami — zaśmiał się Pakosz.

— Słyszałem i o tem — mówił Maciej, idąc zwolna w głąb. — Cóż matka Sebastyana?

— Okrutnie się odgrażała i pomstowała — odpowiedział Wojtek. — Musiałem przyrzec, że pokażę jej tego hutnika i że się zemszczę krwawo. I tak będzie, chociażbym miał do ich szynku pójść, to pójdę, a swego nie daruję.

— A rana wielka? Wyzdrowieje? — zapytał Wincenty, wzdychając.

— Rana nie to, żeby głęboka, ale długa. Ześliznął się nóż po żebrach.

— Że też te podłe hutniki zaraz do noża się biorą! — dziwił się Pakosz.

— Nie dziwota — rozumował Maciej — mało ich jest, a nas siła. Każdy się broni jak może. No i słabe to, chuderlawe, wysmażone w ogniu, skądże ma im przyjść siła? To też i nożem dźga.

Doszli do odwalonej skały. Dynamit skruszył kamień, zrobił wyrwę, wzięli więc oskardy i wyrównywali skałę. Nadeszli i taczkarze, robota szła składnie. Gdy się wzięli znów do świdrowania, ucieszyli się wielce, gdyż po kilku uderzeniach w twardy piaskowiec, zmienił sie ton odgłosu, dalsza skała była miękkawym łupkiem. Po chwili odezwał się Wincenty:

— Macieju! a macie lont gutaperkowy czy niciany?

— Albo co?

— Bo sączy się woda.

— O! u mnie też dobra! — zawołał Pakosz.

— Przewidujący wziąłem i gutaperkowy, od czegoż ja starszy? — odpowiedział z dumą w gło-

sie. — A świdrujcie głęboko, bo szkoda naboju na mały kawał.

— Po ileż nam liczą dynamit? — pytał Pakosz, nie ustając w natężonej robocie.

— Funt 37 kopiejek. Dawniej był droższy, ale nauczyli się ludzie robić, to i staniał — objaśnił Maciej.

— A lont po ile?

— Jak od lontu: niciany po jedenaście a gutaperkowy po czternaście kopiejek. Na jeden raz bierzemy, jak zwyczajnie, po 8 metrów. A u was?

— I u nas tyle, tylko że trochę taniej liczą dynamit i lonty, bo fabryki w miejscu.

— Słyszałem ja — mówił Maciej dalej, rozbijając bryłę — że kraj wasz bogaty.

— Jak dla kogo — przerwał mu Pakosz — dla bogatych to on bogaty, a dla biednych biedny.

— Sprawiedliwie powiedziałeś — wmieszał się Wincenty — to tak jak i u nas.

— Skończyłem! — zawołał Wojtek.

— Aby nie płytko — ostrzegł Maciej, bo ten szychtowy kamień odrzuca łatwo.

— Ee, nie będzie płytko, prawie po ramię!

— Masz tu nabój — rzekł starszy górnik, idąc w kąt do torby — umocuj dobrze lont przy kapiszonie, aby trzasł.

— Czy to mi pierwszyzna!? — odpowiedział z lekką wymówką w głosie Wojtek.

— Dobra rada nigdy nie zawadzi — mówił Maciej, podając nabój.

— Od dziecka mówią ci: nie grzesz! — rozwijał tę myśl Wincenty — a i tak grzeszysz, a obrażałbyś ciągle Pana Boga, gdybyś sobie nie powtarzał przestrogi: nie grzesz!

— Ja nie święty, — zaśmiał się Wojtek — i grzeszyć muszę!

— Sprawiedliwy i to siedem razy zgrzeszy — dodał sentencyonalnie Wincenty.

Pakosz, zeskakując z podwyższenia, krzyknął:

— *Fertig!*

— Nauczże się raz po naszemu! — rzekł Wojtek — powiedz: gotowe!

— Niech będzie i gotowe — zaśmiał się Pakosz.

Skończył wreszcie i Wincenty. Założono naboje i lonty były w pogotowiu, czekając znaku Macieja, który, widząc taczkarzy, zajętych ładowaniem krzyknął ostro:

— Na bok, szlepry!

— Jedzie mocny król! Dynamit! — dorzucił Wojtek.

Taczkarze szybko zarzucili na karki pasy parciane i pchali taczki ku chodnikowi. Zapalono lonty, a gdy górnicy stanęli w bezpiecznem miejscu, rzekł Pakosz:

— Mówiliście, że tu gdzieś w blizkości jest tama od pożaru; zcbaczyłbym.

— A jest! Idź, kiedyś ciekaw! — odpowiedział Maciej.

— Nie trafię sam — odpowiedział Szlązak.

— Ja to wiem. Jako starszy, muszę tu pilnować...

— Pójdę i pokażę — rzekł Wincenty, wstając. — Nic to ciekawego, ale byłem w bliskości naonczas, to ci pokażę.

— Idźcie! — pozwolił Maciej.

Z chodnika skręcili na prawo w pochylnię i weszli na nowy chodnik wyższy! Im dalej szli w głąb, tem wilgotniejszy opar ich obejmował. Od czasu do czasu spadła kropla wody z góry, dźwięcząc na twardym kamieniu. Na prawo wznosiła się dość łagodna pochylnia, a u samego skrętu zamigotała w świetle lampek idących górników tafla wody.

— Spokojny zdrój — odpowiedział Wincenty — będzie tu w pas wody i zawsze stoi równo. Co napłynie, to kędyś odejdzie i równo się trzyma. Jak murowali tę tamę w górze — opowiadał, idąc pochylnią w górę — to stąd brali wodę.

— Ale że tu tyle wody i nie ugasiła ognia? — dziwił się Pakosz, przysuwając lampkę do ociekłych ścian pochylni.

— Takżeś mądry! Ogień i woda na ziemi, to wrogi, ale tu, jak bracia, razem idą na górnika. Bez wody nie byłoby ognia dużego; to ona dodaje mu mocy, podsyca i prowadzi.

Stanęli przed murem.

— Przytul się — rzekł Wincenty.

— O! jak piec w zimie! — zawołał Pakosz.

Uśmiechnął się górnik i dodał:

— Przyłóż ucho!

Najpierw usłyszał szmer, przerywany jakby trzaskiem suchych gałązek, łamanych w ręku. Chwilami słyszał daleki świst, jak bywa pod parciem naciśniętego i wypychanego powietrza, który leciał na mur, a towarzyszył mu grad kamienny, spadający na rozmiękłą ziemię. Czasem zaszumiało jak w lesie, zasyczało jak rozpalone żelazo w wodzie i znów huknęło jak salwa dalekich strzałów. Zwrócił się do Wincentego i rzekł:

— Jeszcze gada pożar!

— Hej! hej! Gdybyś ty posłuchał, jak on wyć umie, dopierobyś poznał, jaka w nim moc!

— Straszna to siła — mówił zamyślony.

— Dobrze powiedziałeś — pochwalił Wincenty — takiego tronu żaden król na ziemi nie miał. A było to tak. Ogień już smali drugi dzień, przybiegł dyrektor, zawiadowca, nadsztygar i sztygary, radzą i radzą. Ano uchwalili murować tamy. Na chodniku „Pauliny“ powyżej zaczęli mularze sztukę i idzie dobrze. Ale trzeba przeciąć i od pochylni. Co robią? Górnicy, jako znający się na każdym fachu w kopalni, musieli tu murować. No, ale chodźmy, bo tam czekają na nas.

Szli zwolna w dół łagodną pochylnią i Wincenty prawił:

— Już ogień był tak blizki, że ozorem wejścia dostaje, liźnie i uskoczy. Przyszli górnicy, kładą mur, ale gorącość bije, że aż strach. Na brzuchu się czołgają, bo górą duch idzie, rzuci który ce-

mentu, przyłoży cegłę i ucieka. Sparzyła się kupa ludu...

— A to głupi, byłoż mur dalej od żaru zakładać! — zawołał Pakosz.

Wincenty aż przystanął i, ocierając rękę lewą, na którą spadła wielka kropla wody, obrócił oczy na Pakosza, mówiąc:

— To tyś głupi, bracie! Czyż można było tyle węgla marnować? Mieliż go dać na pastwę?

Ale Pakosz rozumiał, że broni dobrej sprawy i zaraz odpowiedział:

— A życie i zdrowie górnickie nic nie ważą? Co?

— Ot, młodyś! — odpowiedział Wincenty, wzruszając ramionami lekceważąco. — Za pieniądz kupisz życia ludzkiego, ile chcesz, aż do zbytku; ale spali się węgiel, to i co wart... Jak ci płacą, leziesz w oczy śmierci i nie pytasz, czy ona straszna? — I szedł dalej.

— Chociaż prawda wasza — rzekł Pakosz po namyśle — to nie racya, że dobrze jest.

— Hm... takie rządy Pan Bóg na ziemi ustanowił, aby się przekonać o dobroci ludzkiej. Co innego tam po śmierci; tam już próbowania niema; na coś zasłużył, to i dostaniesz po sprawiedliwości.

Zeszli na chodnik w milczeniu.

— A gruby mur?

— Będzie na trzy metry i trochę wysoki, no, a pewno na półtora, może i więcej gruby; cegła

to taka, że ogień jej nie strawi, chyba stopi, jak w piecach hutnickich.

— I siła ludu zginęło? zapytał Pakosz w zamyśleniu.

— Nie bardzo... Coś z piętnaście dusz wziął Pan Jezus przy tym pożarze.

— Niewiele, to prawda, ale i tych szkoda.

— Jak pomarli bez śmiertelnego grzechu, to lepsze mają oni tam życie, aniżeli my.

Pakosz ośmielony lampkami, migotającemi w dali, łoskotem i odgłosem roboty dalekiej, zapytał:

— Że też wy, ojcze Wincenty, świątobliwie mówicie?

— Hm... Tak mówisz? To wiedz, że trzy razy mocowałem się ze śmiercią i zawsze Pan Bóg i Św. Barbara ulitowali się nad moim drobiazgiem. Raz, nie obejrzałem się, aż tu ze stosa, z ferszta upadnie mi na łeb węgiel. Połupał głowę, leżałem przez kwartał, no i nic, zdrów jestem! Raz przy rabunku, jak mnie owionie złe powietrze, leżałem martwy, bo i nogę w stopie skruszył mi stępel padający, no i nic, zdrów jestem! Raz przy wdzierku strasznie mnie poszarpało i boki, i plecy; a żebra pozginało, no i nic, zdrów jestem! A wieszże ty, dlaczego? Nie doktorzy, nie szpital mi pomogły, ale modlitwa. Z Bogiem dzień poczynam, z Bogiem idę i kończę z Bogiem. Żywoty Świętych czytuję, kościoła nie opuszczę, posty zachowuję, czuję Opiekę Świętą i nikogo się nie boję.

Pakosz, który szedł w ślad za Wincentym, słuchając słów jego, gdy ten rzekł: nikogo się nie boję, przypomniał sobie swoje gwizdanie i Skarbnika, więc z uśmiechem przemówił:

— No, ale Skarbnika...

— To inna rzecz — żywo przerwał górnik. — Tam na ziemi w słońcu króluje niepodzielnie Pan Bóg w Trójcy Świętej Jedyny, ale pod ziemią inna moc ma jeszcze swoją siłę i władzę. Tu, to jakby się zeszli dwaj mocarze. Na Sądzie Ostatecznym zwycięży Chrystus Pan, ale zanim ten straszny dzień przyjdzie, pod ziemią oni używają: ludziom gotują zgubę i wiodą ich na pokuszenie.

— Hm... To tak?

Dochodzili do swej pochylni. Wincenty zwrócił oczy na Pakosza i rzekł:

— Daj spokój, nie złapiesz ty mnie w nauce świętej naszej religii, bom biegły.

W połowie pochylni spotkali Macieja, który, spostrzegłszy ich, zawołał:

— Zabawiliście długo!... Trzeba się nam śpieszyć, bo musimy odrobić półtora metra urwanego, no i dla nas też być musi jakaś korzyść, a już jest półszychcie — kończył, patrząc na zegarek.

— Ileż już będzie? — zapytał Pakosz, mijając starszego.

— Niecałe dwa metry. Idę po dynamit, pośpieszcie się!

Gdy stanęli przed skałą, rzekł Pakosz do Wincentego:

— Pomogę wam, ojcze, bo z mojej winy spóźniliśmy się.

— Nie bój się, zrobię ja swoje — odpowiedział hardo, ale uśmiechnął się, rad ofiarności Pakosza.

Robota szła zawzięcie. Taczkarze wydołać nie mogą, taka kupa leży, aż stękają, a to ten, to ów górnik krzyknie groźno:

— Spiesz się, bo podam do sztrafu!

I pośpieszają w oczach, dopiero na górze w chodniku odetchną chwilę.

Pakosz, który rozmyślał nad pożarem, zwrócił się do Wojtka:

— A ty nie byłeś przy ogniu?

— Nie padło na mnie — mówił, nie przerywając roboty — nasz numer pracował w innej stronie.

— I dym był wielki?

— Ee, niebardzo. Zaraz spostrzegli górnicy i uciekli, coś tam się i podusiło, ale niedużo, może z piętnastu, a może i więcej.

— Wiem, że piętnastu górników brakło, a szleprów, to niewiadomo, poginęli, bo byli z tamtej strony ognia, z tej strony nikt nie zginął, coś tylko kilku szleprów udusiło się w tłoku — objaśnił Wincenty.

— To tam był dalej chodnik?

— Ho, ho, i jaki! Były i pochylnie, bośmy szli do odkrywki, aleśmy nie doszli, przeszkodził ogień.

— I ciągle się pali?

— Któż mu zabroni? — zaśmiał się Wojtek — on się nie pyta o pozwolenie. A na górze, jeszcze w kwietniu, to trawa nad ogniem zielona aż miło, ale zaraz potem skręci się, zżółknie i idzie z wiatrem.

Nadszedł Maciej Bibiela, zkrzyczał taczkarzy, że robią tak wolno i jął sam pomagać, nakładając co większe bryły w taczki.

Gdy założono ładunki i górnicy odpoczywali w chodniku, nagle doszedł ich uszu krzyk przeraźliwy, przyciszony oddaleniem, ale wyraźnie ludzki. Porwali się, chwyciwszy lampki, ale gdy Maciej ujrzał w ciemnej dali kilka lampek, kręcących się w jednem miejscu, znów usiadł, mówiąc głosem spokojnym:

— Musi być mały wypadek, kiedy ludzie stoją na miejscu, nie ruszając się.

Jednak Wojtek nie wytrzymał i rzekł:

— Pójdę i obaczę.

— Kiedy chcesz, to idź!

Już się zabierali iść w dół, gdy wrócił Wojtek.

— Co się stało? — zapytał starszy.

— Przejechały wózki jednego szlepra, jakiś niemrawy nie uskoczył w czas.

— Cóż mu? — dorzucił Wincenty.

— Skruszyło mu jedną nogę i palce u ręki lewej.

— To dopiero jakiś niedojda! — odezwał się Pakosz.

Maciej, zadowolony, że przewidział istotę wypadku, rzekł głośno:

— A co, nie mówiłem, że to rzecz mała? Tak też było. Przejechało szlepra... to przecież nic wielkiego!

XIV.

Z podszybia, zwanego często w gwarze górnickim czerpakiem, wypływały z każdym dniem blizkiej zimy coraz obfitsze zwały węgla. Liczne zamówienia, zapotrzebowania nakłaniały zarząd do zwiększania szeregów robotniczych, zaś górnicy, w przewidywaniu nieodzownych wydatków na doroczną uroczystość swej patronki, Św. Barbary, pracowali z wytężeniem, gorączkowo, by zaliczka otrzymywana w dniu pierwszego grudnia, mogła być największą. Nieszczęśliwe wypadki były coraz liczniejsze i w biurze zawiadowcy lub nadsztygara, już obojętnie przyjmowano raporta sztygarów.

— Co słychać w kopalni — brzmiało stereotypowe zapytanie.

— Nic nowego, wszystko w porządku; tylko wózek dopadł górnika i górnik zmarł.

— Winnych osztrafować i podać szczegóły w raporcie — rozkazał zwierzchnik.

O każdym wypadku obowiązkowo przesyłano wiadomość dyrektorowi, który, dla uproszczenia i pośpiechu, polecił pośrednictwo telefonu. I zwięzły raport sztygara natychmiast telefonowano panu dyrektorowi. Pierwszych kilka nieszczęśliwych zda-

rzeń przyjął pan dyrektor z lekką naganą, lecz gdy niemal co drugi dzień, to o zgnieceniu ręki, złamaniu nogi, niebezpiecznem pokaleczeniu, donoszono mu telefonicznie, zniecierpliwił się i kazał pociągać do odpowiedzialności nietylko starszych górników, zwanych z niemiecka: „*Vorhäuer*“ i „*Oberhäuer*“, ale i sztygarów.

W kopalni wzmógł się rygor, a zafrasowany sztygar trzeciego pola wezwał do pomocy nadzoru swego ulubieńca starszego górnika, Babczyka, i Macieja Bibielę. Kazał im obu iść za sobą w odległy chodnik i przemówił:

— Słuchać i uważać! Nazlatało się tu do nas cywilów z całego kraju, każdy rad się posilić na zimę, ale to wszystko niedołęgi, harhary zatracone, niemrawe to, niezręczne, głupie... Podłazi pod wózki, leci w przodek, nie baczy na górę... i ginie. Tak, mówię wam, uważajcie, bo nie ich, ale was osztrafuję!

Milczeli obaj przez chwilę, ale Babczyk ufny w łaski przełożonego, rzekł:

— Słucham, panie sztygar, i rozumiem; dopraszam się tylko wolności, abym te pierońskie giździe mógł kryką nacechować!

— To się wie! — odparł przełożony. — Bij kryką, byle niezbyt grubą i nie po głowie, bo odpowiesz sam. Ja wiem, że u nich niema posłuchu bez bicia.

— Dobrze, panie sztygar!

Maciej Bibiela uważał i milczał.

— A ty słyszałeś? — zapytał przełożony.

— Słyszałem i rozumiem. Jak służba, to służba, tylko nie wiem, jak będzie z moim numerem? — rzekł wahająco.

— Głupiś — krzyknął sztygar. — Twoje nie przepadnie! Rozporządzisz w przodku i naglądaj, a pomoc dostanie numer.

Zawstydzony Bibiela umilkł, chociaż w duszy rad był, że zapytał o wypłatę i że spotkał go zaszczyt dozorcy.

— No, a teraz do roboty! — zawołał przełożony.

Dwaj starsi górnicy ze słowami: „Szczęść Boże"! opuścili sztygara i szli ku głównemu chodnikowi, w którym najliczniej pracowali podziemni robotnicy.

Gdy sztygar znikł im z oczu, odezwał się Babczyk w rodzaju rady:

— Jeśli niema już być kalectwa, a broń Panie Boże śmierci, to posłuch musi być okrutny u tych ludzi, bo to ślepe i głuche w kopalni.

— Posłuch musi być — rzekł po namyśle Bibiela — ale sztrafu to ja się spodziewam zawsze, byle tylko nie wysoki...

— Ee, co znowu!? — zawołał Babczyk z powątpiewaniem. — Toż każdemu dozorcy przykazano baczyć na nich przy kolejach i zwrotnicach, a i my pomożemy.

— Co znaczy siła ludzka wobec innej?! — zaczął Maciej po chwili, oglądając się trwożliwie. — Toż wiadomo wam i każdemu górnikowi, że przed

Św. Barbarką nieszczęścia być muszą i na to nijakiej rady nie było i nie będzie.

— To prawda! — potwierdził Babczyk — ale dlaczego ma paść na nas? Są inne pola i inne szychty, a może nas ominie!?

— Jak pomoże Pan Bóg i Św. Barbarka, to i ustrzeże, ale przed nabożeństwem w kaplicy naszej patronki trudno o taką łaskę... Później to złe milknie, uspakaja się, chowa się po kątach, a teraz baluje sobie w najlepszym chodniku...

— Co będzie, to będzie! zadecydował Babczyk — pilnować będę. bo taki rozkaz.

— I ja to wiem, tak podzielmy robotę, aby nie marnować czasu. Weźcie wy część przy waszym numerze, wezmę ja przy swoim.

— Do kalkulacyi to u was jest głowa, niema co i gadać! — pochwalił Babczyk. — Niechże będzie po waszemu, chociaż na mnie ciężej, bo w mojej stronie czerpak.

— U mnie więcej pochylni i rozjazdów! — bronił się Maciej.

— Będzie, co Pan Bóg da! — zakończył wreszcie Babczyk i poszedł w stronę swego numeru.

Mimo usilnego starania, dozoru i uwagi, sztygar trzeciego pola we dwa dni później złożył następujący raport zawiadowcy kopalni:

— W numerze trzynastym oberwał się kawałek węgla i zrobił górnikowi dziurę w głowie. Górnik zmarł... Nic nowego, wszystko w porządku — zakończył przyjętą formułką.

— Zobaczymy, co powie pan dyrektor na takie porządki — krzyknął zawiadowca i poszedł do telefonu.

Wyznaczona przez dyrektora kara została przez sztygara sumiennie rozdzielona pomiędzy odpowiedzialnych dozorców, ku wielkiemu ich strapieniu.

Gdy tedy w dniu drugim grudnia pracownicy kopalni spostrzegli w chodniku światło, dobywające się z oświetlonej kaplicy Św. Barbary, uśmiechali się zadowoleni, bo już dzień odpoczynku po ciężkiej pracy, dzień wystawnej uroczystości i okazałej procesyi kościelnej, dzień pierwszeństwa górników na ziemi i w niebie za wstawieniem się ich Świętej patronki był blizki, widoczny, dotykalny. Wzdychali pobożnie, przechodząc przez smugę światła w chodniku, a przed ich oczyma snuły się obrazy suto rozświetlonej kaplicy, odświętnych ubrań, nieustającego strzelania na cześć Świętej, uczty i wypoczynku.

Piotr Brzezik, stary, niezdolny do ciężkiej pracy górnik, którego pieczy była powierzona kaplica podziemna Św. Barbary, uważał siebie w tych dniach za najważniejszą osobę, najbardziej odpowiedzialną za honor wszystkich górników, gdyż na jego głowie spoczywał cały ciężar upiększenia kaplicy, aby zewnętrznym wyglądem dawała świadectwo gorliwości i pobożności górników dla ich Świętej patronki.

Pobożne górniczki przygotowały mnóstwo wielkich, jaskrawych kwiatów sztucznych z bibułek,

przedstawiających róże, malwy, maki, przeznaczonych na wpiecienie w wieńce i festony z zielonych gałązek sośniny i świerków. Jak zwykle każdego roku, tak i teraz proponowały Piotrowi Brzezikowi, że splotą potrzebne girlandy i wieńce, a on gotowe wezmie do kaplicy. Jak zwykle nachmurzył się Piotr Brzezik, potarł łysinę, spojrzał gniewnie swem jedynem lewem okiem na kobiety i odpowiedział surowo:

— Dla waszej patronki wy róbcie wieńce, dla Św. Barbarki tylko my, górnicy. Święte wieńce tylko w świętem miejscu robić się godzi, dość dla was honoru, że przyjąłem kwiaty.

Sztygar przeznaczył mu do pomocy trzech młodych szleprów, synów górników, z których najstarszy miał może lat 16: do nich z własnej ochoty i za pozwoleniem Piotra Brzezika przyłączyli się trzej inni, również synowie górników bo stary stróż kaplicy zwracał na rodowód baczną uwagę.

Gdy chłopcy zebrali odpowiednią ilość zielonych gałązek, kazał im stawić się w nadszybiu, aby rozpocząć dzieło upiększenia.

Na czele sześciu chłopców, niosących w rękach pęki sztucznych kwiatów i szpagatu, wszedł na szalę Piotr Brzezik, pozdrowiwszy z niezwykłą powagą pracowników nadszybia. Chłopcy patrzyli na niego ze szczerym szacunkiem i obawą. Jego pochylona postać, biała broda, jedyne oko bardzo żywe i błyszczące, chwiejny chód, bo miał nogę

okaleczałą, niezręczny ruch lewej ręki, zgrubiałej w łokciu, powaga i skupienie napełniały ich czcią. Lampka w jego prawej ręce rzucała mdłe, chwiejne światło na twarz poszramowaną; w lewej trzymał wielki klucz kaplicy, zamiast oskardu. Zdawało się im, że chyba tak musi wyglądać Św. Piotr, z tą różnicą, że jest ubrany pięknie i strojnie. W milczeniu szli za przewodem Brzezika chodnikami ku kaplicy. Tuż przed nią oparte o ścianę stały pęki gałązek zielonych, opatrzył je po kolei stróż i, wkładając klucz do zamka, odwrócił się, zdjął czapkę i rzekł głośno:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli chórem.

Otworzył jedną połowę szerokich podwojów, wszedł do kaplicy, wykutej w skale, dość wielkiej, by pomieściła z dwieście pobożnych, oświetlonej lampką, wiszącą przed jedynym ołtarzem Św. Barbary, przyklęknął i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Pan mój, Bóg mój w Trójcy Świętej Jedyny i Św. Barbara, teraz i zawsze na wieki wieków, amen.

Chłopcy powtórzyli z wielkiem przejęciem. Następnie wstał, zwrócił się do wykutej w kamieniu chrzcielnicy i, żegnając się wodą święconą, mówił:

— Pokropisz mnie, Panie, hyzopem, a będę nad śnieg wybielony.

Chłopcy, postawiwszy za przykładem Piotra swoje lampki na ziemi, żegnali się, powtarzając słowa pobożne. Szeptem rozkazał złożyć kwiaty na

ławce, a sam postąpił bliżej ku ołtarzowi i, jakkolwiek w tej chwili nie był tu zachowany Najświętszy Sakrament, jednak Brzezik przyklęknął wraz z chłopcami i modlił się głośno:

— Pójdźmyż duszo i ciało moje, pokłońmy się Panu i Bogu naszemu: „Niechaj będzie pochwalony, od nas wszystkich wysławiony, Przenajświętszy Sakrament, ten niebieski traktament, co godzinę i co moment".

I wkrótce w pustej, mrocznej kaplicy, rozległy się trzykrotne uderzenia w piersi z głośnym szeptem:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.

I, przeżegnawszy się głośno, byli już gotowi do pracy.

— Wysuńcie ławkę na środek — rozporządzał Piotr — ustawcie na niej lampki, a wy znieście tu gałązki, kwiaty ja sam wplotę..

Chłopcy szybko i chętnie spełniali rozkazy, usiedli na ziemi, twarzą ku ołtarzowi zwróceni i zaczęli wić festony.

Piotr przechodził między nimi, udzielając rad i wskazówek. Od czasu do czasu chłopcy rzucali okiem na ołtarz, oddzielający się wyraźnie od czarnego tła białym obrusem. Z niszy ciemnej, lekko wzniesionej tuż nad ołtarzem, wychylała się wielka, czarna, wyrzeźbiona postać świętej patronki, przedstawiająca się w mdłem świetle lampy wiszącej i siedmiu lampek bardzo niewyraźnie, zaledwie połyskiwały iskry błyszczących kamieni w jej koronie, umieszczonej na głowie.

W czarnej kaplicy słychać było tylko szelest wiązanych gałązek, trzask łamania i skąpe słowa Brzezika. Chłopcy pracowali w skupieniu, aż dopiero Walek, syn chrzestny stróża kaplicy, ośmielił się przemówić:

— Ojcze Piotrze! Powiedźcie nam prawdę, widzieliście kiedy Skarbnika?

Stary siadł na ławce, oparł łokcie na kolana, skronie ujął w dłonie i głosem bezdźwięcznym, bo cierpiał na zadyszkę, odpowiedział po chwili, utkwiwszy swe oko w ciemny kąt kaplicy:

— Skarbnika?... Ile razy widziałem, tego nie zliczę, ale jeden tylko raz mówiłem z nim tak, jak z wami w tej chwili...

Chłopcy aż zaprzestali roboty z wielkiego zadziwienia i zarzucali starego pytaniami i wykrzyknikami. Podobało się mu to, więc głosem łagodnym mówił:

— Róbcie pilnie a uważnie, to opowiem wam... Pracuję raz w przodku, będzie temu może lat dwadzieścia, może więcej; wiercę dziurę, a byłem sam, bo się kamraci porozłazili w chodniku, aż tu przychodzi sztygar z lampką, kryką w ręku, którą się mocno podpiera, jakby go nogi bolały, pozdrowił mnie i mówi:

— Nie wierć tutaj, suń na lewo.

Wziąłem świder, przykładam gdzie każe, a on znów:

— Mówię ci: dalej na lewo!

Posunąłem i wiercę, a sztygar sobie poszedł.

Ano nic, robię swoje, aż po chwili znów jest sztygar i krzyczy:

— Gdzie *„vorhäuer“*, gdzie kamraci?

Zaraz wrócą, powiadam mu; a on zbliżył się i krzyczy:

— Gdzie pieronie robisz? — i wskazuje na dawne miejsce.

Odpowiadam, że sam mi kazał tam na lewo wiercić, dopiero on mnie zwymyślał i znów wiercę starą dziurę. Poszedł... Przyłożyłem się raz, drugi raz, gdy jest sztygar i mówi, zły, aż mu się oczy iskrzą:

— Kazałem ci wiercić na lewo, pocóż się pchasz w nieszczęście!?

— Ja mu powiadam, że sam kazał, a ten jak huknie:

— Najstarszy sztygar to ja jestem, ruszaj na lewo!

Poszedłem, i tylko co się przyłożyłem, aż jak się zwali kawał z góry, to mnie zamroczyło i padłem. Jak mnie otrzeźwili, spojrzę, a tu zwaliło się na to miejsce, gdziem najprzód wiercił; byłoby mnie na śmierć ubiło, tylko Skarbnik przyszedł do mnie, jako sztygar i ostrzegł; zrozumiałem to, bo nie klął, nie pytał o kamratów, o starszego, przyszedł sam, bo nie chciał mojej śmierci, a może pożałował tego, co zrobił z moim dziadkiem...

Zarzucili go chłopcy pytaniami, bo radzi słuchaliby opowiadania w czarnej kaplicy przy jednostajnej a lekkiej robocie.

— Dziadka mego — zaczął po chwili Brzezik — raz mało nie zdusiło. Idzie chodnikiem na robotę, a spóźnił się i jakoś trafić nie mógł. Idzie, aż mu gaśnie lampka... Był młody to i nic nie wiedział, że ostrzegał go „puch“ życzliwy górnikom, bo „puch“ nie dusi górnika, przedtem gasi mu lampkę. Dziadek mój nic, idzie dalej i padł... Ano dobrze, byli wonczas górnicy w kopalni, dostrzegli dziadka, wyciągnęli i odleżał swoje w szpitalu, a wrócił słaby i biały...

Umilkł, oddychając ciężko, ze świstem, jak zwykle chorzy na zadyszkę. Chłopcy patrzyli na siebie rozczarowani, bo spodziewali się historyi o Skarbniku, milczeli przez chwilę, aż jeden z nich zagadnął:

— Ojcze Piotrze, mieliście opowiedzieć o Skarbniku...

— Rób smyku swoje! — zgromił go Piotr. — Przyjdzie czas i na to.

Odpoczął, wydychał i mówi:

— Dziadek mój słaby, co pójdzie na szychtę, to narzekaniom niema końca, bo siły do roboty żadnej u niego, do numeru przyjąć go nie chce żaden starszy, aż ulitował się sztygar i pozwolił mu robić „na pańskiem“, samemu. Ano robi i narzeka wciąż, bo mu ciężko idzie i nudno bez kamratów. Aż tu jednego dnia przychodzi do niego, gdy był przy robocie, górnik jeden i powiada:

— Dlaczego tak narzekasz bezustanku?

Dziadek mu tłómaczy, a on:

— Przynoś mi codziennie bochenek chleba, pomogę ci, ale powiesz komu, to śmierć twoja, pamiętaj to sobie.

Stanął przy dziadku i robi, tylko po szychcie nigdy nie wychodzi, ale idzie sobie w głąb. Dziadek, strach, jak zarabia, dziwi się sztygar, dziwią się kamraci, dziwi się żona, niby moja stryjeczna babka, a ten zarabia i zarabia okrutne pieniądze, tyle co dobry *„vorhäuer“* przy wdzierce koło filaru...

Westchnęli chłopcy wraz z Piotrem, bo oni wszyscy górnickie dzieci i wiedzą, że tam, gdzie filar węglowy, jest i wdzierka łatwa, popłatna, że ładowaczy dwóch nie starczy na jeden numer.

Tak i było, może i długo — zaczął znów Brzezik — tego nie wiem dobrze, ale żonka młoda, ciekawa niewiasta, raz wraz pyta, gdzie on podziewa część zarobku, co go ani przeje, ani przepije, ani zagubi. Dziadek nie chce się przyznać, że chleb kupuje, bo wie, że to śmierć jego... A ta prosi, zachodzi, dąsa się, gniewa i znów prosi, a zaklina. Tak mówi jej, niby mej stryjecznej babce, mój dziadek, tak:

— Powiem ci, ale wiedz, że to śmierć moja.

Żona myśli, że on żartuje, i znów nalega, więc powiedział dziadek.

Chłopcy, znając z opowiadań surowość i słowność Skarbnika, oburzyli się i mruczeli półgłosem odgróżki na kobiety i uległość męża.

— Przyszedł mój dziadek na szychtę, staje, aż tu zjawia się górnik i tak się odzywa:

— Mówiłem ci, że jak powiesz, to śmierć twoja, nie usłuchałeś mnie, ano musi być śmierć.

Schwycił go za głowę, ukręcił i napełnił wózek cały pobranymi bochenkami, dał im pozór węgla i przesunął aż do spinaczy, aby go zaciągnęli do podszybia. Dopiero na górze zobaczyli krew; szukają wszędzie, no i znaleźli mego dziadka bez głowy... Tak to Skarbnik karze niesłowność górnika.

Chłopcy zaczęli szeptać między sobą półgłosem:

— Jabym nigdy nie powiedział żonie — odezwał się najstarszy:

— Ja tego się nie boję, bo nie ożenię się nigdy, nigdy.

— Oj, te kobiety! — westchnął trzeci.

— Moja mama nie taka — ujął się jeden z młodszych.

Uśmiechał się ironicznie stary Piotr, wreszcie rzekł:

— Dzieciuchy jesteście; trzeba wam wiedzieć że całe zle na świecie idzie z kobiety. Jak los nie poradzi człowiekowi, to posyła mu kobietę i... przepadł.

Starsi chłopcy przytakiwali, tylko młody obrońca swej mamy popatrzył w krąg kaplicy, jak gdyby szukał pomocy i wzrok jego padł na wielki, czarny, niewyraźny posąg ołtarza i po krótkiem wahaniu zawołał półgłosem:

— A Św. Barbarka!

Umilkli wszyscy, sam nawet Brzezik na chwilę

się zmieszał, boć to on przecież był stróżem jej podziemnego przybytku, ale wkrótce się namyślił i rzekł z powagą:

— Co ty wiesz, raku, że masz śmiałość równać kobiety nasze ze świętą? Nasza patronka to dziewica i męczenniczka, nie była nigdy żoną, nie miała dzieci, nie warzyła, nie prała, nie swarzyła się z mężem. Jesteś głupi, bo tak mówisz, jakbyś równał białe z czarnem, dobry węgiel z twardą skałą, ogień z wodą... Widzę ja, że masz w głowie michałki, kiedy nie znasz historyi Św. patronki?...

Inni chłopcy uśmiechali się drwiąco z małego, który, zaczerwieniony, zawołał:

— Znam ja żywot świętej dziewicy i męczenniczki, nauczyła mnie mama!

— Ho, ho, kiedyś taki mądrala — zaczął Piotr Brzezik — to powiedz mi, jak się zwał ojciec świętej?

Chłopcy spojrzeli ciekawie na malca, który chwytał powietrze ustami, jak ryba na brzegu i odpowiedział:

— Dyoskuros, pan wielki i bogaty, ale strasznie zły i zawzięty poganin i niedowiarek. On ci to męczył Św. Barbarkę aż do śmierci...

— On? — wyrwał się drugi. — Nieprawda, ten zwał się Marcyan.

— Tak, tak, Marcyan — wołali inni — on był gubernatorem kraju i kazał ją biczować... rwać rozpalonemi zgrzebłami, wyrywać piersi, obnażoną wodził po ulicach...

Jeden przed drugim popisywali się chłopcy, ciesząc się swą znajomością dziejów męczeństwa świętej patronki. Gdy się trochę uspokoili, zapytał Brzezik:

— Kto też z was wie, dlaczego właśnie Św. Barbara jest naszą, i tylko naszą patronką górniczą?

Umilkli, spoglądając na starego stróża kaplicy.

— To ja wam powiem — zaczął starzec, prostując się i patrząc na czarny posąg. — Było to tak: kiedy ojciec jej, ten zatracony Dyoskur, ani się sam chciał nawrócić, ani Świętej dziewicy wyznawać wiary nie dozwalał, a ona przy swojem obstawała, wpadł w straszny gniew i złość okrutną, zwyczajnie, jak srogi ojciec, i chciał ją zabić. Męczenniczka uciekała, ale ten pieroński Dyoskur był zdrowy chłop i nogi miał dobre, już ją dopędzał i byłby utłukł, dopadłszy przed skałą... Aż tu skała, chociaż to kamień, ulitowała się Świętej, otworzyła się jak drzwi i schowała dziewicę... Od tej pory jest Św. Barbarka patronką górników, bo któż, jeśli nie my robimy w skale; przed kim, jeśli nie przed nami rozstąpić się musi najtwardszy kamień; kto robi te chodniki długie i rwie pochylnie — to my górnicy, z pomocą Bożą i Św. Barbarki. Ona też broni swych sług, jak może. W niebie pilnuje zawsze wagi dobrego i złego, gdy zemrze górnik, a i w kopalni często pomaga i ostrzega. I mnie, niegodnego swego sługę, raz uratowała od śmierci...

Chłopcy słuchali z wielką ciekawością, a gdy stary skończył prosili o szczegóły.

— Byłem wtedy starszym i miałem setnych gójników w numerze. Chłopcy byli jak dęby, nie znali, co to strach, albo twardy kamień... ano poprzepadali, jak to u nas bywa... — westchnął Piotr, a za nim chłopcy. — Siedliśmy raz w chodniku, aby spożyć obiad; ja skończyłem pierwszy, bom zawsze był prędki do roboty wszelakiej i myślę sobie, zanim zjedzą, obejrzę przodek, aby robotę wyznaczyć. Idę... aż tu mi do ucha szepnie łagodnie, jakby wiaterek zaszumiał w zbożu, dwa słowa: „Brzezik stój!“ Zatrzymałem się, patrzę wokoło, ale nikogo nie widzę. Myślę sobie, przesłyszałem się, i znów postąpiłem krok. Teraz to już wyraźnie posłyszałem rozkaz: „Brzezik, stój“. Oglądam się, a tu przed oczami mignęła mi kula ognista, pewno ta sama, którą zesłał Męczenniczce Pan Jezus, gdy ją prowadzono nagą w zimie srogiej po mieście... Tylko się odwróciłem, a wtedy jak nie trzaśnie, nie huknie, rzuciło mną o ziemię... Pół góry zwaliło się w przodek, bo za gorąco rwali żyłę, ale kto się spodziewał takiego upadku...

Wstał z ławki, skinął na chłopców, postąpił ku ołtarzowi, ukląkł i zaczął się modlić, starym, bezdźwięcznym, drżącym głosem, a chłopcy wtórowali mu. I cała kaplica pełna była głosów szczerej modlitwy:

— „Bądź pozdrowiona Barbaro Święta, we krwi męczeńskiej zbroczona; Różo rajska, Lilio

panieńskiej czystości, Panno śliczna, miłości złotem obmyta, Panno pokorna, pobożna, wszelkich cnót naczynie, Perło śliczna i kosztowna...

Zapał modlitwy, rozczulenia, miłości poddania się, wzmagał się przy każdem nowem określeniu doskonałości, aż przeszedł w końcu prawie w jakiś śpiew rytmiczny. I słowo „amen“ brzmiało długo w kaplicy i dźwięczało w uszach kornie pochylonych wyznawców.

Piotr Brzezik mógł być dumny z upiększenia kaplicy. Podwójne festony ozdabiały ściany ciemne; nad niszą i ołtarzem zwieszały się zielone girlandy, przetykane barwnymi kwiatami; cztery boczne kinkiety i wielki żyrandol oświetlały jasno podziemną kaplicę, a wysokie woskowe świece ołtarza rzucały dość światła na czarny posąg Św. Barbary, aby uwidocznić pierwotną technikę snycerza. Jedna tylko myśl martwiła czasami Brzezika, spoglądającego z uczuciem dumy na kaplicę: oto nie wszyscy, a nawet tylko bardzo nieliczni górnicy mogli wejść do podziemnego przybytku, zbyt małego, by mógł pomieścić około trzech tysięcy ludzi, zajętych przy kopalni. Pocieszał się natomiast nadzieją, że cały zarząd kopalni wraz z rodzinami stawi się na doroczną uroczystość i dla tych wybranych zachowano wszystkie ławki kaplicy.

Jeszcze gwiazdy nie pogasły na pogodnem niebie zimowem, gdy w domu zbornym wybrani przez sztygarów górnicy stawili się w mundurach z lampkami w ręku. Zdjęli wierzchnie ubrania i czekali

cierpliwie zjawienia się Macieja Bibieli, który miał dzisiaj przed jasno oświetlonym obrazem Św. Barbary, ubranej w jedwabną sukienkę i koraliki, odczytać modlitwę. Wszedł Maciej Bibiela, wymyty, wygolony, oddał młodemu chłopcu, posłowi kopalni, paltot i z powagą szedł ku baryerze drewnianej, za którą stały urzędnicze stoły, a na ścianie wisiał wielki obraz Świętej patronki. Stanął i spojrzał za siebie. Już się szeregowali górnicy, gotowi uklęknąć na skinienie. Ich miarowe, energiczne ruchy miały w sobie coś wojskowego, a to złudzenie podnosił ciemny mundur, złożony z bluzki ze stojącym kołnierzem, ozdobionej pelerynką, sięgającą do połowy ramion, z pozłacanymi guzikami, z emblematem górnictwa, z dwoma młotkami na krzyż, z dość szerokiego pasa skórzanego i już tylko górników specyalnością, ową łatą skórzaną z tyłu, rodzajem fartuszka, który w danym razie umożliwia górnikowi siąść w kopalni na węglu brudnym, lub kamieniu mokrym.

Gdy się uciszyli, Maciej ukląkł i głośno, wyraźnie odmówił modlitwę zwykłą do św. Barbary, patronki od nagłej a niespodziewanej śmierci. Zebrani powtarzali wyraźnym szeptem. Gdy skończył modlitwę, otworzył książkę do nabożeństwa i, ze względu na dzisiejszą uroczystość, zaczął czytać litanię do Świętej patronki górników. Obecni odpowiadali głośno: „módl się za nami“. Z początku Maciej wypowiadał pojedyncze wezwania miarowo i sucho, a górnicy nie mogli na razie dostroić swych gło-

sów; ale w miarę litanii, chór się sharmonizował, a Bibiela tak się przejął uwielbieniem, czułością i wzruszeniem, że intonował drżącym głosem i stopniowo wzmagał się zapał jego, zwłaszcza przy frazesach ładnie brzmiących, a zawiłych, jak: jasności Heliopolu, seraficzny ogniu miłości i t. p. Nadeszli sztygarzy i urzędnicy; uklękli, złączywszy głosy z chórem, który teraz rytmicznie powtarzał: „Przyczyń się za nami!“

Po skończeniu, wyznaczony przez zarząd sztygar, poprowadził umundurowanych górników ku kopalni, rozstawiając honorowe straże. Gdy Maciej upatrzył wolną chwilę, poprosił sztygara przed wstąpieniem na szalę o pozwolenie wejścia do podziemnej kaplicy Pakoszowi, który, wystrojony, spoglądał zazdrośnie na mundury. I Szlązak zjechał na dół.

O godzinie siódmej sano rozpoczęła się uroczysta Msza śpiewana. Kaplica była natłoczona pobożnymi. Ksiądz, w jasnym ornacie, odprawiał Mszę Świętą, do której służyło sześciu synów górników w białych komeżkach, w czerwonych pelerynkach, wykonywających przepisane ruchy z zadziwiającą harmonią. Gdy ksiądz zwracał się ze słowami mszalnemi do zgromadzonych, odzywała się w odpowiedzi fanfara muzyki górniczej, ustawionej gdzieś w głębi chodnika, i rozlegały się przygłuszone wystrzały. W chwili gdy pobożni ze względu na adwent śpiewali z wielkiem przejęciem pieśń: „Święty Boże! Święty mocny! Święty a nie-

miertelny!“ ksiądz dał znak ręką, aby się uciszyli, i zaczął kazanie na temat słów: „Wiara bez uczynków jest martwa“. Wzywał gorąco górników, aby nie zaniedbywali uczęszczania do kościoła, przykładnego nabożeństwa, częstej spowiedzi, rozdawania jałmużny, zachowywania postów i t. d Górnicy słuchali, wzdychając tylko od czasu do czasu, dopiero gdy ksiądz użył wymownego porównania: „Bo zważcie, bracia górnicy, że i czarci w Boga wierzą i drżą przed nim, a jednakże są czartami!“ rozległy się jęki i szepty, wzywające imienia boskiego. I jeszcze raz opowiedział kaznodzieja żywot Św. Barbary, kładąc szczególny nacisk na męczeństwa i złego ojca Dyoskura, którego z dopuszczenia Boga „ognisty piorun zatrzasł!“ Gdy wezwał w końcu do pokornej modlitwy o uproszenie łaski u Św. Barbary w chwili śmierci, zebrani uklękli i z przejęciem, z wielką żarliwością odmawiali pobożne słowa, a z ciemnej niszy, z wysoka patrzał na pobożnych czarny, wielki posąg głębokiemi oczyma, gdyż tylko czoło, brwi i wystające części twarzy błyszczały w świetle, tworząc rodzaj aureoli na tajemniczym posągu Św. Barbary.

Skończyło się nabożeństwo, ruszyli wierni, by wziąć udział w uroczystej procesyi od domu zbornego do kościoła zewnętrznego.

Przed domem zbornym stały tłumy mężczyzn i kobiet wyglądające z upragnieniem chwili pochodu.

Górnicy z rozwiniętemi chorągwiami swej pa-

tronki zajęli honorowe miejsce w procesyi i zaintonowali pieśń nabożną:

„Barbaro Święta! Perło Jezusowa,
Ścieżko do nieba grzesznikom gotowa;
Wierna przy śmierci Patronko smutnemu
Konającemu".

XV.

Franciszek Butny z trwogą i drżeniem wyczekiwał swej nominacyi na górnika, przyrzeczonej po Św. Barbarze i tak drogo okupionej.

Wreszcie czwartego dnia po uroczystości, sztygar pola trzeciego, przełożony numeru Bibieli, uproszony przez kolegę, po wyjściu z dziennej szychty wieczorem, około godziny siódmej. po przeczytaniu listy, skinął na stojącego w cieniu Franciszka i rzekł do zebranych:

— Franciszka Butnego, dotychczasowego szlepra w naszej kopalni, mianuję w dniu dzisiejszym młodszym górnikiem. Pamiętaj, że od dzisiaj masz honor górnicki i żebyś przy robocie ślepo słuchał starszych. Każą ci robić, rób, nie pytaj, nie namyślaj się swoim rozumem, bo jeszcze rozumu górnickiego nie masz. Ani prochu, ani dynamitu nie wolno ci zakładać, to rzecz starszych, doświadczonych. Ty rób, co każą. Przyłączam cię do numeru ósmego, słuchaj, pracuj, nie bądź hardy. A nie zapominaj, że każdy górnik to twój brat; choćbyś miał zginąć sam, ratuj i pomagaj w nieszczęściu, bo to jest prawo górnickie i bez niego górnicy ani

żyć, ani pracować nie mogliby w kopalni. Jutro staw się na szychtę!

Szczupłą, żółtawą twarz Franciszka rozjaśnił uśmiech radości i tryumfu. Szukał wzrokiem Pakosza, aby się nacieszyć jego przykrością, ale ten nie patrzał na Franciszka. Stał chmurny, zły, i mimo pyłu węglowego było widać, jak pobladł i jak zaiskrzyły mu się oczy ze złości. Nowy górnik zbliżył się do swego numeru, poznawał się z kolegami, prosząc na poczęstunek, który, mimo swego skąpstwa, musiał opłacić, gdyż tak kazał dawny zwyczaj. Szli „Pod gołębia“. Za nimi w pewnem oddaleniu postępował Pakosz z Wojtkiem.

— Zajechał ci ten pieron Franciszek swem górnictwem — odezwał się Wojtek.

— A niechby sobie był, aby nie w naszej szychcie... Teraz to pierońskie giździe raz wraz będę miał przed oczyma, ani to zjeść, ani wyjść, ani pogadać...

— Zwłaszcza z Paulisią — zaśmiał się Wojtek.

— Tobie, kamrat, śmiech, a ja ci mówię, że to źle się skończy, bo ja cierpliwy, ale jak mnie kto dojedzie, to już i koniec!

— Wołami ty jedziesz — dorzucił z drwiną Wojtek.

— Ale dojadę! — krzyknął Pakosz.

— Zobaczymy! zobaczymy!... Będziesz dzisiaj „Pod gołębiem“?

— Nie... Tam Franciszek ze swym numerem baluje... Pójdę „Pod dęba“.

— Może i ja przyjdę — i, pożegnawszy się skręcił do swego mieszkania.

Pakosz, przyszedłszy do kwatery, umył się ladajako, siadł na łóżku i milczy. Przybiegły do niego dzieci Grotkowej, jak zwykle, ale skrzyczał je tylko i milczy. Grotkowa, która przy kuchni warzyła wieczerzę, widząc to rzekła:

— A cóż tam było na szychcie? Pewno sztraf napisali, kiedy kwaternik taki zły?

— Zły, bom zły! — mruknął Pakosz, nie podnosząc oczu.

— I za co osztrafowali — dopytywała się kobieta.

— Jaki znowu sztraf — oburzył się górnik. — Zawsze odrobić go można i nie martwiłbym się sztrafem. To gorzej!

Słowa te podnieciły i zaniepokoiły Grotkową, więc szybko zapytała:

— Wypędzili może? O Święta Panienko! I za co?

— Ani osztrafowali, ani wypędzili, bo ja porządny górnik — zawołał Pakosz, nie ruszając się z miejsca.

W drugim pokoju usłyszała głośną rozmowę Paulisia, uchyliła drzwi i stanęła z robotą w ręku.

— Słyszysz, Paulisiu? Ma ten Szlązak zmartwienie i nic nie mówi — odezwała się matka.

— Jakież to? — zapytała, patrząc na niego.

Pakosz wstał zwolna, zbliżył się do kobiet i zniżając głos, rzekł:

— Dziś ten zatracony flek Franciszek, wasz kwaternik, został młodszym górnikiem.

Paulisia ze zdziwienia krzyknęła, a Grotkowa odezwała się:

— To i cóż za nieszczęście!? Zarobi więcej, nie straci, nie przehula, nie przepije... — to i dobrze.

Po dobrej chwili milczenia dodała:

— Teraz pewno się ożeni...

Słowa te dopełniły miary rozdrażnienia Pakosza, klasnął w ręce z całej siły i krzyknął:

— Ubiję to pierońskie nasienie. Tak mi Panie Boże dopomóż! Jakom jest górnik, tak ubiję!

Ten niezwykły objaw gniewu Pakosza zadziwił i przestraszył kobiety, a dzieci, zwabione krzykiem, przybiegły i otoczyły matkę.

Pierwsza oprzytomniała Paulisia i, pewna swego wpływu, spojrzała mu słodko w oczy, mówiąc łagodnie:

— Po co te przysięgi? Zazdrosnych nie lubię i za takiego nie wyjdę zamąż. Że Franciszek został górnikiem, to jeszcze nie racya, abym została jego żoną. Wybiorę tego, kto mi się spodoba — kończyła, uśmiechając się zalotnie.

Tajał gniew Pakosza pod wpływem słów Paulisi i już znacznie spokojniej przemówił:

— Niech tylko ten pieron w drogę mi nie włazi, bo będzie źle! I od panny mu wara!

— O! co to, to nie! zawołała Paulisia z gło-

śnym śmiechem! — Pókim panna, między pannami, tom wolna!

— Panna to wolna — odezwał się chmurny — ale jego utłukę.

— A to skaranie boskie! — zawołała Grotkowa piskliwie. — Same brewerye w domu, od czasu jak mego niema, biednaż, ja biedna! Lada kto bierze się do rozkazywania! A cóż to? Czy ja już nie matka? Czy nie gospodyni? Czy już nic nie znaczę?

— Wy, pani Grotkowa, macie swój honor, i ja wiem o tem; ale i ja mam honor — rzekł z powagą Pakosz.

Paulisia, widząc, że się zanosi na kłótnię, mrugnęła na matkę i odezwała się szybko i stanowczo:

— To jest taka rzecz.. Albo do niedzieli będzie spokój z Franciszkiem, albo wyprowadź się pan od nas: wybieraj pan!

Pakosz patrzał zdziwiony, nie rozumiejąc, a Paulisia dodała:

— W niedzielę powie mama i ja ostatnie słowo, ale do niedzieli żadnej bijatyki, breweryi, kłótni z Franciszkiem, bo się pogniewam i kwita z naszej znajomości!

Pakosz długo rozważał w milczeniu słowa dziewczyny. Nasuwała mu się wątpliwość o szczerości jej słów, wzdragał się przed posłuszeństwem, rozmyślał, czy nie lepiejby było rzucić Grotkównę i przeprowadzić się, ale gdy spojrzał na Paulisię, która przy lampie w drugim pokoju szyła, gdy wi-

dział jej profil ładny, zgrabną postać, zbliżył się do niej, wyciągnął prawą rękę i rzekł:

— Niech się stanie według słów panny. Do tego zatraconego nie przemówię słowa, aby raz był koniec.

— Tak, to lubię pana — powiedziała Paulisia, kładąc swą białą, delikatną rękę w dłoń czarną i spracowaną.

— Mam słowo panny, że w niedzielę koniec — upewniał się Pakosz, nie puszczając ręki.

— Powiedziałam, że w niedzielę, to w niedzielę — odparła z uśmiechem.

— To dobrze. Idę teraz „Pod dęba“, bom przyrzekł kamratowi.

I wkrótce Pakosz wyszedł.

Podobne przyrzeczenie otrzymała Paulisia z łatwością od uradowanego Franciszka.

W następną niedzielę po sumie zaprosiła Grotkowa Macieja Bibielę. Pakosz i Franciszek dostarczyli jadła i napitków, a gdy już podjedzono, wstał Maciej, namówiony poprzednio przez kobiety, i przemówił:

Jako Adam leży chory, tak ja, jako starszy, przemawiam i posłuchajcie. Mamy adwent, ślubu żaden ksiądz nie da, to i po co te swary? Przyjdzie czas, wyzdrowieje Adam, to i pokłonicie się ojcu, jako przystało, powie swoje Paulisia i zrobi się weselisko. A teraz pomiarkujcie, że tylko sami się męczycie i kobiety biedują, podajcie sobie ręce do zgody, to będzie najlepiej.

Oburzył się Pakosz, żądając ostatecznego wyboru między nim a Franciszkiem. Tego żądał i Butny. Dopiero po długich namowach, zaklęciach, targach, podali sobie ręce na znak zgody, dali słowo, że ani otwarcie ani podstępnie sobie w niczem nie będą szkodzili i że cierpliwie zaczekają powrotu ojca i decyzyi Paulisi w dzień Trzech Króli. Kobiety tryumfowały.

XVI.

W biurze kopalni, mieszczącem się w osobnym budynku, zwanym na pamiątkę córki administratora *Désirée*, panował niezwykły porządek. Z wielkiego przedpokoju na prawo, były biura niższych urzędników i tam zgromadzili się dziś sztygarzy, wezwani z polecenia samego dyrektora. Z lewej strony przedpokoju prowadziły drzwi do dwóch większych pokojów, z których pierwszy by kancelaryą nadsztygara, a drugi, ozdobniejszy, zajmował zawiadowca kopalni. Nadsztygar i zawiadowca, każdy w swoim pokoju, przed swojem biurkiem, siedzieli, rozpatrując jakieś papiery, udając zajęcie, a myślą pochłonięci zapowiedzianą wizytą dyrektora kopalni. Pokoje były czysto zamiecione, przewietrzone, kurze na biurkach, krzesłach i szafach pościerane, dyrektor bowiem nie znosił nieporządku, jakiegokolwiek nieładu, jak się wyrażał; działało mu to na nerwy.

Po chwili odezwał się zawiadowca kopalni,

pan Puślikiewicz, głosem śpiewnym, zatrącającym z litewska:

— Panie Remiszewski! czy są wszyscy sztygarzy, jak to mówiłem?

Nadsztygar powstał szybko, rad, że ruchem przerwie gorączkę oczekiwania i, jakkolwiek wiedział, że wszyscy sztygarzy czekają, ze słowami:

— Zaraz zobaczę! — opuścił pokój.

Sprawdziwszy jeszcze raz, iż żadnego nie brak, wrócił, stanął w otwartych drzwiach i, rozczesując palcami gęstą brodę, rzekł.

— Są wszyscy, panie zawiadowco!

Zawiadowca, nie patrząc, skinął głową na znak, że słyszy. Nadsztygar, wysoki. przystojny mężczyzna, brunet, oparł się o futrynę drzwi i, patrząc ciemnemi, błyszczącemi oczyma na zwierzchnika, rzekł zwolna:

— Jakoś opóźnia się pan dyrektor... Miał być o dziesiątej, a już jest dwadzieścia minut na jedenastą...

Zawiadowca miarowym ruchem pochylał i podnosił głowę na znak potwierdzenia.

— Sądzę, panie zawiadowco, że to w sprawie rabunku wschodnich chodników...

Zawiadowca podniósł głowę, spojrzał na mówiącego zblakłemi, niebieskiemi oczami, ręką białą, delikatną, potarł krótką, rudawą brodę i powiedział powolnym głosem:

— Nic może być inaczej, przecież filary już zdjęto, a i po cóż, jeśli nie dla rabunku.

— Tam jest jedna część niebezpieczna.

— Wiem i ja...

W tej chwili doleciał ich uszu turkot powozika. Nadsztygar stanął przy swojem biurku, rzuciwszy słowa:

— Pan dyrektor!

Wszedł oczekiwany. Przystojny, niemal piękny szatyn, szczupły w miarę, proporcyonalnie zbudowany, ubrany z wyszukaną wykwintnością. Garnitur ciemny, dobrze skrojony, uwydatniał figurę i rysunek harmonijny ciała. Ciemna, z granatowym połyskiem koszula, z wykładanym kołnierzem, zgadzała się z tym starannie skromnym strojem, przeznaczonym do kopalni, i doskonale odbijała od białej szyi. Strzyżona, ciemna broda, ładny wąs, ciemno-niebieskie oczy, jasne czoło, stanowiły przyjemną całość. Przynosił on ze sobą jakiś inny ton życia, atmosferę dostatku i używania, coś z czystości ciała, świeżo skąpanego, obsłużonego przez ludzi, znających swój fach, — a on umiał nosić i pokazać ich wiedzę.

Na głęboki ukłon nadsztygara pochylił lekko głowę i szedł wprost do drugiego pokoju. Zawiadowca stał już przed biurkiem z gotowym ukłonem. Dyrektor podał rękę w obcisłej duńskiej rękawiczce i, mówiąc miarowym, jednostajnym głosem:

— Dzień dobry panu — siadł na fotelu, zajmowanym poprzednio przez zawiadowcę, który stał z boku, czekając pytania.

— Co słychać w kopalni pańskiej?

— Nic nowego, wszystko w porządku, panie dyrektorze — wypowiedział powolnym, śpiewającym tonem stereotypową formułkę.

— To i dobrze... Wykazy przyślesz mi pan około godziny trzeciej, nie później i nie wcześniej, pan wiesz, że niespodzianek nie lubię.

— Będą, panie dyrektorze, o godzinie trzeciej na biurku.

Dyrektor uśmiechnął się z lekką ironią, ale mówił tym samym miarowym, jednostajnym głosem, patrząc przed siebie:

— Na moje biurko położy je mój lokaj.

Po chwili zapytał:

— Sztygarzy są?

— Wszyscy, czy mam zawołać?

— Powiem sam kiedy... Chcę zapowiedzieć wyniesienie drzewa z wschodnio-północnej części. Pokład wyczerpany, drzewo marnieje, a nam się przyda.

— Zwróciłbym uwagę pana dyrektora, że jest tam jedno miejsce niebezpieczne...

— Które?

— Na planie, numer 2480, usunięto filary węglowe, góra niepewna. Mniej więcej czwartą część chodnika odcina.

— Taak? — rzekł dyrektor, zwróciwszy ładne, niebieskie oczy, którym starał się zawsze nadać wyraz olimpijskiego spokoju, na stojącego zawiadowcę. — Sam sprawdzę, pójdziemy tam. Jeśli

istotnie niebezpieczne, nie można narażać życia robotników.

— Dobrze, panie dyrektorze — skłonił się zawiadowca, rad z pozbycia się odpowiedzialności.

— Czy geometra jest? — zapytał dyrektor gładząc rękawiczki.

— Czeka z planami.

Dyrektor zamyślił się, patrząc na monogram wypukłej złotej spinki u mankietów i po chwili rzekł:

— Proszę zawołać sztygarów!

Nasłuchujący nadsztygar, na dany znak zawiadowcy, poszedł spełnić rozkaz.

Weszli sztygarzy, stukając głośno ciężkimi butami. Stanęli półkolem w pierwszym pokoju, tuż przed drzwiami na rozcież otwartemi, z nadsztygarem z prawej strony i czekali spojrzenia dyrektora, aby się skłonić. Podniósł oczy i w tejże chwili nizko zgięły się karki. Uśmiechnął się dyrektor z jednostajności ruchów, ale natychmiast przypomniał sobie, że jako wykwintny patrycyusz powinien czuć pewną odrazę do tych prostackich ruchów, ubrań, zapachu... wyjął batystową chustkę, napojoną delikatnemi, fiołkowemi perfumami, przytknął do nosa i dopiero po chwili przemówił.

— Pokład wschodnio - północny wyczerpany, drzewo marnieje, polecam je wynieść. Filary węglowe wybrane?

— Tak jest, panie dyrektorze! — odpowiedział gromko nadsztygar.

— Bez wypadku?

Sztygar numer 2, który tem właśnie się zajmował, sądził, że do niego stosuje się to pytanie, gdyż oczy dyrektora błądziły bez wyrazu po wszystkich i wyrwał się:

— Tylko jeden, drobny. Urwało ucho górnikowi i potłukło ramię.

Dyrektor spuścił oczy na rękawiczki z grymasem niezadowolenia i niechęci, następnie spojrzał z wymówką na zawiadowcę, ten ostro na nadsztygara, a ów z oburzeniem na sztygara, który, zmieszany, tarł głośno swe grube ręce.

— Nic mu nie będzie! — wybełkotał sztygar, wpatrzony w dyrektora.

— Za częste wypadki w kopalni, panie zawiadowco, dozór jest lichy!

Westchnął głęboko, oparł łokieć na stole, głowę na dłoni i mówił jednostajnym głosem:

— Robię ustępstwo dla przesądu górników i nie w poniedziałek feralny zaczniecie brać drzewo, ale we wtorek, szychta dzienna. Cenę za wybiórkę wyznaczy pan zawiadowca. Kto prowadzi we wtorek?

— Ja — odezwał się grubym głosem barczysty Holman, a po chwili dodał: — Czy od samego rana zacząć rabunek, czy z południa?

Na słowo „rabunek", piękna twarz dyrektora przybrała grymas niezadowolenia; raziło to jego smak estetyczny, oburzył się na tak prostackie słowo i głosem zniechęconym powiedział:

— Powie pan zawiadowca.

Okiem powiódł po biurku i przypomniał sobie, że przyjechał do biura kopalni, nie tylko, by zarządzając rabunek, uzmysłowić podwładnym swą wolę i władzę, i by swą przykładną gorliwością o dobro towarzystwa, zachęcić ich do naśladownictwa, ale zarazem miał drugi, niemniej ważny cel. Został dyrektorem, dzięki przeprowadzeniu bezwzględnemu zasady: eksploatacya węgla musi być możliwie tania, to też nie pominął żadnej sposobności, by słowem i czynem nie stwierdzić, że dobro towarzystwa, zwiększenie jego dochodów on, a więc i podwładni, muszą mieć przedewszystkiem na względzie. Nie zmieniając pozycyi, nie zwracając się do żadnej z osób obecnych, rzekł:

— Zapomniałem teki w powoziku. Prosiłbym o nią.

Wszystkie nogi zrobiły ruch ku wyjściu, ale jeden ze sztygarów, najbliższy drzwi, poskoczył i wkrótce z elegancką, czarną, skórzaną teką zjawił się przed dyrektorem, który, skinąwszy głową, otworzył tekę, wyjął plikę papierów, rozwinął i czytał:

— Pole numer 2 — tu spojrzał na właściwego sztygara, który, kłaniając się lekko, pobladł. — Eksploatacya węgla dużo kosztuje. Towarzystwo prawie traci.

— Mam pokład cienki — wyjąkał sztygar.

— Ale jest, to wystarcza dla mnie. Trzeba pilnować!

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Pole numer 4... Produkcya zmniejszona przy tej samej ilości robotnika, to się odbije w procentach. Ostrzegam!

— Pole numer 3... Za wiele chorych w szpitalu... za mało widać karności. Niech się to nie powtarza.

— Pole numer 1... ujdzie...

Sztygar uśmiechnął się z błogością. Sposępniałe miny zawiadowcy i nadsztygara trochę się wyjaśniły.

Dyrektor, składając papiery, skinął głową sztygarom na znak pożegnania, mówiąc:

— Proszę tam zaczekać, może będę potrzebował.

Gdy został z zawiadowcą, westchnął i rzekł ze szczerością w głosie:

— Ciężkie to życie! Jestem wyczerpany pracą!

— Odpocząłby pan dyrektor — poradził zawiadowca.

— Któż mnie zastąpi w kierowaniu trzema kopalniami — zapytał, patrząc zdziwiony na zawiadowcę.

— To prawda! — mruknął w odpowiedzi, spuszczając oczy, aby go nie zdradziły.

— Jeszcze ten geometra z miną nieszczęśliwą! — rzekł dyrektor.

— Ma chorą żonę — usprawiedliwiał swego geometrę zawiadowca — dzieci drobne, nieład w domu...

— Po cóż się żenił — rzekł chmurnie.

— Czy mam zawołać geometrę? — odezwał się nadsztygar.

— Niech przyjdzie.

Zawołany przez nadsztygara, wszedł geometra, wysoki, szczupły, bladawy człowiek, w obwisłym czarnym surducie, ukłonił się z daleka i, patrząc z lekką obawą na dyrektora, zbliżył się do drzwi drugiego pokoju.

— Pan dyrektor rozkaże?

— Usuwamy drzewo z pewnej części kopalni, pan zawiadowca powie z której, należy odmierzyć odpowiednią przestrzeń na powierzchni i zatknąć znaki ostrzegawcze. Pan zawiadowca da robotnika i wyda znaki... Skończyłem.

Geometra, nie rzekłszy słowa, wyszedł.

Po chwili milczenia dyrektor wstał i rzekł:

— Pójdziemy teraz do kopalni, zobaczę drzewo i to wątpliwe miejsce.

I szedł ku kopalni w towarzystwie zawiadowcy, nadsztygara i sztygara, będącego dziś na służbie. Gdy stanął u szali, chcąc okazać szacunek dla tradycyi, zawołał głośno:

— Szczęść Boże!

Robotnicy obsługujący odpowiedzieli mu okrzykiem, a sztygar podał oszkloną, elegancką lampkę, przeznaczoną specyalnie dla dyrektora. Zjechawszy do kopalni, ustawiono się w przyjętym już porządku. Na czele szedł nadsztygar, za nim dyrektor z zawiadowcą po lewej stronie, za nimi sztygar. Wiejąca wilgoć chodnika, kopeć lampek gór-

niczych, stęchlizna gnijącego drzewa, ostry zapach żywicznych, sosnowych, drewnianych filarów, stemplami zwanych, drażniły powonienie dyrektora.

— Żelazne zdrowie mają ci ludzie, pracując w takiej atmosferze — przemówił do zawiadowcy — a jednak żyją i są weseli.

— Górnik w kopalni, to jak ryba w wodzie — odpowiedział śpiewnie zawiadowca.

— Jednak świat jest mądrze urządzony — dodał dyrektor.

XVII.

W poniedziałek wieczorem przy czytaniu listy robotników pola numeru 3, rzekł sztygar:

— Jutro kto chce iść na rabunek, niech przyniesie ze sobą siekierę, albo topór i sznury.

Górnicy spojrzeli na siebie w milczeniu. Jeden z odważniejszych, stojących dalej od sztygara wśród tłumu, zawołał:

— A który chodnik?

Sztygar spojrzał po obecnych, a widząc, że nie okazują zbytniej ochoty do rabunku, przemówił bez gniewu:

— Chodnik Doroty i dalsze przeznaczył pan dyrektor do rabunku, zarobek łatwy, bo dobry stempel płaci się 18 kopiejek. Zarobisz w jedną godzinę, co przez całą szychtę.

— Ale i łatwo zatłucze — mruknął ktoś z tłumu.

— W kopalni tak zawsze, kto zna swój fach,

temu nic nie będzie. Musu niema, tylko kto chce zarobić, ten może. Ze starszych górników poprowadzą: Babczyk, Bibiela i Gdulski. Na numerze zastąpią ich dawniejsi górnicy.

Gdy robotnicy opuścili dom zborny, część ich otoczyła Babczyka. Był to chłop rosły, z brodą krótko przyciętą, słynął z odwagi i zręczności. Tam, gdzie śmierć już w oczy patrzała, gdzie inni cofali się w trwodze, szedł Babczyk, nietyle dla zarobku, ile dla ambicyi. Gdy powietrze złe dusiło ludzi wyciągał ich Babczyk, gdy przecięto odwrót, Babczyk szedł pierwszy na ratunek, ocalił niejednego, schwyciwszy go w porę, zanim go dosięgły uściski wózków lub lecąca bryła. Ale też był srogi, numer sobie dobierał z samych, co najlepszych górników, bo i do roboty był prędki i zapalczywy. Był on ulubieńcem sztygara, a górnicy go szanowali, ale się i obawiali, trochę dlatego, że był zawzięty, a trochę dlatego, że lgnął do sztygara. Węgiel złamał mu nogę w kostce, zagoiło się, ale kość zgrubiała i, idąc, powłóczył lewą nogą. I teraz szedł zwolna w stronę Macieja Bibieli i Gdulskiego, koło których zebrał się ich numer, szedł i nasłuchiwał gawędy górników, którzy radzili o jutrzejszym rabunku.

— Cóż wy, Bibiela, pójdziecie na rabunek — zagadnął Babczyk.

— Słyszeliście sami rozkaz, to i po co pytać.

— A bez rozkazu nie poszlibyście? — dopytywał się Babczyk.

— Czy mi to życie niemiłe? Nie mam dzieciaków i żony? — odparł markotny.

— To ja wam powiem, dlaczego was sztygar wyznaczył. Wy, Macieju, przezorny, dobrze rzecz spatrzycie, zanim ją weźmiecie, i on to wie, wybór dobry on zrobił.

Aż uśmiechnął się Maciej, rad z tej mowy, i patrzał na górników, stojących obok, czy słyszą oni, co mówi zausznik sztygara i odpowiedział:

— Co racya, to racya. Wpierw muszę skalkulować, nie żałuję zastanowienia, ale jak idę, to idę.

— A mnie dlaczego wziął? — zapytał, śmiejąc się, Gdulski, chłop gruby, wygolony, w kaszkiecie na bakier na wielkiej głowie.

— Pytał się dąb chłopa, czemu mnie bierzesz? osina bliższa ciebie — zaśmiał się głośno Babczyk— to i was kumie wziął, bo sami wiecie, żeście bez mała pierwszy siłacz.

— Ho, ho, siły to mi Pan Jezus dał! — zawołał Gdulski i wyciągnął rękę grubą, żylastą, spracowaną.

— Co my tu będziem radzili o suchem gardle — rzekł Babczyk — pójdźmy „Pod gołębia".

Ruszyli przodem, za nimi górnicy, ale wielu rozeszło się po mieszkaniach, bo byli spracowani, brudni od węgla i do rabunku nie mieli żadnej ochoty.

Franciszka korciło pójść za starszymi, ale jak pomyślał, że jako górnikowi nie wypada mu sie-

dzieć nie pijąc, a piwo kosztuje po sześć kopiejek kufel, zawrócił do domu.

Wojtek, Wincenty, Józef Bez, kilku innych i Pakosz, pociągnęli „Pod gołębia“. Usiedli, kazali dać piwa i słuchają.

Babczyk nadpił piwa, zapalił papierosa i przemówił:

— Byłem dzisiaj tam ze sztygarem, spenetrowałem wszystko. Drzewa tam, jak w lesie, zdrowe niebardzo i wysokie. Zarobek jest wielki, tylko posłuch musi być straszny, bo tam o śmierć potyka się człowiek, jak o kamień przy drodze.

— Ja to wiem — odezwał się Maciej, opierając się łokciami na stole. — Pierwszy głupi schwyci stempel, może sypnąć aż strach, wtenczas dokopuj się tamtych.

— To też mówię wyraźnie, posłuch straszny, to grunt przy rabunku.

— Ej, gdyby mnie który nie usłuchał — zawołał groźnie Gdulski — tylko by zipnął! — I wyciągnął, siedząc, swoje dwie wielkie, czarne od węgla, guzowate od pracy ręce i klasnął tak głośno, że zadzwoniły szklanki na stole.

Wincenty, wpatrzony w ziemię, z głową schyloną słuchał, a gdy się uciszyło, rzekł spokojnie:

— Dobra to rzecz zarobek, i śmierć nie straszna, bośmy wszyscy w ręku Boga, ale ja tam robiłem, znam każdy kąt, to i coś wiem.

Słowa ostatnie, wyrzeczone tajemniczo, zrobiły

wrażenie, spojrzeli wszyscy na niego, a gorący Babczyk krzyknął:

— Światła przed kamratami nie chowa się pod korzec! Dalejże, co jest?

Wincenty spojrzał, znów pochylił głowę i odpowiedział:

— Już niedaleko końca, tam, gdzie węgiel nie więcej nad łokieć szeroki, jest miejsce naznaczone krzyżem, i mówił mi jeden stary kamrat, że tam jest kurzawka!

— O Jezu! — zawołał ten i ów.

— Kurzawka! — rzekł poważnie Maciej — to jest straszna rzecz, bo to leci jak burza śniegowa, ani to uciec, ani się skryć; dopadnie, to i przyjdzie ginąć! Ni to ziemia, ni to piasek, ni to muł, ale coś razem. Schwyci buty, to je już zostaw, schwyci do kolan, to już nie wyciągniesz, mów tylko modlitwy za konających!

Umilkli wszyscy. Wtem odezwał się Józef Bez, cięty chłop w języku:

— Byłem ja raz w kurzawce — i umilkł.

— Jakże to było? gadajcie. I co? — dopytywali się górnicy.

Józef Bez kazał dać kufel piwa, nadpił, rozparł się wygodnie i zaczął:

— Byłem wonczas ładowaczem jeszcze i pracowałem niedaleko, bo przez chodnik i jedną pochylnię od poszybia, wtem gwałt się zrobił, jeden przez drugiego lecą górnicy, a krzyczą: kurzawka! kurzawka! I my w te pędy, dopadliśmy szal i ja-

zda w górę. Tam oprzytomnieli i dalejże opowiadać, że na przodku rozerwali kurzawkę. Zjechał sztygar, zrobił porządek na podszybiu, ale czeka tamtych górników, nie idzie sam do kopalni. Ich jak niema, tak niema, tylko świszcze i huczy po chodnikach. No i nic, wyjechali górnicy i szlepry, czyta listę, brak ze trzydziestu górników, a z dwudziestu szleprów.

Znów pije i patrzy, czy słuchają.

— To była nocna szychta; jak przyszła dzienna, wziął na ambit nadsztygar i sztygary, zebrali zuchowatych górników, zjechali w dół. Cicho. Idą dalej. Cicho. Ale mówi nadsztygar: coś mi ciężko iść, nogi mi trzyma!.. Patrzą, a tu klej jakiś, niby to błoto, poznali kurzawkę... Wyjechali na górę, radzą, ano nic, trzeba czekać aż stwardnieje. Znów idą, poszedłem i ja. Jakoś po deskach, po drzewie, uratowaliśmy trochę ludzi, ale do tamtych pierwszych ani sposób się dostać. Mówią, że poginęli, nałykawszy się kurzawki i zamurowało im gęby. Ale coś w kilka dni mówią górnicy, że słychać jęki; zebrało się nas kilku, idziemy. Nic nie słychać, aż spojrzę w jeden przodek, przetarłem oczy, widzę: nie duchy żadne, tylko górnicy: wyżej pasa tkwią w błocie. Narobiliśmy krzyku, przyszli inni, wyciągnęliśmy dwa trupy i jeden żyw, ale nic po nim, popsuło mu się w głowie, na każde pytanie mówił: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!“

Westchnęli słuchacze, posmutnieli, opadła cał-

kiem ochota, już i na drzwi się oglądają, aby iść do domu.

Babczyk popatrzył drwiąco po obecnych i rzekł:

— Co to, strach was obleciał? Opowiedział Józef swoją kurzawkę, powiem coś i ja. Pracowaliśmy w chodniku „Prokopa“, był i sztygar na chodniku, aż tu leci kupa górników i krzyczą: kurzawka! Stój! krzyknął sztygar i woła na mnie. Stanęliśmy w chodniku. Dopiero oni mówią, że za nimi leci kurzawka. To i dobrze, idźmyż jak ludzie, nie jak bydlęta, kamratów trzeba uprzedzić bez krzyku. I wyjechaliśmy w porządku. W kopalni był dyrektor sam, powiada, że zjechać trzeba i poznać. Jedzie z dyrektorem zawiadowca, nadsztygar, sztygar i ja. Idziemy a idziemy, nic, spokój wszędzie, aż tu z jednego przodka jak wionie zimny duch, lampki gasną, pod nogami błoto, dopieroż oni wszyscy krzyczą: kurzawka! i z dyrektorem na czele w nogi. Nie mogłem przecież rwać pierwszy, bo oni starsi, biegnę na ostatku, ale coś mi nic nie straszno. Zwolniłem kroku, zapaliłem lampkę i pomału wracam. Zbliżam się, słyszę jakieś bulgotanie, zniżam lampkę, ano nic, piasek i woda. Tak ja w śmiech. Wróciłem, opowiadam, dał mi sam dyrektor piątkę i powiada: zuch z ciebie!

Gdy Babczyk opowiadał o ucieczce dyrektora i przełożonych, zaśmiali się szczerze górnicy, tylko Józef Bez rzucił zgryźliwie:

— Swoje życie to oni drogo cenią!

— Jak każdy z nas! — zawołał Babczyk. — Ale posłuchajcie końca. Źródło zamurowali szczelnie i, aby nikt nie ruszył, położono znak krzyża świętego. Ja tak myślę, Wincenty, że i tam chyba jest woda, bo i kto zgadnie, gdzie kurzawka?

— Może i tak — dodał Maciej.

— Daj to Boże! Daj Boże — westchnął nieprzekonany Wincenty.

— I nie pójdziecie? — zapytał go Babczyk.

— Nie pójdę.

— To się obejdzie! A kto z was, kamraci, idzie? — zwrócił się Babczyk do górników i zatrzymał oczy na Pakoszu, który, siedząc wprost lampy, przybitej do ściany, był najwidoczniejszy.

Pakosz rzekł:

— Możebym i poszedł, słyszę ja o rabunku, ale nie wiem dobrze jak? U nas sypią w stare chodniki skałę, glinę, piasek z *Querschlagu,* ale to robią szlepry.

— To nie wiesz, kamrat? — krzyknął Józef Bez, podskoczywszy aż na stołku i, nie chcąc innym dozwolić na objaśnienie, prawił szybko: — Jak węgiel wybrany i nijakiej korzyści już niema, schodzi się rada na górze i mówią: szkoda nam tyle drzewa, przyda się, puśćmy co chciwszych, złakomią się, jak psy na mięso, i drzewo wyniosą na ramieniu. Zasypać, dużo kosztuje, zgnić, to drzewo zgnije, ano i lepiej zrabować chodniki. A zginą ludzie? Niewielka rzecz! Kasa braterska zapłaci wdo-

wie, aby nie żebrała, a za pieniądze kupimy robotnika, ile zechcemy...

— Kąsasz ty jak pies — przerwał mu Babczyk.

— Bom i bity jak pies! — odrzucił Józef; to mówiąc, schylił głowę, na której bieliły się szramy i blizny; odwinął rękaw z lewej ręki i w zgięciu z boku była głęboka blizna. — Mam zdarte udo i nie mam jednej piersi — kończył, wzdychając.

— Nie karmisz, to i po co ci pierś? — zaśmiał się Babczyk.

Zaśmieli się i inni.

— Pójdę — mówi Wojtek — co mi tam! Hej! gospodarzu, daj piwa! Albo ci zapłacę z rabunku, albo mnie prawuj na drugim świecie!

Wszystkim się podobała fantazya Wojtka i pierwszy Pakosz z rozczulenia wielkiego, aż go uściskał, wołając:

— I ja z tobą, kamrat!

Zaśmieli się górnicy z Pakosza, a Wojtek niezadowolony odsunął Szlązaka od siebie, mówiąc:

— Jak chcesz, to pójdziesz; tylko mnie nie ściskaj, bom nie dziewucha.

Te słowa rozweseliły wszystkich, nawet Wincenty się uśmiechnął, a Babczyk rzekł:

— Dzielnyś chłop! Chcesz? wezmę cię do mego numeru, zrobię to u sztygara.

— Dobrze mi w moim numerze i Bibieli nie rzucę.

Maciej głową radośnie skinął, mówiąc:

— Kocham cię też, Wojtku, jak syna!

Zmarszczył się Babczyk, usłyszawszy odpowiedź Wojtka, ale gdy przemówił Maciej, roześmiał się głośno i rzekł:

— Kiedy się odnalazła familia, ojciec i syn, wyprawcież ucztę, może i my coniebądź skorzystamy!

Wojtek i Maciej, podnieceni w swej ambicyi, kazali dać kolejkę piwa, rozochocili się wszyscy i piją.

Wtem drzwi od drogi otwierają się wolno i wchodzi człowiek niemłody, z brodą szpakowatą. Pochylony, wychudzony, że ubranie wisi, jak na patykach, postąpił dwa kroki, popatrzył i rzekł:

— Szczęść Boże!

Na ten głos Wojtek spojrzy bacznie, patrzy i nagle krzyknie, zrywając się:

— Wujku! czy to wy! czy wasz duch?

I Wincenty zaraz zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Adamie, tyżeś to?

Maciej oczy przymrużył, przetarł i rzeknie:

— Adam Grotek! On, czy nie on?

Ale już Wojtek całuje go w rękę, mówiąc:

— Wujku! ależ was zmieniło! Dopiero po głosie poznałem. Skąd? kiedy? jak?

— Wypisali mnie dziś ze szpitala. Powiada mi Franciszek, że radzicie o rabunku „Pod gołębiem“, myślę sobie, pójdę, może się na coś i przydam.

— Przydacie się, przydacie — zawołał Babczyk. — Zaraz siadajcie z nami, pijcie, zjedzcie coniebądź, ot i jest i zajęcie.

— Bóg zapłać! — odpowiedział Grotek, siadając — zjeść, to zjadłbym coś, ale pić niewolno, doktór zabronił.

Kazał Wojtek dać kiełbasy z kapustą i śmiejąc się, mówił:

— Słyszane rzeczy, żebyście wy, wujku, nie wypili piwa?! Z tego braku takiście zmizerowani. Pijcie! co tam doktorzy!

— Pijcie! — wołają inni. Upił trochę ze szklanki Wojtka i westchnął.

— Opowiadajcież, Adamie! Jak wam jest? Czujecie, że wróci wam siła? — dopytywał się Maciej Bibiela, nachylając się ku niemu.

— To jest tak — odpowiedział Adam, zapalając dane mu przez Babczyka cygaro. — Gdzie mnie obdarło, to pierwsza skóra zasklepiła rany i dobrze. Siły w lewej ręce niewiele, ale doktór mówi, że przyjdzie. Głowa się zrosła. I niby zdrów jestem, tak mówi doktór, czuję to i ja, że tak źle nie jest, jak dawniej; tylko mroczy mnie często i kości bolą, a czasem i całe ciało.

— Furda, bracie! — zawołał Babczyk. — Byłeś tam na kleiku, nie jadłeś, nie piłeś, to i skąd siły? Pożyjesz z nami, to się poczujesz na nogach; przecież z ciebie górnik był chwacki.

— Dałby to Bóg! — rzekł Adam, składając ręce wydelikacone, żółtawe, cienkie. — I ja tak myślę, że w kopalni odżyję.

— Ależ cię wzięło! — odezwał się Wincenty ze

współczuciem w głosie. — Taki byłeś siłacz, a teraz ręce, jak u pisarczyka z biura.

— Coby nie miał być słaby! — mówił Gdulski grubym głosem. Siła idzie z roboty. Wyleżał się, to i zesłabł. Ja sam, jak mnie raz schwyciła gorączka, a potem febra, to oskard nawet mi ciężył, ale przemogłem chorobę pracą. Powiedziałem sobie, zobaczymy, kto silniejszy, ja czy ty? Chodziłem na szychtę, aż się jej znudziło i uciekła.

— Ba! nie każdy ma twoją siłę! — dorzucił Maciej Bibiela. — Adam bardziej przemysłowy i siłę miał taką sobie, zwykłą.

Przyniesiono kiełbasę. Podjadł sobie Adam, odetchnął i już bez wzdragania pił piwo.

— Cóż tam w numerze? — zapytał Macieja.

— Na wasze miejsce przyszedł ten — wskazując na górnika zaczerwienionego — Pakosz, Szlązak, a wasz kwaternik.

— Słyszałem ci o tem — rzekł Adam, puszczając dym — tylko te brewerye z Franciszkiem nic nie warte.

— Cóż chcecie, Wujku! — zawołał Wojtek. — Jak jeden drugiemu depce po piętach, nie mogą się kochać!

— Słyszałem i o tem, ale kiedyś górnik i mój kwaternik, to mi daj rękę — i wyciągnął przez stół swą żółtą, chudą rękę.

Porwał się Pakosz i przemówił, ściskając rękę silnie:

— Panie Grotek, ja uczciwy górnik i, chociażem Szlązak, chciałbym tu na zawsze zostać!

— Czy w szynku? — podchwycił Józef Bez.

Zaśmiali się wszyscy, ale już wstał Babczyk Maciej i Gdulski, a pierwszy rzekł:

— Dość tej zabawy! Jutro rabunek!

I zaczęli wychodzić. Grotka, którego trochę piwo zamroczyło, odprowadzili Wojtek i Pakosz do mieszkania.

XVIII.

Rano, gdy przeczytano listę schodzących do kopalni robotników, wystąpił sztygar i zawołał:

— Jako wam objawiłem, dziś jest rabunek. Kto ma wolną wolę, niech przejdzie na prawą stronę, a reszta na lewo — i ręką wskazał miejsce.

Jeden z pierwszych wysunął się Franciszek; oskarda ani świdra niema, tylko topór szeroki łysnął w świetle lampy. Przystąpił Wojtek, Pakosz i kupa ludzi, co najwięcej ze szleprów. Sztygar zadowolony, że ma tylu odważnych ludzi, uśmiechnął się i mówi:

— Zawiele! muszę przebrakować, bo słaby tylko zawadza w rabunku.

Wszedł między ludzi z prawej strony, aż na sam koniec, i zawołał:

— Niech każdy wolno defiluje przed mojemi oczyma i topór mieć w pogotowiu!

Odprawił z dziesięciu wyrostków i tyluż może szleprów i rzekł:

— Lewa strona wedle swojej roboty niech pierwsza idzie, prawa pojedzie ze mną.

Zawołał Babczyka i rozkazał:

Podziel ich na trzy części. Pierwszą ty poprowadzisz, drugą Bibiela a trzecią Gdulski, tylko równe siły dawaj, aby nie było zamieszania.

Sam wszedł za baryerę między urzędników, a jeden z nich zaśmiał się i rzekł po niemiecku:

— Nie spodziewałem się, że tylu pan znajdziesz ochotników na śmierć.

— O! moje — same zuchy! — odpowiedział z przechwałką.

— Dwa lata temu — ciągnął urzędnik — jak przyszło do rabunku, na ochotnika dwóch się stawiło. Musiano numera po kolei wyznaczać, a i to szli niechętnie.

— U mnie tego nie było i nie będzie! — gorączkował się sztygar. — Jak każę, w ogień pójdą!

— Zwolna, zwolna — zaśmiał się urzędnik — jest już raport, że ogień się wzmógł za tamami. Jeśli przepali tamy, zobaczymy, czy pójdą!?

— Zobaczymy! — zawołał sztygar i zwracając się do Babczyka: — Hej! skończyłeś?

— Już, panie sztygar!

— Wyprowadź i uszereguj ich na dworze!

— Dobrze, panie sztygar!

Dniało, ale słońce jeszcze nie zeszło, tylko światło białe, wyraźnie przebijało mgłę i dymy. O jakie sto metrów huczała i grzmiała kopalnia, otulona mgłą, tak, że tylko jej kontury rysowały się

w powietrzu zgęstniałem. Od niej, o kilkaset kroków z boku prawego od domu zbornego, wznosiła się huta cynkowa. Wysokie jej kominy rzucały jaskrawo-czerwone światło na mgłę, wytwarzając nad swymi wylotami krwawą łunę, to silniejszą, znów słabszą, w miarę siły płomieni palenisk. Wśród świstów i zgrzytów maszyn, od czasu do czasu przeleciało silne westchnienie, czasem jak rzężenie, znów jak przeciągły jęk — to maszyna, ssąca powietrze dawała znak życia i swej pracy wdychania świeżego powietrza, by je tłokami wepchnąć w piece i podniecić słabnący żar. Lampy elektryczne wśród przesuwającej się mgły, zdawały się być księżycami, przesłanianymi chmurami, a całość kopalni robiła wrażenie jakiegoś apokaliptycznego, przerażającego zwierzęcia, które leży groźne, leniwe, nasycone, warcząc niekiedy do podobnego sobie nieprzyjaciela, do huty cynkowej, ziejącej ogniem i zatrutym oddechem.

Przed robotnikami, wyciągniętymi w jedną linię, stanął sztygar i liczył. Było ludzi trzydziestu sześciu, prócz trzech starszych i sztygara, a mianowicie dwunastu górników i dwudziestu czterech szleprów. Stali prosto z toporami i siekierami u boku, młodzi, silni, zdrowi. Białe światło przedednia oświecało ich poważne, zdecydowane, żółtawe twarze, proporcyonalną i energiczną budowę ciała, ich ubrania stare, poszarpane przez węgiel, poplamione oliwą lampek i kurzem węglanym, ale bez dziur przeświecających. Z pod małych, szarych,

miękkich kapeluszy, rzadziej kaszkietów, świeciły oczy, śledzące ruchy sztygara. A on przeglądał podział, pochwalił, i ruszyli ku kopalni, cicho, poważnie, porozumiewając się ze sobą szeptem urwanym. Po przywitaniu się: „Szczęść Boże!“ z pracownikami nadszybia, zapalili lampki i kolejno, wraz ze sztygarem, po czterokrotnem uderzeniu dzwonka, spuścili się wolno do podszybia, gdzie stają szale. Na dole uszeregowali się dwójkami i cały oddział ze sztygarem na czele zaczął się posuwać chodnikami i pochylniami ku chodnikowi „Doroty“.

Czterdzieści lampek górniczych rozświetlało odwieczne ciemnice, w których pracował człowiek. Każda piędź tej ziemi, każdy załom, wklęśnięcie, każda szczerba, to ślad pracy, zawziętej, usilnej, nieustającej. Ani twardy granit, oporny piaskowiec, zdradliwy łupek, uparta glina, podstępny piasek, zawzięta woda, nie wstrzymały postępu pracy ludzkiej. Małe karły, uzbrojone tak pierwotnemi narzędziami, jak oskard-młot i świder-dłuto, pruły wnętrzności olbrzyma-ziemi, bez przerwy, bez wytchnienia, bez znużenia, z przyświecającą, jak lampka górnicza, nadzieją, że z przepaści wyjdą zwycięzcami. Od czasu do czasu zniecierpliwiony olbrzym otrząsnął się z niemiłych karłów, zgruchotał ich kości, odświeżył się ciepłą krwią, odetchnął jękiem i zamarzył o przedwiecznym, spoczynku nicości. Ale wnet zbudziły go uderzenia oskardów, zgrzyty świdrów, gwizd maszyn, blade światełka lampek

i dalej wrzała walka nieustająca, nieubłagana, zawzięta, nieprzejednana.

Na każdym chodniku, w każdej pochylni to ten, to ów górnik wspomniał przeżyte dzieje, westchnął za towarzyszem, rozświetlił na chwilę podartą w strzępy ścianę, skinął głową na znak, że poznaje miejsce, i szedł dalej z niezachwianą wiarą, iż chociaż śmierć zajrzy mu w oczy, on jej uniknie, rzuci na jej pastwę swą ciężką pracę, sam wróci do oczekującej go rodziny i znów ją zobaczy w promieniach jasnego słońca na ziemi. W poważnem skupieniu ducha i sił, w milczeniu, przerywanem tylko pozdrowieniem „Szczęść Boże!“ spotykanych pracowników kopalni, doszli do chodnika „Doroty“. Stanął u wstępu sztygar i, podniósłszy lampę w górę, zapytał:

— Są wszyscy?

— Wszyscy!

I nic już nie mówiąc, postawił lampkę na ziemi, zdjął kapelusz, ukląkł i poznawszy po uciszeniu szmeru, że każdy poszedł już za jego przykładem, przeżegnał się i zaczął na głos modlitwę do Św. Barbary, patronki i opiekunki górników.

Czterdzieści lampek górniczych, palących się chwiejnym płomieniem, oświetliło posępne, żółtawe twarze, ubieliło blizny na czołach i głowach, zamajaczyło w oczach, wzniesionych do góry lub lekko przysłoniętych, zarysowało wyraźnie złożone do modlitwy ręce grube, spracowane, z puszkami szerokiemi, z poczerniałemi szramami. Głosy ich

szorstkie, bezdźwięczne, grube, głębokie, zabrzmiały wspólną modlitwą, powtarzaną na głos za sztygarem. Dźwięczała w nich nuta prośby i wiary, błaganie o ratunek i pewność pozyskania tegoż, wielka pokora i wielka ufność. Sztygar sam przejął się tą chwilą i wyraźnie, głośno mówił:

— „Św. Panno i Męczenniczko Barbaro, bardziej Boga i nieskażoną czystość, niż życie miłująca, racz nam wyjednać modlitwami Twojemi u Oblubieńca Twego, Jezusa Chrystusa, czystość duszy i ciała. Patronko górników! Opiekunko konających! prosimy Cię serdecznie, uproś nam w godzinę śmierci naszej jak najskuteczniejszą skruchę za grzechy i ufność w miłosierdziu Boga; niech bez posilenia się chlebem Anielskim nie umieramy, ale mocą i zasługą ciała i krwi Jezusa Chrystusa otrzymamy żywot błogosławionych w Królestwie Jego. Amen".

Po skończeniu modlitwy, sztygar wstał z lampką w ręku, nakrył głowę i zawołał tonem surowego rozkazu, różniącym się znacznie od pokornej modlitwy:

— Hej! Babczyk! zaczynaj, w imię Boże!

A gdy dwunasty go mijał, zawołał wraz z pozostałymi:

— Szczęść Boże!

Odpowiedzieli, nie odwracając się i szli dalej chodnikiem. Gdy stanęli u ściany kresowej, przeznaczył Babczyk każdemu słup oddzielny i rzekł:

— Gdy powiem: „Szczęść Boże!" każdy niech

zacznie rąbać u podstawy. Na stempel podcięty niech rzuci sznur, a gdy gwiznę, pociągną ostatni i dopiero, gdy miną ze stemplem sąsiada, pociągną inni aż do końca. Kto się wyrwie, temu łeb rozbiję i przepadł zarobek. Uważać i słuchać, bo śmierć już szczerzy na nas zębiska. Hej! pozór!... Szczęść Boże!

Wraz z odpowiedzią łysnęły w świetle lampek stojących topory i odezwały się uderzenia ostrej stali, wchodzącej głęboko, wyjmowanej z właściwym drzewu zgrzytem. Zachwiały się niektóre słupy i z góry padły kawałki kamieni, zasuszonej gliny, resztki węgla. Niektórzy próbowali ręką oporu słupów, piszczących u podstawy i w górze. Babczyk przechodził śmiało wśród rabujących, rzucając słowa rady i rozkazu.

Gwizdnął!

Słychać było wśród ciszy naprężenie sznurów i ciał ludzkich. Runęły ostatnie słupy i wraz rozległ się trzask padających desek, osypywanie się łagodne góry i lampki górników szybko migotały, zbliżając się do Babczyka, stojącego na przodzie. Z kolei wzmagały się łoskoty padających stemplów, głuche uderzenia desek, dźwięczniejsze odgłosy kamieni. Górnicy biegli szybko, a obok nich Babczyk, pilnując porządku. Tarcie ciągnionych słupów, ich uderzenia o stojące w chodniku stemple, tłumiły odgłosy usuwania się góry. Zdala spostrzegli lampki sztygara i górników oczekujących. Babczyk pośpieszył naprzód.

— Wszyscy!? — zawołał przełożony.

— Wszyscy, panie sztygar!

Rozstąpili się górnicy, by przepuścić obładowanych.

— Hej! Bibiela ze swoimi naprzód!... Szczęść Boże!

Bibiela, przezorny, zanim się zbliżył do zrabowanego miejsca, zatrzymał swój oddział i nasłuchiwał. Prócz szmeru osypującego się piasku, rzadziej łoskotu padających kamieni było tam spokojnie. Najdalsze dwa słupy opuścił, następnie wybierał co lepsze stemple, badał pokład góry, o ile grozi natychmiastowym upadkiem, i stosownie do tych wskazówek zostawiał pewne słupy nietknięte, rozstawiając przy innych swoich robotników, i przemówił:

— Chcący zobaczyć świat boży i dzieci, niechaj uważają, bo wyrwie się pierwszy, już i śmierć dalszemu. Póki cię nie minie sąsiad za plecami, stój, a widzisz, że leci góra, uskocz, nie puszczając sznura, ale nie ciągnij, bo zwali się kupa was, to i co poczniesz. Na pierwsze: „Szczęść Boże!“ tnijcie; na drugie: „Szczęść Boże!“ ostatni od rabunku pociągną pierwsi za sznury i biegiem za mną.

Górnicy, przyzwyczajeni do posłuszeństwa, polecenia Bibieli spełnili ściśle i dobrze. Maciej biegł pierwszy, nie czekając ostatnich, dopiero w bezpiecznem miejscu policzył górników i belki.

— Wszyscy!? — zawołał sztygar.

— Bóg nas strzegł i Św. Barbara. Wracamy szczęśliwie!

— Hej! Gdulski! naprzód!... Szczęść Boże!

Rozstawiwszy robotników przy stemplach, starszy górnik krzyknął głosem grubym, donośnym:

— Posłuch musi być straszny, a nie usłuchasz, skręcę kark, jak łeb wróblowi, tak mi Panie Boże dopomóż i Św. Barbaro! Niech mnie jasne, siarczyste pierony trzasną, zrobię to wam, jakem Gdulski. Zaczynać i słuchać, póki nie powiem: rwij, zadni!

Zrabowana część Bibieli, zaledwie lekkiem osuwaniem świadczyła o braku podpór, tylko niekiedy skrzyp drzewa wyginanego, jak gdyby jęk skarżący, dolatywał czekających na drugie hasło robotników.

— Rwij zadni! — wrzasnął Gdulski.

Podniosły się pyły, ale górnicy wyszli cało i dobiegli szczęśliwie do sztygara, który spostrzegłszy, że lampki u większości górników pogasły, zarządził przyniesienie zapasowych lampek i niemi kazał rozświetlić część chodnika.

Za trzecim nawrotem przypadła na Gdulskiego ta część chodnika, którą bezpośredni przełożeni kopalni uznawali za niebezpieczną. Sztygar, wysyłając Gdulskiego, wziął go przedtem na stronę i ostrzegał:

— Ty uważaj pod filarami dawniejszymi, mówią, że góra chybocze się!

— Iii... Przelecą, panie sztygar, aby byli w niewiadomości.

— Ja ci głowy nie przyprawię, uważajże na swoją.

— Dobrze, panie sztygar.

I poszedł.

Dotychczas chodnik nie był zasypany, sunął się piasek, padała z łoskotem glina, urywały się naruszone przy pierwszej robocie kamienie, trzaskały przeciągle pozostawiane przez Bibielę stemple, ale spodziewanych i oczekiwanych przez górników grzmotów podziemnych, nagłych prądów, powalających z nóg, nie było. Górnicy, zadowoleni, uśmiechnięci szli po słupy, jak do tańca, podżartowywali z tchórzliwych, którzy pozostali przy zwykłem wydobywaniu węgla lub kuciu poprzecznic.

Ostatni z partyi Gdulskiego rąbał stempel o jakie trzy metry od niepewnych filarów, reszta była głębiej w chodniku.

Na dany znak porwali się dalsi, a Gdulski, pilnując porządku, przepuścił pierwszych sześciu i szedł za nimi, prowadząc drugą połowę oddziału. Nagle w głębi chodnika zahuczał głuchy grzmot zapadającej się ziemi. Równocześnie z głosem udzieliło się drżenie ziemi i w tejże chwili niepewna góra pod filarami runęła, zasypując idących górników. Na pierwszy sygnał grzmotu, porwał się do biegu Gdulski, spadająca bryła przygniotła mu jednak nogi. Ryknął strasznym głosem, padając. Do sztygara i górników pobladłych doleciały huki,

grzmoty, darcia, łomoty, drżenia, a wśród nich przeraźliwy jęk, nieludzkie wycie, mieszczące w sobie wściekłość bólu, rozpacz ginącego, ostatni wysiłek o ratunek. Przybiegło ku sztygarowi sześciu z oddziału, bladzi bez lampek, stemplów, kapeluszy; z rozwianym włosem, z sinemi ustami, drżący, szczekając zębami, z oczami wytrzeszczonemi, czarno podsiniałemi. I gnani strachem, tłoczyli się na stojących górników, jak obłąkani.

— Zatrzymać ich! — krzyknął sztygar.

Ale żadna ręka nie podniosła się tym razem, górnicy z ustami otwartemi, z oczyma utkwionemi w ciemną czeluść chodnika, gdyż prąd pogasił rozwieszone lampki, nasłuchiwali echa dalekich grzmotów i cichych jęków rannego — sześciu uratowanych z oddziału Gdulskiego pobiegło w głąb kopalni, gnani przerażającym strachem jakiegoś nieopisanego nieszczęścia.

Pierwszy oprzytomniał Babczyk, ukląkł i zaczął głośno litanię do Św. Barbary. To poskutkowało. Za jego przykładem poszli inni, i chociaż tam w głębi jeszcze szumiało, a prąd powietrza przyniósł tuman pyłu gęstego... górnicy modlili się z przejęciem.

Gdy powstali, spojrzeli przytomniej po sobie i zwrócili oczy na milczącego sztygara. Pierwszy odezwał się Babczyk:

— Panie sztygar, co robić?

Zamiast odpowiedzi, usłyszeli głośniejszy jęk

z chodnika. Sztygar popatrzył na Babczyka i zapytał głuchym głosem:

— Słyszałeś?

I znów rozległ się cichy, ale przejmujący jęk.

— Słyszałem. Ratować ich trzeba! — i spojrzał na milczących górników.

Wtem odezwał się głuchy, ale przerażający siłą huk, zadrżała ziemia wokoło, a w chodniku „Doroty“, przed którym u wejścia stali, usunęły się z głośniejszym łoskotem bryły. Gdzieś z głębi zaczęło szumieć i świstać, huk i łomot wzmógł się, przeleciał pierwszy poświst wypychanego powietrza, a już sztygar i Babczyk padli na ziemię, krzycząc: kładź się!

Gdzie który stał, tam i legł, przytulając się do podnóżka chodnika. I przebiegł nad nimi z wrzawą, jękiem, poświstem, prąd wiatru gwałtownego, pogasiwszy lampki. Już przeszedł i zrobiła się cisza, tylko padające gdzieś w chodniku „Doroty“ kamienie, pukały to głośniej, to ciszej. Zapalił lampkę sztygar, zwolna podnosił się na kolanach, wstał wreszcie i rzekł:

— Już po wszystkiem. Wstawajcie!

Pomału, prawie niechętnie, podnosili się górnicy, oglądając się z tęsknotą za siebie, za bezpieczną, jak im się zdawało, kopalnią.

— Poratuję ich! — zawołał Babczyk.

Sztygar popatrzył na niego, na strwożonych górników, pomilczał i odpowiedział:

— Tamci już legli, nic im po tobie, a chodnik niespokojny, szkoda mi ciebie!

Ta niemal ojcowska przemowa tembardziej podnieciła Babczyka; chciał się okazać godnym życzliwości przełożonego.

— Panie sztygar, proszę o pozwolenie, jeśli nie poratuję, to obaczę.

— Idź!

— Hej, kamraci, kto ze mną?

Górnicy, wpatrując się w płomień lampki, stali nieporuszeni.

— Tam konają katolicy, kamraci nasi... — milczeli posępni. — Nie znajdzież się brat górnik?

Wtem z tłumu zabrzmiał dźwięczny głos:

— Pójdę! co mi tam!

Rozstąpili się górnicy i, ku Babczykowi, stojącemu obok sztygara, szedł Wojtek, blady, ale z uśmiechem.

— Ja z tobą, kamrat — zawołał Pakosz. — Kiedy żyć razem, to i umrzeć razem!

Reszta górników milczała.

Już Babczyk postąpił krok naprzód, gdy zawołał Maciej Bibiela:

— Idą na stracenie dwaj z mego numeru, pójdę i ja, może poratuję.

Sztygar, miększym i cichszym, niż zazwyczaj, głosem, pożegnał ich:

— Szczęść Boże!

Dopóki błyszczały lampki idących, śledził ich sztygar i górnicy z zapartym oddechem. Każdy

spadający kamyk, drobny hałas, każdy szmer z chodnika chwytali z drżeniem.

A Babczyk, doświadczony, przesuwał się ostrożnie pod ścianami, rozpatrywał podpory i rumowiska, i szedł dalej. Za nim gęsiego szli: Wojtek Pakosz i Bibiela. Dochodzili do miejsca, podpartego dawniej filarami z węgla, usuniętymi z rozkazu dyrektora. Na drodze napotkali leżące kolejno słupy, porzucone przez sześciu robotników oddziału Gdulskiego. Posuwali się ostrożnie, naprzód pomiędzy rumowiskiem drobniejszych brył ziemi i węgla. W świetle lampki zabłysło im nagle coś białego na ziemi. Stanęli, szepcząc zbielałemi wargami: „A słowo stało się ciałem!“ Po chwili postąpił Babczyk naprzód, wyciągnął rękę z lampką rozświetlił przedmiot, odetchnął i, zwracając się do towarzyszy, szepnął:

— To Gdulski!

Zbliżyli się. Otoczyli go kręgiem. Tak, to był Gdulski, leżący na brzuchu, z lekko poranioną głową i rękami.

Widocznie czołgał się, podpierając się rękami i brzuchem, gdyż obie nogi rozpłaszczone odarte z ubrania, były podobne do dwóch krwawych łachmanów. Leżał blady, z przymkniętemi oczyma, bez ruchu i znaku życia. Podniósł Babczyk jego obwisłą głowę, dmuchał w twarz, ale Gdulski nie drgnął. Przezorny Bibiela miał wodę w blaszance i, postawiwszy lampkę na ziemi, przemocą rozwarł zaciśnięte zęby, wlał w usta trochę wody, spryskuu-

jąc twarz. Oprzytomniał Gdulski, powiódł okiem po obecnych raz i drugi, poznał znajomych i chciał się zerwać z ziemi, lecz w tejże chwili padł z głośnym jękiem bólu.

— Już ci biedaku nie chodzić po tej ziemi — rzekł żałosnym głosem Maciej.

— Pełzający żyć będziesz! — dodał ze smutkiem Babczyk.

Zrozumiał Gdulski i uderzył w płacz wielki, spoglądając kiedy niekiedy na swe leżące, nieforemne, spłaszczone nogi.

— Moje dzieci! — zawołał wśród gwałtownego łkania.

— Zdrowi, mój bracie, toż one na ziemi z matką!

Po bladych policzkach Wojtka i Pakosza spływały ciche łzy. Gdulski po wybuchu żalu omdlał.

— Lepiej było mu zemrzeć na miejscu — odezwał się Babczyk. — Bez nóg, żebrający żyć będzie, a był taki siłacz.

— Kto tam wie, czy wyżyje w szpitalu? ale zawsze wyspowiada się po katolicku.

— Poratujmyż go! — zawołał Wojtek rozczulony.

— Prawda twoja — dodał Babczyk. — Tamtych sześciu, kto wie, czy żyje, a ten pierwszy odnaleziony, pierwszemu też należy się ratunek.

— Hm... To najlepiej będzie tak — zaczął Maciej. — Bierzcie Babczyk za kark, pod pachy i trzymajcie głowę, oni we dwóch wezmą w pas, bo to

chłop ciężki; jako najsłabszy, wezmę te strzępy nieboraka i poświecę wam drogę.

Gdy sztygar dostrzegł zbliżające się lampki w chodniku „Doroty“, podszedł. Najprzód ujrzał bezwładnie wiszące, krwią ociekłe nogi, niesione przez Bibielę, poznał Gdulskiego i, odwracając twarz na bok, szepnął wzruszony:

— A ostrzegałem!

Górnicy z ciekawością i jękiem współczucia przyjęli rannego. Z rozporządzenia sztygara pobiegli po nosze.

— Wróciliśmy żywi! — zawołał Babczyk — a tam jest jeszcze sześciu. Ja idę, kto ze mną?

— My! — odpowiedzieli Wojtek, Pakosz i Bibiela.

Znalazło się jeszcze dwóch ochotników.

— Posłałem po oskardy, zaczekajcie! — rozkazał sztygar.

Z oskardami w ręku wyruszyli w sześciu w głąb chodnika „Doroty“. Przeszli miejsce wilgotne krwią, na którem leżał Gdulski i zwolna posuwali się dalej. Zagrodziły im dalszą drogę wielkie strzępione bryły kamieni. Stanęli; nasłuchując. Po chwili zawołał Babczyk:

— Jeśliś żyw, odezwij się!

Znów nasłuchiwali. Gdzieś z głębi, jak z podziemia, odezwał się cichy głos.

— Gdzieś ty? — huknął Babczyk.

W odpowiedzi usłyszeli zrazu cichy jęk, a potem wielki krzyk.

— Idźmy!

Drapali się na bryły, spoglądając nieufnie na górę, szli za głosem, który to się urywał i milkł, to znów jęczał przeraźliwie. Zdawało się, że głos wychodzi z pod nóg stąpających. Przyłożył Babczyk ucho do ziemi, słuchał...

— Jest na prawo pod gruzem! — rzekł, wstając.

Zaczęli zwolna odwalać bryły. Pracowali w milczeniu, ale zawzięcie. Pod ścianą spostrzegli otwór mały. Nachylił się Babczyk i zapytał:

— Ktoś ty?

— To ja, Jacek Miętus! Ratujcie, kto w Boga wierzy!

Rozszerzyli szybko otwór, rozświetlili lampką, a Jacek wrzaśnie:

— Podajcie oskard, wywindujcie mnie!

Nachylił się Wojtek, objął go w pół dla siły Pakosz, spuszczono ostrze oskarda, przytrzymując hełmisko. Po chwili czuć było osuwające się kamienie, pod butami w otworze zabłysła blada, przestraszona twarz górnika, Jacka Miętusa.

Wyciągnięty usiadł, bo nogi mu tak drżały, że iść nie mógł. Gdy odetchnął, zaprowadzono go pod stemple chodnika „Doroty“ i zaczęli go pytać jak ocalał:

— Biegłem ostatni ze stemplem, a pięciu przede mną z Gdulskim. Nagle huknęło i zaćmił mi się świat. Czułem się po chwili jak w grobie.

Coś się waliło około mnie, grzmiało, huczało i opamiętałem się na wasze pytanie. Resztę to wiecie.

— Toś ty ostatni? Gadaj prawdę, Miętus, bo tu idzie o zbawienie duszy — rzekł poważnie Maciej Bibiela.

— Jako mi Boga przy skonaniu, ja ostatni... A tamci z Gdulskim umknęli?

— Tam ich grób — zawołał Wojtek, wskazując na wysoki wał brył.

— Jeśli on prawdę mówi — odezwał się Babczyk—to krew spłynie tu do nas, bo spad ku nam.

Porwali za lampki, przepatrują kamienie, aż tu krzyknie Pakosz:

— Jest!

Zbliżyli się. Płynie sobie mały strumyczek, jak szpagat dobry. Ten i ów spróbował koloru na palcu: prawdziwa krew.

Wrócili do siedzącego Miętusa.

— Jest tu jeszcze jedna sprawa — zaczął Babczyk — jeśliś ostatni, to przed tobą zamknęło drogę, ale i za tobą zamknęło. Pójdźmy do jego kryjówki!

— Ej, Babczyk, nie wyzywaj nieszczęścia — ostrzegł Bibiela.

— A tych pięciu, to nic? — zawołał.

I poszli. Odwalili jeszcze brył kilka, rozszerzyli otwór, a Babczyk mówi:

— Toż to chodnik!? Zejdę i obaczę.

Nikt mu nie śmiał się sprzeciwić, spuścił się w dół, rozpatrzył kąty i, uderzając oskardem w sto-

jący stempel, rzekł, podnosząc oczy do stojących na górze:

— To drzewo uratowało Miętusa, siedział tu bezpieczny, póki nie minęło urwanie. I prawdę mówił, on był ostatni, bo zostawili słup nieruszony. Wylazł szczęśliwie, zaczęli oglądać ogromną, spiętrzoną kupę zwalonych brył, pod któremi leżało pięciu zabitych.

— Z nich już miazga — rzekł Bibiela — toć mysz, a nie ochroniłaby się.

— Prawda, prawda — potakiwali inni.

— Hm... A gdyby tak spróbować! — zamruczał Babczyk i postąpił krok ku gruzom. Stali bowiem wszyscy w chodniku „Doroty“, nad stemplami.

Zaledwie tych słów domówił, urwała się z góry, nad gruzem, olbrzymia bryła, osypało pyłem stojących i zaczęły się sypać kamienie, że co prędzej cofnęli się.

— Nic już po nich! — rzekł Babczyk i szli ku sztygarowi. Obaczywszy Miętusa zdrowego, ucieszył się:

— Żywy jesteś!?

— Z grobu powracam, panie sztygarze!

— A tamci?

Odsłonił Babczyk i jego towarzysze głowy i rzekł;

— Wieczny odpoczynek, racz im dać Panie!

Co bliżsi górnicy słysząc, odkryli głowy i głośno odrzekli:

— A światłość wiekuista niechaj im świeci, niech odpoczywają na wieki, wieków. Amen.

Posłyszeli inni to pobożne westchnienie i cały, sklepiony, wstęp do chodnika „Doroty“, zabrzmiał temi słowami modlitwy.

Sztygar spojrzał na zegarek i rzekł:

— Już jest dziesiąta, cztery godziny ze szychty poszło... Posilcie się, wrócę tu niebawem.

Z początku jedli w milczeniu, tylko Jacek po raz trzeci musiał opowiadać przebieg całej katastrofy. Wtem wstał Bibiela, skinął na Babczyka, ustąpili w bok i tak mówi:

— Jakoś strasznie zmarnowana szychta, nie będzie co do ust włożyć, a jest tam sześć stemplów gotowych; co myślicie, gdyby tak zabrać...

— Zabrać, to można, tylko, że oni żywi i gdzieś strach ich pognał, to i zostawili swoją pracę, ale przyjdą...

— Niechże będzie i po połowie, zawsze jest coś z tego.

Babczyk skinął na Wojtka i Pakosza i oznajmił im, że połowa z sześciu stemplów sprawiedliwie im się należy, bo i któż się ważył iść w chodnik „Doroty“. Nic nie mówiąc, poszli we czterech i przyciągnęli sześć stemplów. Spojrzeli na nich górnicy zazdrośnie, a już najbardziej Franciszek Butny i, zwracając się do towarzyszy, rzekł głośno:

— Waguj tu swoje życie, a inny, nie pracując, zbiera.

— Któż wam bronił? — odciął Babczyk. — Czemuż to tylko my poszli na ratunek?

Umilkł Franciszek i liczy sobie zarobek, aż się zły odezwie, chowając chleb do torby:

— Ledwie pół rubla zarobku, zdechnąć z nim przyjdzie i tyle...

— To rabuj dalej, czy przeszkadzam? — odezwał się Babczyk, kurząc cygaro.

Zaczęli radzić nad dalszym rabunkiem, ten to, ten owo mówi. Wstał Bibiela i rzeknie:

— Co najgorsze, to i przeszło. Byliśmy u „Doroty“, chodnik spokojny, po bokach huk drzewa, łatwego do rabunku, bo zaraz uskoczysz w chodnik, pod stemple. Szkoda szychty, szkoda tyle zachodu i tyle strachu. Myślę, kiedy już rabować, to rabować!...

— Idźmy! — zawołali, wstając.

— Powoli, powoli! — krzyknął Babczyk — wszystko z rozumem trza robić. Należy skalkulować, jak pójdziemy. Cóż wy myślicie Bibiela?

— Ja to myślę tak... Od urwiska, gdzie leżał Gdulski, puścić kilka stemplów, niech stoją, bo tam pewno wzruszona skała...

— Racya! Racya! — zawołali.

Uśmiechnął się, rad, Bibiela i mówi:

— Z bocznych rwać najprzód, bo pewne, a i tak z nas pięciu już legło na zawsze...

Westchnęli głośno i jaki taki zasępił się.

— Idźcież wy pierwsi, Bibiela ze swoimi, ja tu zaczekam pana sztygara i zamelduję, co należy.

Bibiela każdego ze swoich obejrzał, kazał lampki rozświetlić i oczyścić, przeżegnał się i ze słowami: „Szczęść Boże!“ ruszył do chodnika „Doroty“.

Wrócili bez wypadku, a obładowani. I rabunek szedł dobrze i składnie, zarabiali dużo i łatwo, że aż się uśmiechali i żartowali z „Dorotki“, że tak łatwo daje. Dopiero pod koniec jeden ze szleprów złamał nogę, bo się splątał w sznur i nie mógł uskoczyć.

Przyszedł sztygar za trzecim już nawrotem, rad z rabunku bogatego, bo mu procenta rosły i, widząc zmęczone, uznojone potem czoła, bezwładnie wiszące ręce i chwiejny chód górników, spojrzał na zegarek i krzyknął:

— Dosyć! Za godzinę koniec szychty, obliczcie się, trzeba i nocnej szychcie coś zostawić!

Jaki taki rozochocony dobrym zarobkiem prosi:

— Jeszcze raz, panie sztygar!

Zmarszczył się przełożony, spojrzał groźnie i zawołał:

— Milczeć!

W tej chwili gruchnęło gdzieś w bocznym chodniku, jeszcze nie uspokoiło się echo, aż tu jak zacznie trzaskać, grzmieć, huczyć, drżeć, zdawało się, że cała ziemia wali się z posad. Lampki co do jednej pogasły, a tu wyje, sypie piaskiem w oczy, kręci wiatrem, jak gdyby rozpętały się jakieś wściekłe siły. Jęk górników zagłuszyły nieustające ło-

skoty i gromy i gdyby nie stali pod sklepieniem, pewnoby ich tam uśmierciło.

Może w pół godziny o tyle się uspokoiło, że Babczyk zapalił lampkę drżącą ręką i wyszeptał:

— A słowo stało się ciałem!

Podniósł się blady sztygar, mówiąc:

— To był taniec! A chcieliście iść, może i teraz znajdzie się ochotnik?

Milczeli, i w tem głębokiem milczeniu odezwał się drżący głos Macieja Bibieli:

— Sądny dzień!

XIX.

Na drugi ranek, koło godziny dziewiątej brnęło w śniegu, na polach, należących do kopalni, w kierunku wschodnio-północnym siedem kobiet i trzynaścioro dzieci, z których najmłodsze mogło mieć pięć lat! Szły, jęcząc, popłakując, a mroźny wiatr wschodni wysuszał łzy, robiąc czerwone pręgi na twarzy, lub spadłe przemieniał w przezroczyste igiełki lodu.

— I tak, moja sąsiadko, zmarło mu się nagle, a mnie, sierotę, zostawił z czworgiem drobiazgu. Dwoje zostawiłam w domu, i co ja teraz pocznę, nieszczęśliwa! — zaszlochała głośniej, ocierając oczy zbrudzoną chustką.

— Mój, to cosik przeczuwał, codzień narzekał na kawę, że mu nie w smak, a wczoraj nic, tylko ucałował dzieci i wybiegł. Nie wiedział nieboraczek, że po śmierć.

Łzy, płynące po twarzy, puściły się większe, już ich nie ocierała, tylko, odwróciwszy się wołała:

— Maryś! Maryś! chodźże prędzej, Nie ostawaj, bo wilk cię zje!

Maleństwo przyśpieszało kroków, czerwone, zasapane.

— Wam, to nic, — zaczęła rozpaczliwym głosem trzecia — dostaniecie pensyę z braterskiej kasy, bo są lata; ale mój trzeci rok w kopalni, bo był w galmanie, to co ja zrobię z dwojgiem maleństwa?

Tak narzekając, jęcząc, płacząc, nawołując na dzieci, doszły do miejsca, oznaczonego przez geometrę znakami ostrzegawczymi, słupkami z trupią główką. Żółtawe słupki odznaczały się wyraźnie od białego śniegu, a czarny rysunek trupich główek dziwnie jaskrawo odbijał na białem tle. Te usta bezzębne, szerokie, oznaczone grubemi kreskami, zdawały się drwiąco uśmiechać na patrzących, coś szeptać, czemś wabić, coś obiecywać i, gdy kobiety i starsze dzieci uklękły, młodsze pokazywały sobie dziwaczny rysunek, cicho chichotały i zaczęły, ostrożnie pokryjomu rzucać na siebie śniegiem.

— Mamo!—szepnęła ośmioletnia dziewczynka— to nasz tatuś tu leży?

— Tu, tu, moja sieroto! — zajęczała kobieta.

— Toć tu niema mogiły, ani krzyża!?

W odpowiedzi na to niewinne pytanie dziecka, wdowy po siedmiu pobitych w kopalni przy rabunku: pięciu z dziennej, a dwóch z nocnej szy-

chty, uderzyły w płacz i jęk wielki. Padały na ziemię, rwały na sobie chustki, wyrzekały głośno, tak, że przerażone dzieci zaczęły na głos płakać i szlochać. I te zmieszane, piskliwe jęki, narzekania, żale niósł wiatr ostry, wschodni, dalej ku drodze, którą właśnie przejeżdżał dyrektor w eleganckich sankach, otulony w sute futro. Spojrzał w tę stronę, poznał po świeżych słupkach miejsce niedawnego rabunku, chwilkę nasłuchiwał głosów żalu, zmieszanych z jękliwem dzwonieniem sanek, otulił się lepiej kołnierzem futra, westchnął i krzyknął na stangreta:

— Prędzej!

Tymczasem jedna z kobiet, energiczniejsza, otworzyła książkę do nabożeństwa i głośno dobitnie zaczęła czytać modlitwę za umarłych. Inne szlochając, powtarzały na głos. Dzieci, zostawione sobie, rozbawiły się, rzucając na siebie śniegiem, goniąc się, staczając z małych spadzistości.

Spostrzegłszy to matki, a zgorszone zabawą wobec grobu ojców i poważnej modlity, zaczęły ostro strofować dzieci, które, za przykładem matek, uklękły do następnej modlitwy i powtarzały bezmyślnie słowa pobożne posiniałemi usteczkami. Zziębnięte, zbolałe, nieszczęśliwe kobiety uradziły, wracając, zajść do pana zawiadowcy kopalni, a choćby do samego dyrektora i prosić o zapomogę i pomoc natychmiastową. Szły zwolna, stawiając ciężko zziębnięte nogi w głębokim śniegu.

Uprzedził ich jednak w biurze dyrektor. Po

zwykłych pytaniach o stanie kopalni, ilości węgla, wyekspedyowanego i leżącego w warpiach, wysokich kupach na zewnątrz kopalni, dyrektor rozparł się wygodnie w fotelu i, westchnąwszy, rzekł:

— Ostatni rabunek był nieszczęśliwy. O ile zyskaliśmy dużo i dobrego drzewa, to znów ta strata ludzi jest nieprzyjemna. Raport urzędowy już napisany?

— Jeszcze nieskończony...

— Nie zapomnij pan o naszej ścisłej poprzedniej kontroli...

— Wiem, panie dyrektorze.

— To jeszcze szczęście, że osobiście zbadałem ten chodnik!

— Prawda, panie dyrektorze.

— A zrób pan wyraźną wzmiankę, że ludzie szli na ochotnika, bo to wiesz pan: *„volenti non fit injuria“*. Tyle zapamiętałem z łaciny — uśmiechnął się zadowolony.

— Rozumiem, panie dyrektorze... Co powiedzieć wdowom, pewno przyjdą tutaj? — zapytał zawiadowca z wahaniem.

— O to biedne kobiety! Widziałem je niedawno, modliły się w polu... — westchnął głęboko: — zostawić je do wiosny w mieszkaniach, węgiel dawać, a zresztą odesłać do kasy braterskiej...

W tej chwili dał się słyszeć hałas w przedpokoju, jakieś głosy piskliwe i gwałtowne zamykanie. Dyrektor zmarszczył swą piękną twarz, spojrzał porozumiewawczo na zawiadowcę i rzekł:

— Już są... Zostawiam panu załatwienie tej sprawy, zrobisz pan, jak mówiłem, tylko wszystko na piśmie i przy świadkach, — kończył, żegnając się.

Dyrektor przewidział słusznie, były to wdowy. Stały przed biurem, pod ścianą, odwrócone od wiatru, przytulone do siebie, czekając chwili pozwolenia na rozmowę z zawiadowcą.

Gdy dyrektor obok przechodził, jęknęły cicho, patrząc z szacunkiem i nadzieją na dygnitarza, ale ten przeszedł szybko, miał jeszcze tak wiele pracy, a było dość późno na obiad.

Pan zawiadowca kopalni, zasłaniając się prawną umową, paragrafami ustaw, przepisami kopalni i rozkazami dyrektora, załatwił sprawę z korzyścią dla zarządu, jak zawsze.

XX.

W następną niedzielę wracał Wojtek z Mańką Kurakówną z kościoła z nieszpór. Droga była wesoła; coś szeptał dziewczynie, zażartował z matką, a one były takie rade, że z daleka słychać było ich głośne śmiechy.

— Żeby tylko ten adwent przecierpieć — odezwał się Wojtek — potańczymy na Nowy Rok, bo trzeba go zacząć wesołością.

— Nie wiem, czy pójdę? — odpowie spuszczając oczy. — Może tatuś nie pozwolą, może mamusia?

— Ee, coby nie mieli pozwolić? Poprosimy ta-

tusia, poprosimy mamusię i koniec. A może ja znajdę mamusi kawalera do tańca?

— Także coś! — odezwała się matka uśmiechnięta. — Ktoby się tam do tańca ofiarował?

— Znajdzie się, znajdzie — odrzekł ze śmiechem, czemużby się nie miał złakomić? Tylko mu trzeba...

— A czego? — zapytała Mańka.

— Piwa i wódki!

Zaśmiały się, ale matka udała obrażoną. Wtem z boku przypadnie do Wojtka niemłoda kobieta, szczupła, suchawa, tylko oczy jej się świecą, porządnie ubrana, w dobrą i ładną chustkę owiązana i, biorąc za rękę, mówi:

— Już zapomniałeś o Sobku?

— A gdzież tam! Chciałem dziś iść do szpitala, ale jakoś mi tak zbiegło... — odpowiedział zmieszany, pozostając w tyle z matką Sebastyana. — Cóż z nim słychać?

— O źle! rana się jątrzy i jątrzy. Mówił mi felczer, że chyba nóż był zatruty, albo co innego. Okropnie mu się ckni bez ludzi, dopytywał się bardzo o ciebie.

— Kiedyż wyjdzie?

— Za jaki tydzień, a może i więcej. Sam Bóg raczy wiedzieć. Sierotaż ja, wigilię sama jeść będę, a on w szpitalu, mój jedynak!

Bardzo żal zrobiło się Wojtkowi, bo poczuwał się do winy, że wyciągnął Sebastyana z domu od

matki i zaraz go skłuli. Chciał pocieszyć kobietę i rzekł:

— Rana od noża, to dzień dobrze, dzień źle, a może jutro zacznie się zasklepiać?

— Żeby to!... Byłam u znachorki, stawiała kabałę i mówi, że nie wyzdrowieje, póki nie utoczy się krwi zbója...

— Gdybym ja go dostał, zapłaciłby krew za krew, tylko przyłapać go trudno.

— Czasu miałeś dosyć, ale nie boli cię, to i zapominasz. Pokaż mi go tylko, ja, baba, nie ulęknę się go! — zawołała z gniewem.

— Co wam, matko, leźć między nas, już ja go spatrzę.

Milczeli, a po chwili matka Sebastyana rzekła przyciszonym głosem:

— Jeśli ty jako przyjaciel, mówisz, to wiedz, że dziś przy niedzieli najłatwiej go schwytać, pokaż mi go, a odwagi mi nie zbraknie!

Dokuczyły te przymówki Wojtkowi i głośno krzyknął:

— Wy mi o odwadze nie mówcie, spytajcie się ludzi o mnie, to wam powiedzą prawdę!

— Ale jego nie złapałeś, chociaż przysiągłeś. Pamiętasz przysięgę?

— I dotrzymam.

Znów uszli kawałek, Wojtek zły za posłyszane wyrzuty, niekontent, że Mańkę rzucił, myśli, jak tu pozbyć się kobiety, a ona mówi:

— Wiem, że ci się śpieszy za dzierlatką, to już

ja przyjdę „Pod gołębia“, może coś uradzimy... Idź już, idź!

Nie trzeba było Wojtkowi dwa razy powtarzać, poszedł szybko i jest już koło Mańki, a ona pyta:

— Czegoż to chciała matka Sebastyana?

— To cała historya. Jak go skłuł hutnik, przyrzekłem matce, że odnajdę winowajcę i pomszczę się...

— I cóż? — zapytała ciekawie.

— Ano, nie znalazłem...

— I on chodzi sobie swobodny? — odezwała się z gniewem, gdyż jako prawdziwa górniczka nienawidziła hutników. — Ten leży w szpitalu, a górnicy już nic nie mówią?

— Przyjdzie i na nich — odezwał się chmurny.

— Ale kiedy?

— Alboż ja wiem!

— To tak! — zawołała, zaczerwieniwszy się Mańka — ulicą nie będzie można przejść, tak rozzuchwalą się te hutniki. Skłuli takiego chłopca, górnika, i nic im za to, teraz się jeszcze przechwalają i kpinkują z górników... Słyszała mama?

— Słyszę, słyszę i masz racyę, moja córko. Marnieją już górnicy, marnieją — kończyła, wzdychając.

— To i dlatego — zaczęła znów Mańka — hutniczki dziś postrojone, naśmiewały się ze mnie... I miały racyę, bo dziś hutniczki górą!

Wojtka bolały tak te słowa, jakby go kto bił

surowcem; już i tak był podniecony narzekaniem matki Sebastyana, ale słowa Mańki były stokroć gorsze. Nachmurzył się i rzekł:

— To już nasza górnicka sprawa, zobaczymy, kto będzie górą!

— Jeśli tak dalej pójdzie, pewno, że hutniki! — zaśmiała się gorzko.

Było to dolaniem oliwy do żaru. Już nie wytrzymał z gniewu i krzyknął:

— Co wam się mieszać, kobiety, do nas, mężczyzn? Pilnujcie domu i dzieci!

Zaperzona Mańka rzekła:

— A to mi kawaler grzeczny! Szukajże sobie innej, ja dosyć mam naśmiewania hutniczek.

I zaraz skręciła do domu mieszkalnego, mówiąc do matki:

— Pójdę na chwilę do Marcysi, niebawem wrócę.

— Zajdę i ja. Mam małą sprawę.

Skłonił się Wojtek, zły, jak pies na łańcuchu i, chcąc sobie ulżyć, klął zawzięcie i głośno, aż ludzie przystawali, a on szedł prosto „Pod gołębia".

Zastał tam, jak zwykle, dużo znajomych, ale mu jakoś nie w smak żarty i gadanina, siadł z boku, przy osobnym stoliku i pije, jakby mu się we wnętrzu paliło. Spostrzegł go Pakosz, zbliżył się, usiadł, kazał dać piwa i zapytał.

— A co tam tobie gadać, ty mi nie pomożesz — odpowiedział.

— Kto tam wie? Jak ci trzeba pomocy, ja gotów, chyba że idzie o dziewczynę...

— Ty, Pakosz, nie dobieraj mi się do sumienia. Zechcę, to powiem, a nie, to nie pytaj!

— Okrutnie mi cię żal, Wojtku, bo wielkie musi być twoje strapienie, kiedyś tak osowiał — i, opierając się łokciem o stół, nachylił się ku niemu i zniżonym głosem mówił dalej: — Zwierz się przyjacielowi, ulży ci... a może to dług tak cię gniecie?

— Dług? Jeśli i mam, to sam zapłacę i nikomu do tego — odpowiedział szybko — ale... powiem ci, co mi tam, boś dobry chłop, chociażeś Szlązak...

Wypił piwo, kazał dać nowe, a Pakosz patrzy w niego, jak w tęczę, rad usłyszeć i pomódz.

— Pamiętasz ty mego przyjaciela, Sobka, co go hutnik ciął tutaj?

— Jak dziś, tak go widzę i hutnika też.

— Spotkałeś go może? — i patrzy prosto w oczy Pakoszowi, aby go nie oszukał.

— Raz, z daleka, zdawało mi się, że to on — odpowiedział niebardzo pewnym głosem.

— Słuchaj Pakosz, ty nie łżyj przede mną, bo tego nie lubię — powie już zły Wojtek i patrzy w oczy.

— Prawda jest, że raz z daleka szedł i skręcił ku domom hutnickim.

— Czemuż go nie spotkałem? — zawołał rozżalony Wojtek.

— Chciałeś także! — uśmiechnął się Pakosz — do paszczy wilka owca nie włazi!

— Słuchajże, jeżeli masz słuchać! — rzeknie Wojtek — raz wraz mi przerywasz!

Czuł Pakosz niesprawiedliwe gadanie, ale nic, popił piwa i słucha dalej:

— Znaleźć go muszę gdzieniebądź on jest, chociażby w ich pierońskim piecu, a znajdę i pomszczę się sprawiedliwie!

— O co ci idzie? — zaśmiał się Pakosz lekceważąco.—Niewielka historya, pomogę ci! co cztery oczy, to cztery, już go kiedyś przyłapiemy!

Wojtek drwiąco spojrzał, popił piwa, zapalił papierosa i mówi z kpinkami:

— Strach, jakeś ty zniemczał na Szląsku!

— Albo co? — obruszył się Pakosz.

— A twoje gadanie?! — i, naśladując głos Szlązaka, powtórzył: — „pomogę ci, już go kiedyś przyłapiemy“, pomalutku, powolutku... Tfu! z takim ciamajdą! U nas to tak: albo, albo. Iść, to w ogień, a nie, to nie gadać!

— Czegoż ty chcesz? — zapytał markotny Pakosz — pójdę za tobą w ogień, skoczę w wodę, tylko powiedz!

Te słowa rozczuliły Wojtka i już zaczął innym tonem:

— Dokuczam ci, bom okrutnie zły, że tego hutnika nie znam, ale... ot, napijmy się!

Kazał dać piwa, trącił się kuflem i spokojniej rzekł:

— Spotkała mnie dziś matka Sobka, strasznie dokuczliwa...

— Nie dziwota, matka! — dorzucił Pakosz.

— I ja to wiem, a ty mi nie przerywaj... Potem poszedłem do mojej dziewuchy...

— Do Mańki? — zapytał Szlązak.

— Ty sobie gęby nią nie wycieraj — krzyknął Wojtek, bo był z natury bardzo zazdrosny — Mańka, nie Mańka, nie twój to interes!

Umilkli i piją. Po chwili odezwie się Wojtek spokojniej:

— A i ta dziewucha kłuje mi oczy tym zatraconym hutnikiem. Powiedziałem sobie: dziś musi się to skończyć, już dosyć namysłu!

— Ja, brat, z tobą — rzekł Pakosz śmiało.

— Dobryś chłop! — Daj pyska!

Ucałowali się serdecznie, raz i drugi raz. Zażądał Pakosz piwa.

— To jest tak — zaczął Wojtek, — tego hutnika trzeba z mańki zażyć, aby tylko nie był w domu, albo w kupie wielkiej... Co mówisz?

— Hm... Myślę o tem..

— Myśl! Ciekawe, co ty wymyślisz? — zaśmiał się Wojtek. — Tyś tu świeży, nie znasz położenia, ani rozkładu ludzi i miejsca. To i co wymyślisz?

— Jako nieznający — odciął Pakosz — a już wymyśliłem.

— Ciekawe! — zawołał Wojtek z uśmiechem drwiącym.

— Pójdę do szynku hutnickiego, przepatrzę, a jeśli jest on, dam ci wiadomość...

— Toś wymyślił!? Na nic sztuka, zakłują cię i tylko będę musiał mścić się i za Sobka i za ciebie. Dosyć mi jednego!

— Ja tam twego zemszczenia nie potrzebuję!

— Ty nie potrzebujesz, ale ja muszę ich pokarać, taka już moja natura!

— To i cóż robić? — zapytał zamyślony Pakosz, drapiąc się w głowę.

A wtem podeszła matka Sebastyana. Przy świetle lampy chuda jej twarz pożółkła, policzki wpadły głębiej, wystające kości świeciły się a oczy, głęboko osadzone, błyszczały gorączkowo. Siadła przy stoliku i patrzała uporczywie na Wojtka.

— Napijcie się czego, matko?

— Nie przyszłam ja na picie, ani na wesołość, ty wiesz sam, co mnie gniecie.

— Wiem ja i rada się znajdzie. Wypijcie, to i siły wam przybędzie.

— W moim jedynaku, w moim opiekunie i żywicielu cała moja siła. Ty leżysz sobie nieboże, w szpitalu, a twój zbójca hula i baluje!

— Skończy on wnet swoje balowanie! zawołał Wojtek chmurny.

— Słowami i odgrażaniem nic mu nie zrobisz. Zginiesz ty, Sobku, pociecho moja! — i zaczęła cicho płakać.

— Jest już nas dwóch — rzecze Pakosz — damy radę hutnikowi.

— I ty z nami? — zawołała ucieszona.

— Ja zawsze z Wojtkiem — odparł dumnie.

— To i po co namysły? — zapytała.

Wojtek przez ten czas myślał widać z natężeniem, bo zmarszczył silnie czoło. Następnie uderzył ręką w stół i krzyknął:

— Hej! gospodarzu! co ja płacę?

Zapłacił Wojtek, zapłacił Pakosz, a gdy gospodarz poszedł, powiada Wojtek:

— Pójdziemy do szynku hutnickiego. Wy, matko, zaczekajcie tu na nas, wrócimy, albo nie, ale Sobek będzie pomszczony.

Zerwała się z krzesła kobieta i prawie ze łzami mówić zaczęła:

— Jażbym cię miała puścić samego, mój ty gołąbku! Idziesz mścić krew syna mego, od czegoż ja matka jego, abym ci nie pomogła?

— Nie chodźcie. Narobicie wrzasku i znów się wymknie — mówił Wojtek poważnie.

— Przyjacielu syna mego! Na rany Chrystusowe przysięgam, że będę cicho, pary z ust nie wypuszczę, ale widzieć muszę. — Złożyła ręce, jak do modlitwy, prosi pokornie, tylko oczy świecą się jej, jak u kota.

— Kiedy wasza wola, to pójdziecie, ale ani słowa!

— Hm... Wojtek! — zawołał zcicha Pakosz. — Czyś tylko dobrze wymiarkował? Tam może ich być kupa, nie poradzimy.

— Boisz się? — rzekł, wstając,

— To nie, ale boję się potrzasku.

— Furda, bracie! Mam ja silne ręce.

I wyszli we troje. Na dworze ciemno, tylko tyle światła, co białego śniegu. Wiatr huczy, leci silny z pól przestronnych, uderzył o domy, zawył, rzucił się na młode drzewa, poprzeginał, zaświstał i szarpnie, zaczepi, owionie każdego na drodze.

— O! wiatr silnie wyje, pewno się ktoś obwiesił! — rzekł Pakosz, zapinając palto.

— Zimno ci? — zapytał Wojtek.

— Trochę.

— Napijemy się „mocnej“ u hutników, rozgrzejesz się — zaśmiał się Wojtek.

Minęli już domy górników z oświetlonemi oknami, rzucającemi pasy na śnieg przydrożny. Skręcili na lewo w pustą i ciemną drogę, na końcu której wznosiły się domy mieszkalne hutników i błyszczały jaskrawe światła w drzwiach oszklonych i w oknie szynku. Już dochodzili, wtem zapytała cicho matka Sebastyana:

— Wojtku, a masz ty nóż?

Spojrzał na nią gniewnie i odpowiedział:

— Mam, ale do chleba!

— I wielki? dobry? — dopytywała się.

— Ja, matko, górnik—odezwał się oburzony— zapytajcie mnie o siłę, oskard, świder, lampkę, to odpowiem. Nóż to hutnicka broń!

— I ty nie masz? — zwróciła się do Pakosza.

— I ja górnik! — żachnął się Szlązak.

Kobieta włożyła, jakby dla ciepła, ręce głęboko pod przewiązaną chustkę. Idą dalej. Podgląda Wojtek przez drzwi, Pakosz przez okno.

— Sześciu! — zawołał Wojtek i wszedł do szynku, otwierając drzwi szeroko.

Przybita do ściany nad ladą lampa paliła się jasno i dość małą izbę rozświetlała doskonale, że można było szpilkę znaleźć. Z lewego boku od wejścia pod ścianą siedziało sześciu hutników, pijąc piwo. Twarze wybladłe, oczy wielkie, rozszerzone nadmiernie blaskiem ognia hutniczego, zarost mały, przeważnie rudawy, pokręcony, jak wełna na owcach. Spojrzeli zdziwieni na dwóch górników i kobietę, popatrzyli na siebie i znów patrzą na niezwykłych gości. Wojtkowi, jakby fantazyi przybyło, wziął się pod bok i, zwracając się do gospodyni za ladą, zawołał:

— Piwa! gospodyni, piwa!

— Niema u mnie piwa! — odburknęła gospodyni, nie ruszając się z miejsca.

— A przecież tamci piją! — odezwał się Pakosz, pokazując na hutników.

— Bo to ich piwo! — zawołała ostro.

— Dajże nam pani wódki, bo podobno hutnicka chłodzi, a nasza grzeje! — mówił Wojtek, uśmiechając się i ani razu nie spojrzał na hutników.

— A dajcie im, gospodyni! — zawołał któryś z hutników.

Wojtek skłonił się kapeluszem hutnikom i na-

gle pobladł, poznał przeciwnika Sebastyana. Może i ten go poznał, bo ruszył się niespokojnie, a był to chłop silny, rosły, z brodą krótką, kędzierzawą.

— Ileż dać?—zapytała gospodyni ze złością.

— Pół flaszki, a mocnej — odpowiedział Pakosz.

— Ale zapłata naprzód! — rzekła ostro gospodyni, zdejmując flaszkę z półki.

— Jest tu pół rubla — mówił Pakosz, kładąc pieniądze na ladzie — a co więcejby było, zapłacimy.

Usiedli po przeciwnej, po prawej stronie. Wojtek pod ścianą naprzeciw hutników, po lewej od niego matka Sebastyana, niedaleko drzwi, a naprzeciw Wojtka usiadł Pakosz, i chociaż stołków nie brakło, wyciągnął z kąta ławę, przystawił do stołu i trąca się z Wojtkiem:

— Piję na szczęśliwy koniec!

— A ja na szczęśliwy początek! — krzyknął Wojtek, wychylił dobry kielich odrazu i mówił po chwili:

— Było to tak. Miał ojciec sześciu synów, ot, jak tych tam — wskazał na hutników. — Pięciu mądrych, szósty głupi, jak ten tam. Idą oni w świat próbować siły, a głupi najpierwszy. Widzi, że człowiekowi nie da rady, to głupi do noża, jak ten tam!

Za wiele tego było hutnikom, jeden z nich wstał i rzekł:

— Przyszedłeś tu panie górnik! Przyjęliśmy cię

po ludzku, pozwolili pić, to nie ruszaj nas, bo my tu u siebie.

— Czy ja was ruszyłem? — zawołał niby zdziwiony. — Was pięciu mądrych, tylko mam okrutną ochotę spróbować się z głupim. Ten tam, co się chowa pod stół.

Zerwał się wskazany hutnik, wyższy i tęższy od Wojtka i stając na środku izby, zawołał groźnie:

— Ty chmyz, to na rękę cię nie wyzwę, ale kto więcej połknie spirytusu, ten zostanie tu, a drugiego za łeb wyrzuci.

— Chcesz na spirytus? — odpowiedział Wojtek grzecznie i wstawszy, wyszedł na środek izby. — Bardzo dobrze, tylko sześciu hutnikom sam nie podołam.

— My się nie mieszamy, to wasza sprawa! — zawołali hutnicy, pewni zwycięstwa.

— To i spamiętajcie wasze słowa! — rzekł Wojtek poważnie. — Hej! szynkareczko! po szklaneczce spirytusu, rozjaśnia on oczy.

Nalała, wypili duszkiem. Wojtkowi oczy zaszły nibyto łzami, ociera raz, patrzy na hutnika, ociera drugi raz, znów patrzy.

— Ej, panie hutnik — zawołał wreszcie. — My skądciś się znamy?

— Nie pamiętam — odrzekł.

— Krótką masz pamięć, zastanów się!

Hutnicy słuchają, Pakosz też wstał, wysunął

ławę, aby była pod ręką, a matka Sebastyana szybko wyciągnęła długi nóż z pod chustki.

— Kiedy mówię, że nie pamiętam, to nie. Pijmy dalej! — krzyknął hutnik.

— To ja ci powiem, zatracony harharo! Tyś mi skłuł przyjaciela! — i, mówiąc to, objął go w pół i szamocą się chwilę.

Hutnik był silny i wykręcił się na bok, ale gniew i zawziętość dały siły Wojtkowi, znów objął go, cisnąc ręce hutnika do ciała, tak, że był on prawie bezbronny. W tej chwili skoczyła matka Sebastyana i pchnęła hutnika nożem w brzuch, zwinął się hutnik z wysiłkiem, a ona znów wraziła nóż w pachwinę i tnie aż do kolana, bryznęła krew, widać żyłę przecięła. Wrzasnął hutnik z bólu i nogą uderzył kobietę tak silnie, że oparła się aż o drzwi wchodowe. Ale hutnicy, zobaczywszy nóż, porwali się sięgając po swoją broń, i już mieli się rzucić na Wojtka, gdy pomiędzy nich a Wojtka wskoczył Pakosz z ławą.

— Łeb rozwalę, kto się ruszy! Kiedy sąd, to sąd! Zobaczymy, kto silniejszy!

Szynkarka w krzyk, krzyknęli i hutnicy, cisnąc się na Pakosza, broniącego się ławą. Wtem Wojtek z takim rozmachem cisnął o ziemię hutnikiem, że aż jęknęło i woła, skacząc ku drzwiom:

— Pakosz, do mnie!

Zawinął Szlązak młynka ławą, zranił dwóch hutników, ale w te pędy rzucili się inni, dostał

pchnięcie, ale lekkie, tylko skórę przecięło na biodrze. I już byli za drzwiami.

Biegli we troje szybko, bo gonili za nimi hutnicy z okropnym wrzaskiem, aż dopadli swego szynku „Pod gołębiem“.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołali obecni goście, widząc matkę Sebastyana, oblużganą krwią, podarte ubranie Wojtka i przecięte palto Pakosza.

— Hutnicy to zrobili! — krzyknął ktoś.

— Niewytrzymanie z tymi smolipyskami! Gadajcie!

Zaczął Wojtek opowiadać całą wyprawę szczegółowo, a matka Sebastyana z początku rada słuchała, uśmiechając się, wtem spojrzała na swoje ręce, czerwone i lipkie od krwi ludzkiej, zbladła i wyciera je silnie o spódnicę. Krew jednak nie ustępuje z rąk. Pobladła bardziej, aż się słania

— Co wam, matko? — zapytał Pakosz.

A ona tylko ręce wyciągnęła i krzyczy:

— Krew! ta krew!

Wzięli ją do alkierza i umyli; wkrótce weszła do izby blada, smutna i, zwracając się do Wojtka, rzekła:

— Dziękuję ci, uratowałeś mi Sobka. A teraz dobranoc, mdli mnie ta krew!

XXI.

W wigilię Bożego Narodzenia o godzinie czwartej po południu, gdy skończyły się wszelkie zaję-

cia górników w kopalni — sztygar, po przeczytaniu listy robotników, rzekł:

— Hej! Maciej Bibiela, starszy górnik, niech jeszcze zostanie w domu zbornym.

Zdziwili się górnicy, spojrzą na sztygara, na Macieja, ale swoim porządkiem śpieszą do domów, aby się godnie przygotować na tak wielkie święto.

Gdy w domu zbornym zostali sztygar i urzędnicy, kończący swą pracę biurową, zawołał przełożony Macieja bliżej i przemówił:

— Pójdziesz dziś przed północą do kopalni, obejrzysz wszystko: podszybie, stajnie, magazyny, maszyny ciągnące wodę; zlustrujesz stróżów; pamiętaj, nie opuść żadnego chodnika, żadnego przodka i dziury... Zobaczysz coś złego, to i sprostuj, sam zapisz nazwisko i miejsce, a jutro rano w domu zdasz mi raport. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie sztygar!

— To idźże do domu teraz. Wesołych świąt! Szczęść Boże!

— I ja wzajemnie tego życzę panu sztygarowi. Szczęść Boże!

Wyszedł szybko, bo śpieszno mu było do domu, musiał się przed Wigilią umyć, ubrać i przygotować coniebądź. Niespokojnie spojrzał na zachodzące słońce, które stało na samej krawędzi, rzucając czerwonawe odblaski na śnieg siniejący, na dymy niebieskawe, ścielące się w spokojnem powietrzu, i błyszczało jaskrawo na cegle czerwonej

wysokich kominów i domów robotniczych. Śnieg przydrożny skrzypiał pod ciężkimi krokami i mróz suchy wzmagał się pod wieczór. Gdy śpieszący Bibiela wspomniał na konieczność zejścia dziś jeszcze do kopalni, mruknął gniewnie:

— A to pierońskie szczęście! I nie zabawię się w domu i na pasterkę nie pójdę!...

Rozmyślając o oczekującem go zejściu, przypomniał sobie słowa stróża wybuchowych materyałów, Kuraka, że „najgorsza jest noc wigilijna". Poczuł dreszcz obawy, właśnie wszedł pomiędzy domy mieszkalne górników, znał mniej więcej nazwiska lokatorów i patrząc w oświetlone już okna, pomyślał z żałością o swym obowiązku.

— Żebym znalazł chociaż towarzysza! — szepnął z westchnieniem.

Przechodził obok mieszkania Grotka i postanowił po Wigilii zajść do niego:

— Dlaczegoby Adam nie miał pójść? Przebył na świecie bez roboty tyle czasu, pewno pójdzie!

I pokrzepiwszy się tą nadzieją, poszedł do swego domu.

Gdy około godziny dziesiątej, Maciej Bibiela ze słowami: Szczęść Boże, wszedł do mieszkania Grotków, uderzył go zaraz w pierwszej izbie zapach zupy wigilijnej „siemiejnotki", ostra woń ryb, kapusty, suszonych śliwek i gruszek. Na podłodze walały się łupiny orzechowe, porozrzucane przez dzieci, które w ubraniach legły na łóżkach, czekając nadejścia „pasterki", by z rodzicami podążyć

do kościoła. W drugiej izbie przy stole, stojącym na środku, zasłanym obrusem białym, z widocznym pokładem siana, siedzieli przy piwie oboje Grotkowie, Paulisia, Julcia, Pakosz i Franciszek. Gdy poznano Macieja, porwał się Adam Grotek z krzesła, wziął w rękę opłatek, nasmarowany miodem i, przystępując do Bibieli, zawołał:

— Kumie Macieju! okrutniem rad, żeście do nas przyszli, przełamiemy się opłatkiem w to wielkie święto i tyle powiem, abyśmy się doczekali drugiego roku szczęśliwie i w Bogu.

— Tego też wam i sobie winszuję! — odpowiedział poważnie Maciej, ułamawszy kawałek opłatka.

Zaczął obchodzić wszystkich po kolei, dzieląc się opłatkiem, a ponieważ Paulisia poszła po rybę do kuchni, więc w samym końcu przystąpił do niej:

— Dziewczynie, to tylko męża dobrego winszować, tedy życzę ci onego i byś za rok u siebie częstowała.

Zmieszała się niby Paulisia i z pod oka spojrzała na swoich dwóch kawalerów, którzy z uśmiechem zadowolenia słuchali tych słów.

— Siadajcie Macieju, w sam raz przyszliście do nas i dobre życzenia składacie dziewczynie, mówiliśmy właśnie w tej sprawie, to i wysłuchajcie.

Usiadł Maciej u stołu, wziął mały kawałek ryby i strucli, zajada to pomalutku i słucha, co Adam rozpowiada:

— Wiadoma wam rzecz, że Paulisia ma dwóch

kawalerów, Butnego i Pakosza. Pogodzili się oni po Św. Barbarze i żadnego zawziątku w sercach swoich chować nie mają, aż do czasu, póki nie stanę do roboty i, co potrzebna córce pierworodnej, kupię, jakom teraz zbiedniał będący w szpitalu. No i dobrze było, aż oto teraz przy Wigilii męczą i mnie i matkę, aby raz był koniec... Czemuż to nie pijecie, kumie Macieju, proszę, bardzo proszę, nie pogardzajcie naszem piwem!

Napił się Maciej i patrzy bystro to na Paulisię, to na dwóch górników. Wtem Pakosz wstał, i oparłszy ręce na stole, odezwie się:

— Ja tu obcy, to i słuszna rzecz, aby mnie wprzód poznano, com jest za jeden taki. Strasznie mi przypadła do serca córka pana Grotka, jednak czekałbym i dłużej, aby mi nikt nie właził w drogę tylko. — Tu spojrzał gniewnie na Franciszka, uśmiechającego się tryumfalnie wązkiemi wargami. — Ale że ktoś chce zabrać dobro moje, to i ja staję i upraszam ojca i matkę o słowo ostateczne.

Powiedziawszy to, usiadł, a tak był zmęczony, czy wzruszony, że pot mu wystąpił na czoło. Wyjął też czerwoną chustkę i ocierał się.

Wstał tuż Franciszek i rzekł śmiało:

— Nie było tu jeszcze zagranicznego, kiedy mi i pan Grotek i jego żona obiecali, że córkę dadzą, bylem został górnikiem. Zostałem ja tedy górnikiem, a co mnie to kosztowało — westchnął głęboko — to wie Bóg jeden i ja. Kto mi się w tem przysłużył, to już ja wiem — tu spojrzał niena-

wistnie na Pakosza — i przyjdzie czas zapłaty. Kiedy znów Pan Bóg dopuścił nieszczęście na pana Grotka, to kto pomagał jego żonie? kto pożyczał? Kto dawał?... Więc też należy mi się ostatnie słowo, aby raz był koniec.

— Dużo też dał!?! — mruknęła gniewnie Paulisia.

— Alem się też naprosiła! — dorzuciła matka.

— Co tu o pieniądzach gadać! — rzekł Maciej, wpatrując się w stojącego Franciszka. — Pomogłeś żonie opuszczonej, pożyczyłeś, to i odbierzesz. Bo to jest święta prawda, że za pieniądze kupuje się tylko kochanicę, a żonę bierze się po Bożemu.

Zmieszał się Franciszek i, spuszczając oczy, bąknął w swej obronie:

— Ja to wiem i tylko powiedziałem tak sobie o pieniądzach.

— Skąpiec! — szepnęła Julcia z kąta pokoju.

— Cóż wy, kumie Macieju, mówicie — dopytywał się Grotek.

— Hm... Powiedzieliście, że do czasu roboty mają czekać, to wy ojciec od tego i oni słuchać muszą; cóż byłby wart ojciec bez rozkazania w domu i dzieciom?

Pochlebiło to Grotkowi i, nachmurzywszy się dla dodania sobie powagi, rzekł:

— Słyszeliście, to jest i moje zdanie. Ojciec od tego, aby go słuchano, tak i mówię wam, póki nie stanę do roboty, nie gadajcie mi o weselu, po-

wiedziałem i basta! Słyszałaś? — zwrócił się do żony, która skinęła głową.

— I ty, Paulisiu, zapamiętaj sobie. A wam dwom mówię przy Macieju, chcecie ten czas przetrzymać, to dobrze, ale żadnych breweryi, bo to obraza boska, a pośmiewisko ludzkie.

Na chwilę nastała cisza, przerwał ją Maciej:

— Ja tu do was, Adamie, przyszedłem, bo kazał sztygar przepatrzyć mi dziś w nocy wszystkie porządki w kopalni. Samemu nijako iść po kątach pustych, zaszedłem, może pójdziecie?

— Poszedłbym zaraz, bo mi się już cni bez kopalni, tylko strzyka mi dziś w głowie, jakbym wiercił w węglu, nie przydam się.

— Ano, pójdę! — rzekł Maciej markotny.

Pakosz, który czuł wdzięczność dla Bibieli za napomnienie dane Franciszkowi, wstał i przemówił nieśmiało.

— Pójdę ja z wami!

— Ty, Pakoszu? Nie, jako nieznający kopalni, nie pomógłbyś mi; idź na pasterkę, wysłuchaj nabożeństwa naszego, to skuteczniejsza dla ciebie robota.

Ucieszył się Pakosz odmową, bo mu już żal było pasterki, a może więcej Paulisi.

Wstał Maciej, pożegnał się i wyszedł. Na dworze mróz dobry, gwiazdy błyszczą, aż miło spojrzeć; wokoło na polach biało od śniegu błyszczącego. We wszystkich domach jasno, migają cienie w oknach, czasem zaleci kolęda, lub krzyk rozba-

wionych dzieci. Maciej chmurny szedł ku kopalni która wielka, czarna, posępna wznosiła się w górę z białego tła śniegów. Z kominów wysokich wychodziły małe smugi dymu i rozpływały się w spokojnem powietrzu. Czasem ostry gwizd maszyny przerwał ciszę nocną, czasem odezwał się głuchy pomruk z głębi budynku czarnego, gdzieś zdala zatrąbił stróż nocny i znów nastaje cisza.

Budynki kopalni, obszerne, wysokie, rozległe, czarne i ponure, zdawały się być jakąś chorobliwą narością na tej czystej, białej, połyskującej ziemi. Chciałoby się je odciąć, odrzucić, zniszczyć, by nie plamiły śnieżnej białości; by ten wrzód czarny, zaczerwieniony cegłą kominów, nie szpecił pięknego, białego, jędrnego ciała, skąpanego w mroźnych, błyskotliwych gwiazdach śniegowych. To przeciwieństwo kopalni z jasnym, rozległym obszarem uderzyło i Macieja, który szedł zwolna i niechętnie ku czarnym murom. W nadszybiu zastał dwóch robotników, pilnujących szal, pozdrowił ich, zapalił lampkę i, przeżegnawszy się, wstąpił na szalę, by zjechać do kopalni. Tak przywykł do gwaru towarzyszy, że uczuł przykrość samotności nawet już na szali, i z pewną przyjemnością poczuł się na podszybiu, gdzie dwóch robotników czuwało na sygnały zjazdu i wyjazdu. Podszybie, oświetlone dwiema lampkami elektrycznemi, było w tej chwili puste, bez ruchu, gwaru, życia. Białe, elektryczne światło rozświecało księżycowo załamy i zakątki, błyszczało w tafli rozjazdowej i wyśli-

zganych szynach kolejki podziemnej, rzucało trochę blasków w ciemną czeluść chodnika, który w tem skąpem świetle, chwytającem się błyszczącego żelaza i białych, drewnianych słupów, wyglądał jak paszcza zwierza dziwnego, gotowa połknąć każdego i wszystko.

Z leciutkim niepokojem wszedł Maciej w głąb czarnego chodnika i dla dodania sobie animuszu, dla posłyszenia jakiegoś odgłosu, uderzał laską o twardy kamień. Najpierw skierował się ku maszynie parowej, ciągnącej wodę z kopalni. Przypomniał sobie zasłyszane wiadomości o duchach, upiorach, zmorach, mamonach i innych. Przeżegnał się i zdało mu się, że za sobą posłyszał szmer jakiś, obrócił się, stanął i nadsłuchiwał, ale taka była cisza, że słyszał własny tylko oddech. Postąpił krok i znów szmer jakiś. Przystanął i poznał, że to woda gdzieś się sączy, przypomniał sobie topielców i topielice, poczuł dreszcze, więc, idąc dalej, szeptał zcicha kolędę: „Bóg się rodzi, moc truchleje“... Słowa te wzmocniły jego odwagę, a gdy zbliżał się już do zbiornika wód i posłyszał wyraźnie bełkotanie wody, podniósł głos i, mówiąc ostatnią zwrotkę, otworzył drzwi do funkcyonującej maszyny parowej, przy której był dzisiaj pomocnik maszynisty z jednym palaczem.

Po zwykłem przywitaniu, pomocnik maszynisty, gruby, krępy człowiek, z zarośniętą twarzą, z łagodnemi oczyma, naciskając daszek kaszkietu, aby się lepiej przyjrzeć, zapytał:

— A co was tu przy Wigilii Świętej zagnało panie Bibiela?

— Rozkaz, panie maszynisto! rozkaz sztygara— odpowiedział Maciej, tytułując pomocnika dla honoru maszynistą.

— I po co?

— Przepatrzyć porządki i dać mu znać, gdyby co się zdarzyło.

— Ho, ho, toście wyjechali na inspektora — zaśmiał się głośno maszynista.

— Bogać tam wyjechał. Kazał i koniec; on sobie baluje, wyleguje się, a ty łaź!...

— Jak Marek po piekle! — Lecz zalewie maszynista wymówił te słowa, obejrzał się trwożliwie wokoło, co uczynił i Bibiela i obaj splunęli za siebie:

— Tfu! niech przepadnie licho!

Po chwili odezwał się Maciej:

— Straszna dziś pustka!

— Żeby nie maszyna i posługacz, nie wytrzymałbym tutaj — rzekł przekonywająco pomocnik maszynisty — a tak, ona sobie idzie równiutko, czasem coś szepnie, westchnie i dalej. Jej tam także nie lekkie życie, wciąż a wciąż ciągnąć — kończył, wskazując na świecącą maszynę, której koło rozpędowe obracało się z matematyczną dokładnością.

— Zawsze tu u was, panie maszynisto, weselej i raźniej — powiedział zcicha Bibiela, przypomniawszy sobie posępne, ciemne chodniki.

— Ee, co tam teraz! — zawołał pomocnik maszynisty, zadowolony z tych słów. — Trzeba widzieć, jak tu u nas gwarno, aż kipi robota, gdy rozhula się woda! Ona swoje, a maszyna swoje! Woda gada, krzyczy, gniewa się, a maszyna tylko stęknie niekiedy i robi! Powiadam wam, że ona zawsze da radę sobie! — to mówiąc, poklepał ręką maszynę z uśmiechem dumy i zadowolenia.

— Jakżeby nie miała sobie poradzić taka siła! — rzekł Maciej, spoglądając na wielki kocioł i rytmiczne obroty koła.

— Tak powiadacie, panie Bibiela? — zawołał pomocnik z uśmiechem pewnej wyższości. — Zaraz wam opowiem, ale siadajcie, bo jeszcze długa przed wami droga.

Usiedli obaj, pomocnik maszynisty zapalił cygaro i rzekł:

— Chyba za waszej pamięci zalało szyb „Henryki", co? A była tam większa od tej maszyna, tylko jakaś chimerna, uparta, twarda... bo maszyna jak koń, bywa on łagodny, bywa i narowisty. Ta, to jak dziecko, ledwie tknąć, a już słucha. Od lat dziesięciu znam ją; myślę, że już nie zdąży, ustanie, zmęczy się, ale nie! Poddam jej ducha i idzie.

— Jakże teraz z wodą? — zapytał Bibiela, przypomniawszy sobie swój obowiązek.

— Dobrze! od ostatniego rabunku, pohulała trochę, a teraz jakoś zaniemiała, czasem pogada, ale niewyraźnie, pewnie czai się gdzieś, ale ja ją

już wyrozumię... Byliście przy rabunku — zapytał nagle.

— Byłem.

— Ja wiedziałem wprzód, nim dyrektor, że będzie rabunek.

Bibiela spojrzał niedowierzająco i odkaszlnął.

— Was to dziwi? Jednak ja wiedziałem, powiedziała mi woda... Trzeba wam wiedzieć, że przy tej wodzie dziesięć lat już jestem, a dawniej byłem maszynistą we młynie, który brał wodę z Przemszy, ale w suszę i w mrozy robił parą. Znam i tamtą wodę i tę znam, a rozumiem ją tak, jakby człowiek, nieprzymierzając wy, mówił ze mną, bo woda jest żywa i ma swoją mowę... Przed rabunkiem widzę, że maszyna moja nic do roboty nie ma, idzie, ale spacerująco; poszedłem do wody, ona tak spokojnie, ślicznie płynie, tylko coś śpiewa, aby zabałamucić. Postałem chwilę i myślę sobie: coś się przygotowuje... Może we dwie godziny znów idę, słucham, ona śpiewa, tylko czasem chluśnie ostro, oho! już się zbiera. W nocy przed rabunkiem było cicho, tylko lunęło kilka razy. Wiedziałem że coś będzie... no i był rabunek!

— Ale topielca to chyba nie widział pan maszynista? — zapytał Maciej pomny na opowieść.

— Topielca?... To sobie prosty lud uroił, topielców nie ma, jest tylko duch wody, jej siła, co czasem na siebie ludzkie ciało bierze z tych ludzi, co się potopili w grzechu śmiertelnym. Prosty człowiek, jak to obaczy, zaraz krzyczy: topielec, uto-

pielec, czy jak tam, i to jest głupstwo, bo to jest tylko moc wody, co wzięła z potopionych ich ciało, czasem i ubranie, aby lud pokarać, skoro się jej zanadto sprzeciwią.

Bibiela aż usta otworzył, tak mu się podobał ten wykład. Westchnąwszy rzekł:

— Bodajto to z mądrym pogadać, wszystko rozumie i wszystko objaśni.

Pomocnik maszynisty uśmiechnął się rad z tej pochwały, puścił kłąb dymu i zaproponował po chwili:

— Panie Bibiela, człowiek niedarmo zestarzał się koło wody, coś wie... Jako macie przepatrzyć wszystko, trzeba wam obaczyć i wodę.

Wstali i weszli do podziemnego kurytarza, z którego było zejście do zbiornika wody kopalnej. Po dwunastu schodach, kutych w skale, zeszli do zbiornika, w rodzaju małej sadzaweczki, mającej ze dwa metry wszerz, ze dwa wzdłuż. Tu z jednej kopalni, z wysokości do trzystu metrów od powierzchni spływała tajnemi przejściami woda zaskórna i podziemna. Siła maszyny parowej ssała tę wodę i rurami wyprowadzała na powierzchnię. Wokoło z całego sklepienia i ścian sączyła się woda gęstemi kroplami, padając do zbiornika, to z cichszem, to głośniejszem pluskaniem. Był to nieustający deszcz, tylko z lewego boku z dwóch otworów spływał strumyk wody i, padając w dół, wytwarzał pianę na powierzchni. Stanęli obaj, nasłuchując, po chwili rzekł Bibiela:

— A to ciurkiem krople płyną, jakby łzy.

— Bo też ona pewno płacze, że na wierzch iść musi. Inna bowiem woda na ziemi, a inna jest pod ziemią. Widzieliście może, jak wpadnie do Przemszy nasza kopalniana woda, to trzyma się osobno, bokiem przy brzegu wolno płynie, bo jej obco. Słońce ją pije, oczy ją śledzą, ryby podpatrują, to jej i straszno, póki nie przywyknie... A te strumienie co spadają, widzicie, one dla was nic nie mówią, bo trzeba poznać się z nimi. To okrutnie zawzięte i złośliwe wody, teraz to nic, ale żebyście widzieli, jak w dzień rabunku wściekały się, nic tylko piany i szumy, a waliły, że tylko sześć schodów wolnych było. Tu, to życie całej kopalni; niechbym tylko niedopatrzył, niechbym zwolnił sobie w robocie cała kopalnia na nic, zaraz zajęłaby ją woda, a potem pompuj całe lata!...

— Słyszałem coś o tem, było to w kopalni „Ludwika“, połączyły się tam wody wierzchnie i spodnie — dorzucił Maciej, rad, że coś może powiedzieć.

— Mówicie, jako nieznający. Te dwie wody, to niby mąż i żona; bez nikogo to kłótnia i swary, każde chce być górą, ale niech przyjdzie nieprzyjaciel, jakiś wróg, to zaraz razem idą. Woda strasznie przeciwna, że jej ludzie spokoju nie dadzą, w kopalni chodzi, jak cień za górnikiem, i z kim nie połączyłaby się ona, byle tylko zgubić kopalnię! Ale ja jej pilnuję też dobrze, wie o tem cała dyrekcya i śpi spokojnie, póki tu czuwam — koń-

czył tonem głębokiego przeświadczenia o swej ważności. Postali chwilkę, popatrzyli, wreszcie rzekł Bibiela:

— Ja tu gadu, gadu, a iść trzeba.

— Którędyż najpierw?

— Pójdę do stajni, przepatrzę koniarzy a potem do magazynu.

— I do domu.

— Nie. Muszę zajść do luftu, bo broń Boże ognia, a nuż nie dopatrzą.

— Idźcie, bo to daleka droga.

— Szczęść Boże! — żegnał Maciej, rozstając się w kurytarzu.

— Szczęść Boże!

Szedł Maciej chodnikiem, rozmyślając nad rozmową, wywnioskował, że pomocnik maszynisty na wodzie zna się i to dobrze, ale za dużo ma ambicyi, sądząc, że cała kopalnia w jego ręku. I szedł dalej ku pochylni, wpatrując się w płomień lampki, to w rozświetlony krąg, tak że oczy miał pełne światła. Podniósł głowę, spojrzał w głąb czarną i nagle ujrzał płonącą lampkę w oddali, która w tejże chwili zniknęła gdzieś w ścianie. Wpatrzył się pilniej i spostrzegł jakiś słup jasny, wysoki, który zachwiał się w tę i ową stronę i rozpłynął. Skarbnik! szepnął pobladły. Pochwyciły go dreszcze, nogi uginały mu się w kolanach, kroku ruszyć nie mógł, a szczękające zęby nie dozwoliły mu na wymówienie nawet kilku słów pobożnych. Skarbnik, ów pan wszechwładny pod ziemią, mo-

carz okrutny, dla którego niema skały tak twardej, wody tak rwącej, piasku tak sypkiego, aby nie przeszedł ze swą gorejącą lampką, nietknięty i nienaruszony; bogacz, nie mogący policzyć swych skarbów niezmiernych; pan życia i śmierci górników! I to on go widział, jak jasny z cieniem świetlistym wszedł w skałę, otwierającą się przed nim posłusznie, bez szelestu! Kto dopatrzy to miejsce w skale, tego spotka rychło nieszczęście. Więc się zawrócił, wolał drogi nałożyć, przeżegnał się i szedł inną drogą. Gdy miał skręcić w pochylnię, zatrzymał się, nasłuchując, i z przerażeniem posłyszał dźwięki dzwonów, najwyraźniej dzwonów kościelnych, lekko przytłumionych. Przetarł oczy, otrząsnął się, chcąc się przekonać, że czuwa, ale dzwony dzwonią coraz wyraźniej. Posunął się dalej i pobladłemi usty zaczął szybko szeptać: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...“ lecz zaledwie z trudnością mógł wyjąkać: „Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga!“ co poczytał za sprawę złego ducha i, nabierając odwagi, dalszy ciąg mówił biegle, a już zupełnie śmiało, półgłosem niemal, wymówił piątą zwrotkę i słowa: „Nie dostąpi cię żadna zła przygoda...“ Wtem spostrzegł lampkę, której płomień chwiał się — widać, że ktoś szybko idzie. Stanął Maciej, zatrzymała się i tamta lampka. Czuł Bibiela przechodzące go dreszcze i głosem wielkim zawołał:

— Pozór! pozór!

Nasłuchiwał. Za dźwiękiem echa, rozlegającego się głucho, odkrzyknął drżący głos:

— Pozór!

— To swój! — szepnął Maciej, nabierając odwagi, i już śmielej posuwał się ku lampce.

— Szczęść Boże!

— Szczęść Boże!

— Kto to? — zapytał Maciej w poczuciu swej chwilowej władzy.

— Od koni idę — odpowiedział niemłody szleper-koniarz, przyglądając się z ciekawością Bibieli.

— Gdzie? za jakim interesem? po co? — wołał coraz śmielej Maciej.

Zoryentował się koniarz, iż kto tak pyta, ten musi mieć prawo za sobą, i odpowiedział pokornie.

— Szedłem ku szali, bo czekam zmiany.

— Wróć się — rozkazał Maciej. — Zmiana na miejscu się robi, a nie pod szalą.

— A może on nie trafi? — próbował oporu koniarz.

— Kiedy mówię, to słuchaj, bo osztrafuję! Dobrze, że przyszedłem na inspekcyę, porozłazilibyście się wszyscy.

I szedł przodem, a koniarz za nim.

— Cóż tam u was? W porządku? Ilu was?

— Jest nas dwóch w tej stajni; konie zdrowe; uprząż w porządku — odpowiedział, przyglądając

się nowemu dozorcy, którego nie znał dotychczas.

— Tak być powinno! — mówił Bibiela z powagą. — Źle, że opuszczasz stajnię bez pozwolenia.

— Tylko spojrzeć chciałem — uniewinniał się koniarz nieśmiało. — Konie obrok zjadły, napoiłem, teraz chrupią siano...

— Zobaczę ja, zobaczę!

I szedł śmiało dalej chodnikami, pochylniami, aż stanął przed drewnianą bramą w ścianie. Szarpnął i wszedł do stajni. Uderzyła go woń ostra potu i wydzielin końskich. Przy słabem oświetleniu spostrzegł szereg kilkudziesięciu koni, stojących i leżących, a chrzęst zjadanego siana napełniał całą stajnię. Na tapczanie leżał koniarz i na odgłos otwierających się drzwi zawołał:

— Już wróciłeś, Walku?! dostałeś?

— Co miał dostać? — krzyknął ostro Bibiela.

Zerwał się koniarz z tapczana, stanął wyprostowany i patrzał przerażonem okiem, gdyż paląca się lampa rzucała wprost światło na niego.

— Co miał dostać? – powtórzył głośniej Maciej. — Gadaj!

— Tytuniu! — bąknął zapytany.

— Palić wam się zachciewa!? — Tu, w stajni!? Boga w sercu nie macie, wy pierońskie harhary! giździe! zatracone fleki! Chcecie pożar zapuścić?! Was tylko kryką bić, a słuchać ducha!

Gromieni milczeli, spoglądając ukradkiem na siebie.

— Że też was bez dozoru nie można zostawić i chwili, zaraz coś zmalujecie, pierońskie nasienie — krzyczał Bibiela, wpadając zupełnie w ton i ruchy sztygara, którego, o ile mógł, naśladował wiernie.

— Niech już pan starszy darują! — bąknął pierwszy koniarz. — Szedłem pożyczyć tytuniu, bo przy sobie nie mamy nigdy, a przy święcie chcieliśmy użyć.

— Gdzie wasz dozorca? — zapytał Bibiela, udając, że nie słyszy usprawiedliwienia.

— Poszedł na Wigilię do domu, po Pasterce wróci.

Zmiękł Maciej, usłyszawszy słowa: Wigilia i Pasterka, ale nie wypadało mu pokazać tego zaraz po sobie i głosem surowym zapytał:

— A tam co leży? — i wskazał na ciemny przedmiot na tapczanie.

Schylił się koniarz, podniósł i podał Bibieli czarno oprawną, zużytą książkę do nabożeństwa, mówiąc:

— Kolędowaliśmy tutaj, wtórując ludziom na świecie.

Te słowa rozbroiły zupełnie Macieja i już tonem łagodniejszym przemówił:

— Wasze szczęście, że to święto Narodzenia Bożego, oj, źle byłoby z wami za takie wybryki, niepodobne do wiary. Pilnujcie się, bo żeby to na innego trafiło, dałby on wam!

Obaj koniarze zaczęli się prześcigać w przysięgach, że to pierwszy i ostatni raz napadła ich taka zła ochota do palenia. Wysłuchał Maciej poważnie i rzekł:

— Wam dla miłości takiego święta daruję. Dozorca wasz niech się stawi jutro rano do mnie, do Macieja Bibieli, na opowiedzenie się, gdzie był.

— Dobrze, panie starszy, powiemy!

— Dajcie tu baczenie; nie spać, nie palić, tylko pilnować, od tego bierzecie zapłatę i to dużą, za lekką robotę.

Westchnęli koniarze przy ostatnich słowach, może i chcieli coś przemówić, ale Bibiela nie słuchał, tylko zwrócił się ku wyjściu ze słowami:

— Szczęść Boże!

Szedł chodnikami i pochylniami śmielej, bez bojaźni i trwogi, bo poczuł, że ma władzę, że inni trwożliwie patrzą na niego, że spotkanych w kopalni może nie tylko pytać, sądzić, ale i karać. Obawa koniarzy przed nim dodała mu odwagi. Rozmyślał o dozorcy stajni, którego nie zastał. Jak przyjdzie, to musi się upokorzyć, uniewinnić, może mu i daruje przewinienie, chociaż rosła w nim zawziętość na myśl, że on, Maciej Bibiela, starszy górnik, musiał się włóczyć po kopalni, a taki szleper, chociaż i dozorca stajni, ale zawsze szleper, poszedł sobie do domu, zjadł wigilię i będzie na Pasterce. I tak się zamyślił, że nie uważając na podporę, uderzył o nią prawą stroną ciała. To go zastanowiło, przystanął i słuchał. Zdawało mu się,

że tuż nad nim coś przelatuje z szumem i westchnieniami. Zadrżał; a może to duchy tak śpieszą na umówioną schadzkę; a może mamona ze swemi porwanemi dziećmi; może upiory, może strzygi... Szum słyszał wyraźnie lekki, jak lot nocnych ptaków, czasem odezwało się ciche, przeciągłe westchnienie do jęku podobne. Obawa jego rosła, patrzał z przerażeniem na czarną, w ciemni pogrążoną, górę chodnika, na zębate, nierówne, porwane ściany i zaczął szybko mówić: „Ojcze nasz...“ Posłyszawszy swój głos, oprzytomniał, rozglądał się wokoło, aby się zoryentować i spostrzegł, że przeszedłszy jedną pochylnię, znajdzie się w chodniku, gdzie był magazyn materyałów wybuchowych i stróż jego, Walenty Kurak. Zaczął iść szybko, mówiąc półgłosem modlitwę, i wielce się ucieszył, gdy w ciemnym chodniku spostrzegł smugę małą, wązką, świetlaną, którą rzucała lampka, obowiązkowo się paląca, jako oznaka magazynu. Zastał Kuraka, siedzącego w zagłębieniu, obok magazynu, z różańcem w ręku, ze szkaplerzami i medalikami na piersiach. Po przywitaniu rzekł Walenty głuchym głosem:

— Strasznie długa ta noc!

Maciej przysunął się trochę bliżej i westchnął.

— Cóż tam na świecie? — zapytał stróż po chwili.

— Pogoda, gwiazdeczki błyszczą, aż dusza się raduje...

— Otworzył Pan Bóg wszystkie okienka w nie-

bie aby posłuchać chwały swojej — dodał Walenty, kiwając głową na znak, że rozumie przyczynę pogody. — Tak zawsze bywa; na Boże Narodzenie, chociażby na chwilę, ale wszystkie gwiazdeczki zabłysną... Gdzieżeście byli Macieju?

Najpierw rozpowiedział o koniarzach i ich dozorcy, następnie o wodzie i maszyniście, wreszcie zaczął mówić o Skarbniku, przysiadłszy na ławie obok Kuraka, który go uważnie słuchał i rzekł:

— Z dawna wiedziałem, żeście przemyślny górnik i to mądrze zrobiliście, że nawróciliście się, bo niech ręka Boska broni podpatrzeć skalne miejsce, gdzie zniknął, może albo zaraz runąć na was, albo niezadługo, bo on jest mściwy. A ten słup jasny, to nie żaden cień, bo cień jest ciemny; pewno rachmistrza prowadził za sobą, albo inną osobę... Kto tam wie, komu on swe skarby pokazywał!?... Cóż dalej?

Opowiedział o dzwonach.

— Dzwony!?... Czasem są bałamutne, czasem dzwoni tak w człowieku krew, ale ja umiem odróżnić prawdziwe od pozornych... Prawdziwe to w samą północ huczą, jak pogrzebowe, widać, że dusza odbyła już swoją mękę i ciało, niepogrzebione w kopalni, chowają w ziemię. Zwołują też wszystkie dusze tych, co poginęli w kopalni, aby posługę oddały...

— Nie, te dzwony to nie były pogrzebowe, raz cieńkie, znów grube, jak na Mszę Świętą — objaśniał Maciej.

— Takie dzwonienie, to bywa tylko po północy; zwołują się dusze, aby oddać chwałę Bogu i prosić zmiłowania. Należy westchnąć i zmówić zawsze: „Wieczny odpoczynek!“ Przynosi to ulgę nieboszczykom.

Gdy Maciej rozpowiedział o szumie i westchnieniach zasłyszanych, Walenty pokiwał głową i szepnął:

— Znam ja ich, znam!

— Któż to? — dopytywał się Maciej zaniepokojony.

— Jak tylko gdzieniebądź w kopalni spłynie krew ludzka, albo gdzie zatłucze, lub złe powietrze udusi, to zaraz po północy lecą chmary: strzygów, mamonów, płaczek, sibieli i innych, aby się posilić; to uczta dla nich... Mówią, że póki odkrywek nie było, to nie miały którędy wchodzić te duchy, ale teraz droga dla nich otwarta i lecą też, lecą, jak zwyczajnie na darmowy poczęstunek.

— I widzieliście?... — zapytał Maciej drżącym głosem.

— Czego ja nie widziałem? Toż im tędy najbliższa droga z odkrywki — i, biorąc krzyżyk różańca w rękę, zaczął prawie szeptem: — Po ostatnim rabunku siedzę tu w cieniu sobie, aż mnie coś tknie, podnoszę oczy, ot na tę malutką smużkę światła, co ledwie ściany dotyka, coś mignęło raz i drugi. Patrzę, zapierając dech w sobie, aż tu płynie powietrzem człowiek, nie człowiek, cały czarno ubrany,

tylko głowa wielka, kudłata, oczy, jak dwa węgle żarzące, a zęby żółte, długie, brody sięgają. Przeszedł, a za nim korowód, ten z głową roztrzaskaną, ten bez żeber, że mu serce widać, ten wlecze wnętrzności, ten za sobą połamane nogi ciągnie, a najgorsze, to takie krwawniki bez kości, tylko mięso, a kości świecą białe, połamane, wystające...

— Okropność! — jęknął Maciej.

— Wszystko to pobite w grzechu śmiertelnym, idą rozpatrywać mękę innych... Dopiero za nimi zaszumiały mamony z porwanemi dzieciątkami, wszystkie dzieci z sińcami i krwawemi pręgami na bielutkiem ciałku, zapłakane, nieumyte, nieczesane, zziębnięte, a iść muszą, aby się przyuczać do smaku krwi ludzkiej, potem strzygi, upiory, zmory, co najróżnorodniejsze, aż strach wspomnieć...

Umilkł, odmawiając suplikacye, wtórował mu cicho Maciej i obaj z jęczeniem kończyli: „Jezu, przepuść! Jezu, wysłuchaj! O Jezu, Jezu, Jezu, zmiłuj się nad nami!“

Modlitwa ich pokrzepiła i Walenty rzekł głośniej:

— Ale na nich jest rada. Jak tylko szum, to należy wyjąć szkaplerz, najlepiej poświęcony w Częstochowie, przeżegnać powietrze i odmawiać część „chwalebną“ różańca o Najsłodszem Imieniu Jezus. To już złe przystępu nie ma i można wskroś nich przechodzić bez szwanku.

Westchnął żałośnie Maciej, mówiąc:

— Różaniec pamiętam dobrze, ale zapomniałem paciorków w domu.

— Dalekoż wam jeszcze iść? — zapytał Walenty.

— Do luftu.

— Ho, ho, to daleko. I niebardzo bezpieczna droga, bo to dziś duchy mają używanie, tam przy koszach z ogniem pewno się grzeją, jako że mróz na świecie... Im bliżej ognia, tem gorętsza modlitwa.

Westchnął Maciej głęboko. Żal się zrobiło Kurakowi dawnego towarzysza, co był jeszcze u niego posłem, jako chłopak, i rzekł:

— Żeby to nie noc wigilijna, dałbym wam mój, bo mi was żal... A czyż musicie?

— Muszę! Spyta się sztygar, jak stoją kosze, ile się nadpaliło, albo inny szczegół, to wyjdzie prawda na wierzch... i kłopot. Pójdę, głowy mi nie urwą!

Jednak, mówiąc te śmiałe słowa, aż się wstrząsnął:

— Pilnujcie się tylko złego powietrza! — doradzał Kurak.

— Jakto?

— To duch najśmielszy! czasem i w dzień się pokazuje, nie straszna mu robota ani lampka. Cały szary, włosy długie, czarne, oczy zamknięte zawsze, czasem aż potrąci człowieka, że się zakręci na miejscu, czasem dotknie, że zimno przejdzie,

a jak trafi na usta, to i po wszystkiem. Lubi żar, bo pewno dym naprawia mu suknie.

— I powiadacie, że tam będzie? — zapytał z trwogą.

— Skądżebym miał wiedzieć? Ostrzegam was i tyle, a wasza rzecz uważać, bo „strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Umilkli obaj.

Maciej, który w czasie całej rozmowy z Kurakiem doznawał przygniatającej trwogi i obawy, nagle poczuł się silnym i odważnym. Rozumował, że skoro Walentemu nic się nie stało, mimo tylu lat, skoro sztygar chodził już niejeden raz w takie uroczyste noce, gdy stróże odkrywek i składów drzewnych, koniarze i maszyniści żyją zdrowi i cali, to przecież i jemu nic złego się nie stanie, zwłaszcza, że onegdaj odbył spowiedź i przyjął Przenajświętszą Komunię. Wstał tedy i prawie wesołym głosem rzekł do Kuraka:

— No, ojcze Walenty, pójdę już! Nastrachaliście mnie, ale mam odwagę.

— Daj wam Boże! Daj Boże! odwaga, to grunt, bez niej lada mysz przelęknie człowieka... A jakże będzie z paciorkami różańca?

— Cóż zrobię, skoro nie mam?

— Jest rada. Zdejmcie pas wierzchni, przecież nie zmarzniecie, odliczcie dziesięć dziurek. Jedno „Ojcze nasz" i jedno „Zdrowaś Marya" możecie powiedzieć bez rachunku, a potem na każdą dziurkę

jedno „Jezusie Synu Dawidów“ do dziesięciu i na odwrót dziesięć razy: „Chwała bądź Tobie Jezu!“

— Wymyśliliście dobrze; zaraz zdejmę, policzę i naznaczę.

Rozpiął wierzchni pas, rozeszły się poły kożuszka do kolan sięgające; wyjętym scyzorykiem rozszerzył dziurki, naznaczył krzyżykiem dziesiątą i uścisnąwszy rękę Kuraka, puścił się w dalszą drogę.

Czuł się rzeźwym, silnym i szedł śmiało w kierunku t. zw. luftu. Jest to szyb, sięgający powierzchni, który ogrzewany ze spodu kopalni koszami żelaznymi, napełnionymi gorejącym koksem, wyciąga z kopalni duszące i niezdrowe gazy, gdy znów przez zimne szyby z szalami, w części przez odkrywki kopalni, dochodzące powierzchni ziemi, otrzymuje kopalnia świeży napływ czystego powietrza. Kopalnia „Jonasza“ słynęła z doskonałej wentylacyi i wypadki uduszenia gazami bywały bardzo rzadkie. Czasem tylko nieostrożny, gdy wszedł w leżące na uboczu miejsce, lub w porzucone, zamknięte pochylnie, padał na miejscu. Spostrzeżonych udawało się niekiedy uratować, częściej jednak wydostawano tylko trupy uduszone.

Szyb ten, rodzaj komina kopalni, do którego zdążał Maciej, był względnie płytki, liczył do stu dwudziestu metrów, musiał tedy Maciej iść ciągle w górę pochylniami, poziomo tylko chodnikami, bowiem magazyn wybuchowych materyałów leżał do 250 metrów pod powierzchnią. Im bliżej był chodnika z luftem, tem bardziej czuł się zmęczo-

nym, i podniecenie, które uczuwał przy Kuraku, stopniowo go opuszczało. Zwolnił kroku i z pewną trwogą wsłuchiwał się w otaczającą go ciszę. Wokoło było ciemno i głucho, gdziekolwiek spojrzał, czarna, gęsta noc; gdy natężył słuch, nic prócz bicia swego serca i własnego oddechu nie ułowił. Ta cisza zaczęła go przerażać; zdawało mu się, iż lada chwila przerwie ją jakiś wrzask nieludzki, jakiś jęk setek zaginionych, jakiś grom lub śmiech szatański. Dreszcze przebiegały jego ciało, zimno czuł w kościach, otulał się chwilami w kożuszek, szepcząc modlitwy, to znów zdawało mu się, że ogień ma w żyłach, piekło go ciało, ciążyła głowa, a płomień lampki i krąg rozświetlony był cały krwawy. Jeszcze jedna pochylnia, a wejdzie w chodnik z gorejącymi koszami. Przystanął, głęboko oddychał i oparł się głową o grubą podporę. Nagle odskoczył: słup coś zaszeptał, czy zaśpiewał. Stał przerażony, patrząc szeroko na białe drzewo. Wtem posłyszał delikatne, ale wyraźne w ciszy pukanie, jak gdyby ktoś dawał umówione znaki. Wzdrygnął się cały i z trwogą się oglądał. Po krótkiej chwili, gdzieś w głębi za nim, odezwało się pukanie, niemal odpowiedź na pierwsze, tylko cieńsze, piskliwsze. Szybko zaczął iść w górę, chcąc się oddalić od tego miejsca i w tym gwałtownym ruchu poły kożuszka rozwiały się bardziej i zaczepiły o jedną z podpór. Skręcona wełna wpadła w zadzier słupa, odczuł Maciej to przytrzymanie poły i, przerażony, krzyknął głośno:

— Jezus, Marya, Józef!

Ale wełna nie puszczała.

— Święta Barbaro! Patronko! Ratuj mnie grzesznego!

I, szarpnąwszy się, biegł, gnany strachem i trwogą; dopiero widok dalekiego ogniska przywrócił mu względny spokój i zaczął różaniec odmawiać, szczękając zębami. Z drżących rąk jednak co chwila wysuwały się dziurki pasa, zaczynał na nowo i znów gubił rachunek modlitwy. Zgrzanego, spoconego owiał przypływ zimniejszego powietrza. Obejrzał się trwożliwie w obawie ducha złego powietrza. Ciemność chodnika, zlekka przeświecająca, wydała mu się szarą, powiewną szatą ducha, którego głowa z czarnymi włosami tonęła gdzieś w ciemnej górze. Stanął i patrzał, ale mara rozwiała się bez śladu. Cicho, niemal skradając się, zbliżał się do ogniska. Chwiejne płomienie, przeświecające przez żelazne pręty koszów, rzucały ruchome cienie wokoło. Wydłużały się w potworne głowy, w rozczapirzone ręce, w krwawe oczy, w nikłe figurki, w różowe dzieci, w białe niemowlęta, otulone ciemnemi płachtami; to znów potworne, łuskowate, czarne potwory wysuwały zakrwawione mordy, wywieszały ogniste języki, wpatrywały się płonącemi oczami. Odwrócił Maciej wzrok od tych widziadeł, urobionych w chorej z przerażenia wyobraźni, i jęknął:

— Boże mój! Boże!

Pot spływał z niego, czuł powstające na gło-

wie włosy, tak, że czapkę nacisnął i ręce łamał w bezsilnej trwodze. Pierwsza myśl, dokąd uciec? Przed nim okropne duchy, za nim czarna, groźna, tajemnicza noc. Przypomniał sobie modlitwę i już nie różaniec, nie suplikacye, nie westchnienia strzeliste począł odmawiać, ale, padłszy na kolana, na głos mówił: „Ojcze nasz“.

Po kilkakrotnem powtórzeniu, zdołał powstać i chwiejnym krokiem zaczął wracać. Stopniowo nadzieja powrotu do miejsc bliższych szali, a więc ziemi i świata zewnętrznego, dodawała mu sił. Nie oglądając się za siebie, nie nasłuchując, kierując wzrok na najbliższe przedmioty, przyśpieszał kroku, a gdy nareszcie spostrzegł zdala białe światło lamp elektrycznych w podszybiu, odetchnął uradowany a myśl obowiązku skontrolowania stróżów i odkrywek odepchnął słowami:

— Milsze mi życie!

XXII.

Zazwyczaj w każdą niedzielę Pakosz i Wojtek jedli obiad „Pod gołębiem“, nie byli bowiem pewni, czy i kiedy wrócą z kościoła do domu; aby więc nie robić kłopotu, Pakosz swej gospodyni, Grotkowej, Wojtek swej przyrodniej siostrze, zamężnej za górnikiem, u której mieszkał, zapowiedzieli raz na zawsze, że w niedziele i święta jeść będą obiad za domem.

I dziś, po sumie, zeszli się oni „Pod gołębiem“, jako że to była niedziela i wigilia Trzech

Króli. Gospodarz, rad tym gościom, dał im osobny stolik w pokoiku przy sali, której dziś ustąpił na przedwyborcze zgromadzenie górników. Miał się bowiem niezadługo odbyć wybór deputata do kasy braterskiej ze strony górników. Jedni chcieli zostawić dawnego, drudzy usiłowali przeprzeć nowego kandydata, bo skarżono się, że dawny nic nie dba o dobro górników i nie broni ich praw. Zgromadzenie zapowiadało się licznie i gospodarz zacierał ręce w nadziei dobrych zysków i rozsprzedaży trunków.

Podany barszcz jedli obaj w milczeniu. Jeszcze nie skończyli, gdy zjawił się w pokoju Sebastyan; trochę przybladł, pobielał, ale nie było mu z tem brzydko. Gdy go ujrzał Wojtek, poskoczył, uścisnął, ucałował, mówiąc:

— Sobek! jak Boga kocham Sobek! a ty skądeś się wziął? Kiedy wyszedłeś ze szpitala?

— Wypisałem się wczoraj, dosyć już miałem tej męki... Szukałem cię wczoraj Wojtku, ale nie znalazłem.

— Wczoraj... Zaszedłem do Kuraków, zebrała się nas kompania, tośmy się zabawili. Siadajże przy nas, opowiadaj, gadaj, co z tobą jak ci jest?

Przywitał się Sobek z Pakoszem, siadł przy stoliku, kazał dać piwa, bo był już po obiedzie.

— Ano, jak mnie wzięli do spitala, to leżałem. Okrutnie jątrząca rana!... Mówił felczer, że chyba nóż zatruty, albo co takiego.

— O, pierońskie smolipyski! — odgrażał się Wojtek, zajadając kiełbasę z kapustą.

— Dopiero, jakeś zmógł tego hutnika, zaraz na drugi dzień ulżyło mi...

— No, no — przerwał Wojtek — to kabalarka prawdę mówiła: jego krew, twoje zdrowie!

— Powiadam ci, żem się poczuł zaraz zdrowszy i już widziałem, że wyzdrowieję. Bo chyba już wiesz, że te doktory to nie zajrzą do człowieka, sam tylko felczer uczciwie pilnował. Zdziwiłem się okrutnie, gdy zobaczyłem, że na salę, gdziem leżał, wnoszą mego hutnika. Ten sam, tylko blady, jak opłatek.

— Ja tam noża nie chwalę — rzekł Wojtek dzwoniąc o piwo — to głupia broń i rzeźnicki instrument, ale twoja matka ucięła porządnie.

— Mówił mi felczer — zaczął Sobek — że strasznie żyły przerżnęła i krwi dużo się utoczyło z niego, nim go odwieźli do szpitala.

— Będzież on żyw? — zapytał Pakosz.

— Może tak, może nie—odpowiedział Sobek. — Felczer mówił, że choć i wyzdrowieje z cięcia, to na długo zesłabnie z upływu krwi.

— Twarde życie mają te pierony! — dodał Wojtek.

— Aleś go grzmotnął o ziemię! Mówiła mi o tem matka. Także opowiadała, jak twój kamrat sprawił się ławą.

— Nam nie dziwno, bośmy od tego mężczyzni — rzekł Wojtek z uśmiechem szczerego zado-

wolenia z pochwały — ale, że twoja matka, taka drobna i suchawa, a swoje pomściła, to dopiero sztuka. Cóż ona?

— Niby nic... zdrowa; ale okrutnie zesłabła od tego hutnika. Pobladła, zestarzała i siedzi kołkiem na miejscu, nie śpiąc i nie mówiąc. Tylko przyszedłem, a ona pyta o hutnika, żyje czy nie. Powiedziałem jej słowa felczera i, wiesz Wojtek, co zrobiła?

— Skądże... Pewno sklęła, że żyje.

— Nie. Ona zaraz ręce złożyła, pac na kolana i modli się na głos, prosząc Pana Boga o jego życie!

— Nie może być!? Chyba przesłyszałeś się, Sobku? Jakto po twojej ranie, po twojej męce, modli się i to za kogo? za zbójcę, za takiego hutnika?! Nie może to być.

Sobek aż poczerwieniał ze wstydu i po chwili rzekł:

— Com powiedział, to prawda, ale mówiłem przed kamratami, niech się to nie rozniesie, bo mi wstyd.

— Słowa nie powiem — powiedział Pakosz poważnie.

— Jak w studnię! — zawołał Wojtek. — I modliła się? — No, no... Sama go skłuła, a potem beczy... Tak, to tak z temi kobietami; sama podmówi, zgrzeszy, a potem żałuje i już się modli.

— Bo też i siły tej nie ma, co my — rzekł Pakosz. — Taką ma moc co mucha.

— I jak mucha dokuczliwa — zaśmiał się Wojtek głośno. — Cóż ty, Sobku? Zdróweś?

— Stanę do roboty po Trzech Królach, chociażem niebardzo jeszcze mocny, ale mam inny ciężar...

— Jaki? Gadajże! — krzyknął Wojtek. — Pomogę ci.

— Tu mi nic nie pomożesz, bo to jest taki interes... — odpowiedział zwolna Sobek, podpierając głowę dłonią i zaciągając się dymem. — Matusia moja na nic zesłabła, porządku żadnego w domu, sama to widzi, jeszcze jej doglądać trzeba będzie, więc niema co, i matusia mi radzi i prosi, no i sam uznaję racyę...

Umilkł na chwilę spoglądając na zasłuchanych towarzyszów, którzy i palić i pić przestali z ciekawości, wreszcie dodał:

— Muszę się żenić, tylko nie wiem jeszcze z kim.

— Ty? żenić? — zawołał Wojtek. — Toż młodszy jesteś ode mnie!

— Wiem, ale ożenię się.

— To i cóż dziwnego? — zapytał Pakosz.

— Dobryś! — zaśmiał się Wojtek. — Żeni się, kiedy nie wie z kim? Z wierzbą się nie ożeni, a co żona, to zbadać ją wpierw trzeba i to dobrze, bo w naszym fachu o dobrą żonę bardzo trudno.

— Nigdzie nie jest łatwo! — dorzucił sentencyonalnie Pakosz, zadowolony ze swego zdania.

— Co ty wiesz? — zawołał zgorszony Woj-

tek. — U nas, to pół doby siedzisz pod ziemią, albo ty wiesz, co żona robi?

— W tem właśnie rzecz — zaczął Sobek. — Mam ci ja na myśli dziewczynę, górniczkę, zdrowa, dobrego rodu, młoda, ładna...

Wojtek i Pakosz czekali niecierpliwie nazwiska dziewczyny, w głuchej obawie, że jeśli Sobek mówi o zdrowej, dobrego rodu, młodej, ładnej górniczce, to Wojtek sądził, że chyba to Mańka Kurakówna, a Pakosz, że to Paulisia Grotkówna... A Sobek, jakby umyślnie chciał ich drażnić, umilkł i pił piwo. Nie wytrzymał Wojtek i zapytał:

— Któż taki?

— Kto? — powtórzył Pakosz.

— Hm... hm... Widzę to po was, je jeden myśli o swojej, a drugi o swojej. Ale ja nie taki skory, nie bójcie się.

— Ja się tam nie boję! — zawołał Wojtek zaczerwieniony.

— No, a kamrat? — kiwnął Sobek w stronę Pakosza.

— Ja na wolę Boską.

— Otóż ja myślę, że chyba uderzę o Bibiclankę młodszą!

Odetchnęli obaj, chociaż nie przyznawali się sami przed sobą do tego, a Wojtek zapytał:

— Z nią chcesz się żenić?

— A z nią! albo co? Ona, Wojtku, nie rzuca okiem, jak inna, nie śmieje się, nie biegnie na tańce, nie stroi się modnie...

— Wiem ja, do kogo pijesz; ale i ja nie myślę się zaraz żenić z Mańką, wypróbuję ją, przejrzę na wylot, a wtedy zobaczymy.

— I ona, ta Bibielanka — mówił Sobek z ironicznym uśmiechem — nie jest panna od strojów, nie nosi kapelusików z ptaszkami, nie wstydzi się zgotować, uprać, gadzinę nakarmić, w perkaliku chodzić...

Pakosz czerwieniał coraz bardziej, bo widział spojrzenia Wojtka i Sobka i odezwał się cicho:

— Każdy ma swoje szczęście, ja drugiemu nie wypominam, że szuka innego.

A wiesz, Sobku, że ci ten Ślązak dobrze powiedział. I byłby on setny chłop, gdyby nie taki jakiś niemrawy... Jakby który z nas pragnął tak dziewczyny, jak on Paulisi, a ona była nie od tego, to nie zważałby na dom, Franciszka skąpego, ojca, matkę, braci, ale by miał... Ten ci, jak w tej piosence śpiewają:

„Jak ja wliza na brzoza,
To ja z brzoza nie ślaza;
Bede chlastał bicyska
Na te ślońskie dziwcyska".

Śmiali się obaj swojacy długo i serdecznie, Pakosz siedział chmurny i rzekł:

— Ty mi, Wojtek, nie doskwieraj, bo ja twój, i także umiem zaśpiewać...

— Co? Co? — zawołali rozweseleni.

Pakosz z powagą odkaszlnął i zanucił:

„Miał też ci Zagórzak
Jeden gros, jeden gros,
Wyzy brzusek nosi,
Niźli nos, niźli nos“.

Teraz przyszła kolej zachmurzenia na nich obu, bo pochodzili z Zagórza i Wojtek odpowiedział z powagą:

— Słuchaj, Pakosz, ty się nie wyrywaj z tą piosenką, bo może być źle; żeś nasz kamrat, to my ci nie spamiętamy.

— Nie dokuczajcież i wy mnie — zakończył Pakosz — bo i ja wasz kamrat.

— Okrutnie mnie dziwi, że się żenisz z Bibielanką — rzekł po namyśle Wojtek. — Prawda i to, że ona gospodarna, dobrej familii, zdrowa i sobie niczego.

Słuchał tego chętnie Sobek, bo miał już ten zamiar i niby od niechcenia dorzucił:

— Musi też ona nie być bez grosza, bo ojciec jej mądry człowiek...

— Nie tyle mądry, co rozważny i pamiętny, pewno coś uciułał posagu. Kobiety mówią, że zebrał kilkaset rubli, chyba nie dla siebie, bo jeszcze zdrów...

— Cóż u was w kopalni? — pytał Sobek.

— Co i zawsze. Rabowaliśmy, toś pewno słyszał?

— Widziałem Gdulskiego, precz mu ucięli obie nogi... Szkoda, taki siłacz!

— Szkoda! — zawtórowali obaj.

— Żyć, mówią, że będzie, ale co z życia o żebranym chlebie...

— Prawda! — mruknęli w odpowiedzi.

— I cóż więcej? — dopytywał się Sobek.

— Zepsuł się szyb. Od wczoraj nowe cembrowiny zakładają zamiast starych.

— To i szale nie chodzą?!

— Teraz to nie. Droga przez odkrywkę.

— O! daleko! — zawołał Sobek.

— Skończą! — dodał Pakosz.

— Ten ma czas! — zaśmiał się Wojtek.

W przyległej sali rósł gwar zmieszanych głosów, słychać było przesuwanie stolików, krzeseł, wołanie o piwo, głośne powitania...

— Już się zbierają — rzekł Sobek.

— A już. Za kim ty będziesz, Sobku?

— Jakto za kim?

— Bo jest trzech, a każdy chce być deputatem. Jest dawny deputat, jest Maciej Bibiela, jest i Babczyk.

— A ty, Wojtku — zapytał Sobek.

— Ja za Bibielą. On naszego numeru starszy, górnik z rodu i stanie okoniem, jak trzeba. Dawny deputat, mówią, że miękki, tylko się kłania i głową kiwa; no, a Babczyka nie chcę, bo to lizus sztygara.

— Schlebiacz! — dorzucił Pakosz.

— No, a kamrat? — mówił Sobek — pewno za Bibielą?

— Rozumie się — skinął głową Ślązak.

— To i ja z wami — zawołał Sobek. — Pójdę na salę, posłucham...

— Idź i my przyjdziemy, ale wpierw zapłacimy.

Zanim weszli na salę, Wojtek zajrzał przez roztwarte drzwi od pierwszej izby, w której szynkowano — jak, i gdzie kto siedzi. Na prawo, pod oknami, dawny deputat zesunął kilka stolików mniejszych. Obrał sobie dobre miejsce, bo patrzał od razu na całą salę, sam był widoczny i wszystkich widział. Wprost drzwi za najdłuższym stołem siadł Maciej Bibiela, wygolony dziś starannie, w kołnierzyku stojącym, w czapce barankowej: wyglądał jak ksiądz; każdego, kto wchodził, widział pierwszy i mógł powitać zaraz. Obok niego, na prawo, bliżej pieca, Babczyk zajął mniejszy stół. A naprzeciw Babczyka, na lewo od wejścia, siadł Józef Bez, zawsze niezadowolony i zjadliwy. I on radby był zostać deputatem, ale czekał, aż ktoś z jego przyjaciół przemówi za nim. Co który górnik wszedł, odrazu mógł sobie siąść przy tym, za którym chciał głosować. Śmielsi szli wprost do stołu tego lub owego, ale dużo było takich, którzy wpierw chcieli wysłuchać zdania innych i pójść z większością. Ci stali pośrodku, rozglądając się wokoło, aż jeden z nich śmielszy podszedł do stolików deputata, wziął jeden i wysunął na środek, wołając o krzesła. Na tę chwilę wszedł Wojtek,

a spostrzegłszy, że taki stół na środku przeszkadza najbardziej Bibieli, krzyknął:

— Koledzy! posuńcież stół na lewo, trochę dalej, bo nie mogą przejść ludzie!

A zawołał tak głośno, że wszyscy spojrzeli na niego. Ten nic. Idzie na środek, staje przed stolikiem i pcha na lewo. Posunęli. Wtedy Wojtek wprost skierował się z nieodłącznym Pakoszem do stołu Bibieli, przywitał się i usiadł.

— Sprytny chłop! — mruknął Babczyk i skinął głową na powitanie Wojtkowi.

Ten, pomny, że to starszy i dzielny do ratunku górnik, wstał i przystąpił do Babczyka, który w towarzystwie pięciu górników siedział chmurny i zły.

— Siadaj z nami, napij się piwa — rzekł Babczyk z przyjaźnią.

— Piwo moje już niosą, stół mam swój a i towarzyszów...

— Udałeś się — przerwał mu Babczyk z uznaniem.

Pochlebiło to Wojtkowi i z uśmiechem mówił dalej:

— Przyszedłem was przywitać...

— Po cóż mi wpakowałeś przed oczy te owce! — zawołał Babczyk, pokazując na gromadkę niezdecydowanych, siedzących przy stoliku pomiędzy nim a Józefem Bezem. Niechby czekały na pastucha tam, przed Maciejem.

Zaśmiał się Wojtek i żartem odpowiedział:

— Kiedym przejść nie mógł!

— Czem was smaruje ten Bibiela, że tak lgniecie? — zapytał, chmurząc się Babczyk.

Spoważniał Wojtek i rzekł:

— Nie smaruje nas miodem, tylko zawsze trzyma z nami.

Babczykowi zgrubiały żyły na czole i chrapliwym głosem krzyknął:

— Z kimże ja trzymam? Co?...

Zaczerwienił się Wojtek, ale też zaiskrzyły mu się oczy niebieskie i odpowiedział:

— Kogo to pytacie?... Jeśli mnie, to i po co ten krzyk? Usłyszę bez tego.

Zmiarkował Babczyk, że gniewem tylko sprawę popsuje i przemówił łagodniej:

— Do ciebie, Wojtku, nie mam żalu, ale złoszczą mnie psie języki.

— Krzyczcież na nie — zaśmiał się Wojtek — a ja idę do piwa, bo wystygnie.

Gdy usiadł na swem miejscu, zapytał go Maciej:

— Cóż tam Babczyk?

Wojtek upił piwa, otarł usta i małe wąsiki z piany i odpowiedział:

— Odważny i mocny, szkoda że lizus.

— I ja to mówię — potwierdził Pakosz.

— W tem jego wina — dorzucił Sobek, patrząc na Bibielę, bo mu się chciał zasłużyć.

Wincenty milczał, spoglądając obojętnie po sali. Bibiela czuł, że powinien coś powiedzieć, ale uwa-

żał, iż jako starszy górnik, nie powinien na kolegę rzucać plamy, więc odkaszlnął:

— Hm... hm... Tak niby mówią, ale kto tam wie, gdzie prawda?

— Prawdą jest — zawołał Wojtek gorąco — że gdzie najlepszy zarobek, tam sztygar daje Babczyka; gdzie urobek węgla bogaty i lekki, jest już on; ma ktoś słuszną skargę na sztygara, on go broni; chce ktoś iść po sprawiedliwość wyżej, już wie sztygar; powiedźcież sami, od kogo? Z kim sztygar rozmawia po kątach? Kto łazi do sztygara?

Przyparty pytaniami, Bibiela rzekł zwolna:

— Czego ty się gorączkujesz, Wojtku?! Przecież powiedziałem już raz, iż tak mówią to i dosyć.

Nachmurzył się Wojtek i mruknął dość głośno, aby go usłyszano:

— Mydło dobre przy sobocie, na niedzielę nic po niem.

Co najstarsi wiekiem i najpoważniejsi górnicy zasiedli przy stole dawnego deputata, było ich z piętnastu. Siedzieli, spokojnie rozmawiając to o tem, to o owem, jednak ani słowa o wyborach. Przy stole Bibieli zebrało się z dziesięciu samych jego przyjaciół. Babczyk miał sześciu, a najliczniejsi bądź siedzieli, bądź stali pośrodku. Józef Bez zebrał ośmiu i około niego było najgwarniej. Wsłuchując się w ten gwar rozlicznych głosów, jedno słowo: sztygar, płynęło ze wszystkich kątów z dodatkiem skarg i narzekań. Ten skarżył się na wózki niedoliczone, ten na zbrakowane, ów na złą

miarę w skale, tamten na przetrzymywanie roboty, a wszyscy na niesłuszne kary za lada przewinienie. Ponieważ byli w gromadzie, nie obawiano się Babczyka. Jaki taki spojrzał w jego stronę, ale skarżył się dalej. A on udawał, że nic nie słyszy, oparł łokieć o stół, dłonią zasłonił jedno ucho i śmiał się, żartował ze swymi kompanami.

Dawny deputat, jako znający się już na formach parlamentarnych, osądziwszy, że liczba zebranych jest dostateczna, wstał, zadzwonił o kufel na znak, że chce mówić, a gdy się trochę uciszyło, rzekł płynnie:

— Panowie koledzy! Zebraliśmy się tutaj, w tej sali, nie na zabawę, nie na rozmowę, ale trzeba nam porozumienia, kto w braterskiej kasie ma czuwać nad naszym krwawo zarobionym groszem, kto ma pamiętać o kalekach i wdowach po górnikach, kto ma pilnować równego podziału i rozkładu pensyi kalekom i wdowom, kto — przemawiać za potrzebującymi wsparć i zapomogi. Obowiązki to ciężkie i dokuczliwe; ale jest i honor. Według ustawy kasy braterskiej, my górnicy i panowie sztygarzy mamy, jak wiadomo każdemu, niby tylko głos doradczy, ale na papierze. Bo jak przyjdzie sprawa górnicka, to panowie z kasy zaraz pytają deputata: a jaki on? czy wart? jaka rodzina? ile głów? czy bezpieczny? Takie pytania wciąż dają i według odpowiedzi głosują. Każdy rozumie, że deputat musi być sprawiedliwy człowiek, obeznany z całą kopalnią: nie chimeryk — tu spoj-

rzał w stronę Józefa — nie stronny — popatrzał na Babczyka — nie chytry, uparty na swój rozum i mądrość — rzucił okiem na Bibielę — ale taki górnik, co robi nietylko dla brata, nietylko dla swata, czy kuma, dla niego wszyscy górnicy to bracia: wszystkim dobrze życzy, uraz niepamiętny i zawiści nieznający. Trzeba, żeby on nie lenił się pójść, wysłuchać, przepatrzyć i w kasie braterskiej rzec słowo mądre a umiarkowane. Bo tam na nic zły język — dociął Józefowi — na nic siła pięści — przyganił Babczykowi, na nic wybiegi i mydlkowanie — drasnął Bibielę, tam trzeba prosto a z polityką wiedzieć, kiedy i co powiedzieć, aby miało swój walor i skutek. Służyłem wam dotychczas; jak wasza wola będę służył i dalej, bo, chociaż mi czasem i ciężko, zawsze to jednak miło braciom górnikom być użytecznym i mieć honor z ręki waszej, a nie tak sobie z rozkazu papiera. Mówcież, kogo chcecie, abyśmy razem szli jak bracia; na kogo górnicy się zgodzą, na tego i ja, bom górnik z dziada pradziada.

Mowę deputata siedzący przy jego stoliku przyjmowali z uznaniem, potakując to głośno, to schylając głowy. Nieśmiało, ale zawsze dość chętnie przysłuchiwała mu się większość, siedząca na środku między Babczykiem a Józefem. Na przymówki stół Bibieli mruczał głośno; Babczyk i jego towarzysze naśladując go, śmiali się głośno, rubasznie, klnąc od czasu do czasu od pieronów i fleków, ale bez złości, tak sobie z ochoty: natomiast Józef ze

swoją kompanią hałasował głośno, wymyślając nietylko po górnicku od pieronów, harharów, giździ, ale od gryzipiórków, zaprzedańców, zdrajców. Ten kąt był najgorętszy i najniesforniej słuchał płynnej przemowy deputata, który siadł, ocierał spocone czoło jedną ręką, a drugą podawał sąsiadom, którzy mu winszowali zwycięstwa. Taki panował w sali gwar nagany, pochwały, uznania i drwin, że niewiadomo było, kto kogo słucha, bo każdy swoje chciał wypowiedzieć. Jeszcze się nie uciszyło, gdy Józef Bez wskoczył na stołek i dzwonił w kufel, o mało, że go nie rozbił, krzycząc: cicho! co za nim inni powtarzali. Jak tylko się trochę uciszyło, oddał kufel sąsiadowi, pogładził brodę szpakowatą, potarł łysinę z zabliźnionemi śladami ran, poprawił kamizelkę. która podchodziła mu w górę i zawołał:

— Uciszcie się, panowie koledzy, pozwólcie powiedzieć słów kilka!

Zaczęli ci i owi wołać po sali: cicho! cicho! niech mówi Józef Bez! Jedni aż się uśmiechali, radzi usłyszeć jego docinki, inni ciekawi byli tej walki na słowa, tylko deputat i jego towarzysze, niby to nic nie zważają i mówią do siebie coś półgłosem, uśmiechając się i wołając o piwo. Józef Bez pogładził łysinę, odkaszlnął, uśmiechnął się i rzekł:

— Moi koledzy, ani wiecie o waszem szczęściu i wielkim honorze, nawet nie spodziewacie się takiej łaski, bo oto zjawił się między wami prorok nad prorokami. Jest on najsprawiedliwszy, naj-

mędrszy, najdoskonalszy, uraz niepamiętny, zawiści nieznający, a taki litościwy dla kalek i wdów, że ani ich wiesza, ani morduje, ale żyć pozwala o żebranym chlebie. Wy go nie znacie, to ja wam go pokażę. Oto dawny deputat jest tym prorokiem, sam się ogłosił, to może i tak jest, kiedy mówi.

Umilkł na chwilę, wpatrując się z drwiącą miną w deputata, który tylko bardziej schylił głowę i niby zawzięcie rozmawia z sąsiadem. W sali śmiech i kpiny z nowego proroka, każdy radby był jeszcze dosolić, bo podobała się mowa Józefa, a ten zaczął znów:

— Jacy wy ludzie niewdzięczni i niesprawiedliwi, jeszcze wam mało, że, gdy górnika zabije w kopalni, wdowa z dziećmi ma aż sześć rubli na miesiąc! Jest z czego żyć, dzieci uczyć, stancyę zapłacić, chodzić w czystem ubraniu i jeszcze narzekacie!? Wykręciło komu rękę, oberwało mięso, choruje on miesiąc, dwa i trzy, to bierze aż dwanaście kopiejek na życie swoje i swojej familii, czy to nie dosyć? A kto wam robi tę łaskę? Oto prorok, on jeden umie przemawiać mądrze i politycznie, on nie jest chimerny, on nie ma złego języka, on nim tylko liże i schlebia panom z kasy braterskiej. A wiecie wy, ile my tam rocznie z zarobku dajemy? Posłuchajcie, bo wiem dobrze, oto 41,500 rubli!

Aż jęknęli z wielkiego zadziwienia, bo niby tam trochę wiedzieli, ale suma, powiedziana głośno

i dobitnie, olśniła ich, a była rzetelną istotnie. Józef zaś mówił dalej:

— Zapytacie się może, gdzie się podziewa taki majątek rok rocznie? A widzieliście wy powozy i konie doktorów? to za nasze pieniądze! Doktorzy, prócz wygód, mają 13.000 rubli pensyi! Słyszycie, na trzech ludzi, aż 13.000 rubli pensyi na rok! To skądże brać dla nędzy górników! Mają konie i powozy za nasze pieniądze, ale jeżdżą nimi tylko po panach. Powiedzcie mi ktokolwiek z was, u kogo był kiedy doktór z poradą w domu? Chorujesz ty, żona, dzieci, doktór ani zajrzy, bo on ma tylko tyle czasu, aby zabrać twoje pieniądze! Spytacie się, gdzie reszta pieniędzy? Od czegóż są gryzipiórki w kancelaryach? Od czego dygnitarze, którzy nie wiedzą, jak kopalnia wygląda? Od czego ci, co cię kryką tłuką, co źle liczą, źle mierzą, źle zapisują! Toż im należy się mięso, a ty, górniku, ochłapami się kontentuj, jeśli potrafisz je dostać za wdaniem się i łaską twego proroka!

Umilkł Józef, ale z krzesła nie złazi. Górnikom podobała się bardzo ta mowa; wzdychają, przytakują, dziwią się, jaki taki szepnął do sąsiada: A gdyby Józefa wybrać! Ten zaś wodzi oczyma po wszystkich i kończy:

— Otóż, górnicy, nam nie trzeba proroka, ani siłacza, ani chytrzącego; nam potrzeba takiego, co sam zaznał biedy, nędzy, głodu i któryby umiał nasze krzywdy, niedolę i łzy rzucić im w oczy,

upomnieć się i żądać sprawiedliwości. Takiego wybierzmy, a może coś obróci się na lepsze!

W sali zrazu był tylko szmer, patrzą górnicy po sobie, spoglądają z drwinami na dawnego deputata, który kręci się niespokojnie na krześle, ale udaje, że nic go nie obeszły słowa Józefa i spojrzenia ludzkie. Najbardziej zaniepokojeni to ci ze środkowej większości, bo podobała im się mowa śmiała Józefa, ale nie wiedzą, co o niej trzymają inni. Wahają się i patrzą po innych stołach. Znów wszczął się gwar, nadeszli nowi górnicy, zażądano piwa, gdy wtem huknie w swój stół Babczyk pięścią, że zatańczyły kufle i krzyknął:

— Kamraci! wysłuchaliście deputata, wysłuchali Józefa, wysłuchajcie mnie! Czegom się najadł słuchając, to wam teraz powiem, aby raz był porządek. Delegat to cukierek — słodki on, pachnący, smaczny dla dzieci i kobiet, ale co nam po nim, cukierkiem się nie najesz, do roboty nie staniesz, węgla nie urobisz, skały nie pokruszysz. Jak wam zły cukierek — pomyślał Józef — dam ja wam piołunu. Zgorzkniało życie, służba, kopalnia, żona i dzieci, bo wszystko przepoił on goryczą. I co z tego nam za pożytek? Wiemy oddawna, że cukierek mdli, a piołun boleści sprawia, nic to ważnego. I jeden i drugi ganią mnie, że mam pięść silną i moc w sobie, a to dziękować Panu Bogu i prosić każdemu dla siebie, bo tą pięścią i siłą zarabiam ciężko i ratuję kogo trzeba.

Odetchnął, a górnicy przytakiwali mu w milczeniu. On prawił dalej:

— Powiedziano mi, żem stronny, a ja tylko posłuszny sztygarowi. Górnickie życie, to gorsze od żołnierskiego; jedno i drugie nic nie warte bez posłuchu. Ale to inna materya, przyjdzie czas na nią... Wracam do kasy braterskiej. Mówiłem już: zły cukierek, zły piołun, ja chcę tylko chleba! Ciśnie górnika choroba, bieda, dajcie mu chleba! Płacze wdowa, kwilą sieroty, dajcie im chleba! Jest kaleka na życie całe, dajcie mu chleba! Jakbym ja był w kasie braterskiej, wysłuchałbym wszystkiego, przyznałbym każdemu racyę, a tylko wołałbym na głos: Dajcie chleba! reszta furda, chleb, to grunt. To moje zdanie, chcecie, wybierzcie mnie, a wybierzecie innego, niech on kłopocze się o chleb!

Usiadł i zawołał o piwo. Górnicy co chwila powtarzali: Sprawiedliwie mówi! Zuch Babczyk! Takich więcej! On to słyszał i uśmiechał się, wielce kontent i kufel zaraz wypróżnił i wołał o drugi.

Przy stole Bibieli ruch największy, ale wszystko cicho, coś szepczą sobie, mrugają oczyma i raz wraz mówią do Macieja, a ten zaprzeczy ruchem głowy i siedzi chmurny. Zwolna cała sala zwróciła oczy na niego, ciekawi, co on powie, już i półgłosem mówią: Cóż na to Bibiela? Ten niby nie słyszy, zagląda w kufel, patrzy jak lampa się pali, zawieszona na środku, spojrzy po swoich i milczy.

Wojtek aż wargi gryzie, bo mu wstyd, że usiadł przy takim mruku, aż nagle zadzwonił głośno. Zrobiło się odrazu cicho, a on mówi:

— Pozwólcie koledzy górnicy, że teraz powie wam Maciej Bibiela, starszy górnik.

— Dobrze! dobrze! słuchamy! — zawołali różni.

Zmieszał się Maciej bo nie spodziewał się takiego fortelu, wstał, ręką pomacał niewygodny kołnierzyk, przygładził włosy za uchem, otarł twarz ręką i zaczął wolno wśród ciszy:

— Cierpliwy zawsze dopnie swego bo umie czekać. Przetrzyma on złe, nie raduje się zbytecznie dobrem, idzie swoją drogą pewny i bezpieczny, bo ma czyste sumienie i wie, że dokąd zamierzył, to i dojdzie. Nazwano mnie chytrym, mydłkiem, upartym, cóż robić? Na języki ludzkie nie znaleziono sposobu, niech i tak będzie; ja wiem tylko, że ja cierpliwy. Co mówił deputat o kasie braterskiej, to wszystko racya; co prawił Józef o niesprawiedliwości, wszystko racya; że Babczyk żąda chleba, to święta racya! Hej! hej! gdyby to można posłać do kasy braterskiej trzech deputatów, to tylko ich trzech wybrać i byłoby dobrze. No, nie można, mamy do wyboru tylko jednego. Taki wybrany musi być człowiek twardego zdania i cierpliwy, bo muru nie przebijesz głową, ale wydłubiesz dziurę, kiedyś cierpliwy. Żądać na jeden raz całego dobra, przestraszą się i nic nie dadzą, ale pomalutku, dziś okruszynę, jutro drugą... aż zebrał się i bochenek. To radzę wam koledzy, takiego

upatrzyć, że, jak sobie powie chcę, to już i być musi. Nie da on wam raju odrazu, ale ulgę przyniesie, większą pomoc w potrzebie; sam ojciec, dopatrzy waszych dzieci; sam mąż, wie, czego waszej kobiecie trzeba; sam cierpi, wie, że drugiemu też coś dolega i z Bożą pomocą pójdzie wszystko dobrą drogą, po sprawiedliwości...

Umilkł. Górnicy słuchają niby kazania, trochę się nudzą, ale, mądrze gada, nie wypada wrzawy podnosić, zwłaszcza, że pochwalił wszystkich, czekają końca.

— Nasza ta kasa braterska ma swoje ale: nie każdemu dogodzi, krzyczymy na nią, pomstujemy — no, niedługie już jej życie, bo mówił mi człowiek znający, a i w gazetach piszą, że za rok, może wcześniej, może później zmienią ją do cna. Inna powstanie może lepsza, może gorsza, ale inna.

Zatrzymał się. Bardzo się zdziwili słuchacze, bo wiedzą, że Bibieli żarty nie w głowie i, jak mówi, to prawdę; aż tu odezwie się ktoś od stolika deputata: Prawdę mówi Bibiela! I jeszcze kilku powtórzyło. Maciej głową skinął i rzekł:

— Jak inna, to inna, ale ci, co będą ją fundowali, kogo zapytają, nie mnie, nie was, ale zarządu z braterskiej kasy, co myślą? jak sądzą? czy to tak? czy owak? Zjedzie pewno ktoś starszy i będzie słuchał, co myślą o kasie ją znający. Wysłucha i deputata naszego. Jakiegoż nam trzeba wybrać? Tylko takiego, co pamiętny na wszystko, rozważny, uczciwy, wie, czego chce, a jest twardy,

i uparty; wtedy na nic układność, ukłony, słodkość; na nic gorącowanie się, krzyki, pomstowanie; na nic jedno wołanie, choćby najważniejsze i najsprawiedliwsze, bo lecisz do światła w chodniku, a rozbijesz głowę o pierwszy stempel; rozważny a cierpliwy, wszystko zmoże. Pamiętajcież bracia górnicy, takiego wybierać, bo kto tam wie, z kim mówić wypadnie i jak poczynać przy nowych porządkach!

Co ludziom starszym, ogromnie podobała się ta mowa, ale młodsi, gorętsi krzywili się i żartowali, że w Macieju za dużo kalkulacyi, ostrożności, kiedy sprawiedliwość zna jedną, prostą drogę i koniec. Przyjaciele Macieja kazali dać piwa i pili jego zdrowie, a Wojtek był taki kontent, że aż mu się oczy śmiały, bo bał się, że Bibiela pokpi sprawę. Wszczął się znów gwar na całej sali, aż deputat, znający się na formach, zadzwonił i przemówił:

— Panowie i koledzy! Wysłuchaliście nas czterech, to sobie pomyślcie i wymiarkujcie, kogo macie wybrać, gdy czas wyboru nastanie... Józef Bez, jak sobie miarkuję, dobry, tylko za gorący, pospinał huk wózków, wszystko okrutnie naładował, to i nie uciągnie, ustanie i nie dowiezie do miejsca... Babczyk wszedł w jeden chodnik i już myśli, że to cała kopalnia... Bibiela radzi próbować każdej ściany, góry, stempla w bojaźni zawalenia... Każdy ma swoją naturę i swoje oczy. Wasza rzecz wybrać, a moja doradzać wam namysł, ostrożność,

uwagę, bo wybór deputata to fundament, a nie zawali ci się przodek, gdyś dał dobry filar.

Jedni go słuchali, drudzy mniej, wszyscy radzi byli, że już koniec i wszyscy wołali do deputata: Prawda! racya! sprawiedliwie!

Dopieroż zaczęli przechodzić od stołu do stołu, łączyć się według znajomości, a już nie według kandydata i zaczęli gawędzić o swych kłopotach, wołali na Józefa, ale ten wolał swych kompanionów. Zebrała się koło niego kupa ludzi, a on im prawił, gdzie jest złe i jaki ratunek, krzycząc: Razem iść, ławą, wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, a co zechcemy, to zrobimy!

— O nie! miła mi moja skóra! — zawołał jeden ze słuchaczy.

— Co? co? dlaczego? — krzyczeli z oburzeniem inni.

— Prosta rzecz! — odpowiedział tenże. — Pamiętacie, przed kilku laty poszliśmy hurmem ze skargami. Wyszedł do nas najstarszy z nich i mówił: Dzieci moje, jaż wasz ojciec kochający, wszystko zrobię, jaż wasz!... A potem... Kto powiedział: ja za wszystkich! tego pokarano srogo, bez litości, wypędzono, obito i już... Tylko ten wyszedł cało, co umiał mówić: ja zrobiłem, mnie oszukano, mój interes, moja krzywda!... Jeszcze nie dorośliśmy, czekajmy!

Ale go zagłuszono, zakrzyczano, bo teraz inne czasy, inni ludzie, już nie Niemcy, nie Francuzi!

Wojtek chodzi od stolika do stolika, patrzy,

słucha, miarkuje, aż zobaczył, że Pakosz siedzi sam, podparł głowę dwiema rękami i ani pije, ani pali. Położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— O czemże tak Pakoszu?

Spojrzał na niego raz i drugi raz Ślązak i mówi:

— Dobrze, że przyszedłeś, siądź tutaj, powiem ci coś.

Siadł Wojtek i słucha.

— To jest interes taki — zaczął zwolna Pakosz. — Powiedziałeś mi, że ja niemrawy, może być, no, ale poradź ty, co robić?

Zaśmiał się Wojtek i powiada:

— Ano ruszaj się, tańcz, śpiewaj!

— To nie ten interes — odpowiedział Pakosz poważnie. — Ja myślę o Paulisi...

— O Paulisi?... Słuchaj chłopie, czyś ty ślepy? czy głuchy? czy niemy? To jasne jak w dzień na dłoni, że ona ze swoją mamunią trzymają was obu, ciebie i Franciszka, jak psy na uwięzi... Jabym jednego dnia tak nie wyżył! Raz bądź mężczyzną, idź do niej i powiedz śmiało: chcesz być moją, to bądź, Franciszek won i żeń się. Zaraz ci miłość wywietrzeje z głowy, jak ci zacznie codziennie kołki ciosać na głowie.

— Ba, żebyż to ona za mnie wyszła! — rzekł Pakosz, ożywiając się — ale co ja zrobię, jak ona powie: nie!

— Toś ty już całkiem zgłupiał z tej miłości— zaśmiał się jednak ze współczuciem Wojtek. — Nie

znajdziesz innej dziewczyny? Czy na niej kończy się świat? Opamiętaj się!

— Mówisz, bo jej nie kochasz — odpowiedział Pakosz żałośnie.

— Ale żeby ona jedna na świecie, to jeszcze rozumu nie straciłbym zaraz. Zrób, jak ci mówię, a dobrze będzie. Z dziewczętami nie można inaczej, albo ty ją za łeb weźmiesz, albo ona ciebie, u nas inaczej nie można.

— Dziwny kraj! — westchnął Pakosz.

— Taki sam i wasz, tylko że ty kochliwy, toś i ślepy. Byłem i ja taki, alem już nauczony — mówił Wojtek z powagą doświadczonego człowieka. — Ty bądź ostry, surowy, gniewliwy, to ona, jak owieczka złagodnieje, będzie pokorna i cicha.

— Żebym to ja mógł! — odezwał się Ślązak.

— A dajżeż mi spokój święty! — rzekł Wojtek zniecierpliwiony. — Raz wraz wzdychasz, jak miech kowalski, mego rozumu nie naleję ci do głowy. Chciałeś rady, dałem ci, a rób sobie już co chcesz.

Wstał Wojtek i zabierał się do odejścia, ale Pakosz, wyciągając rękę, zawołał:

— Nie gniewaj się kamrat, zrobię co chcesz.

Usiadł znów Wojtek i mówi:

— Słuchajże. Teraz przy święcie, idź z nią do miasta, weź i matkę, zaprowadź do restauracyi i raz skończ.

— Wolałbym najpierw z Paulisią — rzekł z namysłem Pakosz.

— Niech będzie i tak, pomogę ci. Powiem Mańce, aby zaprosiła Paulisię samą na jutro, odprowadzi ją Franciszek, ty udaj, że nie uważasz, a przyjdź później do Kuraków, już cię tam przyjmą chętnie, moja w tem rzecz.

Pakosz zerwał się z krzesła, ucałował Wojtka i zawołał:

— Tyś prawdziwy kamrat, pójdę w piekło za tobą!

— Ja tam jego nieciekawy! — zaśmiał się Wojtek. — Choćmy lepiej do miasta, bo tu zaczyna być nudno.

— Pójdę z ochotą! — mówił Pakosz, wstając. — A może i Sobek z nami?

Wojtek, zamiast odpowiedzi, pokazał Pakoszowi Sobka, który siedział tuż przy Bibieli jakiś uśmiechnięty i zadowolony. Wreszcie rzekł:

— Zostawmy Sobka. On już pewnie z Bibielanką po słowie, bo stary Maciej wypogodniał, a młody promienieje.

Pakosz popatrzył i westchnął:

— Ten szczęśliwy!

XXIII.

Na drugi dzień Pakosz od samego rana marudził nieustannie. Ubierał się w co najlepsze stroje, buty wyglansował jak lustro świecące, wziął czystą koszulę, przypiął kołnierzyk, ale na krawat nie mógł się zdecydować, mając do wyboru czerwony i zielony. Czerwony, to niby miłość gorejąca, a zie-

lony, to nadzieja, że wszystko dobrze pójdzie. Wybrał czerwony, ogląda się cały, przystąpił do lusterka, podczesał włosy na prawo, patrzy znów po spodniach, marynarce i wzdycha do munduru górnickiego. Jak raz wczoraj sprzedawał jeden kamrat mundur dobry, z porządnym pasem, łatą, ale żądał 15 rubli; tylko mundurowego kapelusza brak, obeszłoby się bez niego, bo zima. Już Pakosz stargował, rozeszło się o termin spłaty. Kamrat żądał zaraz 5 rubli, a resztę na dzień wypłaty, na 15 styczeń, a Pakosz dawał po pięć na trzy raty. Skłócili się i rozeszli, a tak przydałby się dzisiaj mundur! Inaczej pewno patrzałaby na niego Paulisia, inaczej u Kuraków wyglądałby on w mundurze! Postanowił pójść i zapytać sprzedającego, czy mundur jest jeszcze, przyjąłby już jego warunki. Ubrał się i wyszedł. Może w pół godziny wrócił z zawiniątkiem w ręku; przyniósł mundur, umyślnie jednak nie ubierał się weń do kościoła, chcąc zrobić Paulisi i Wójtkowi niespodziankę u Kuraków wieczorem. Zamknął mundur do kuferka i chodzi po izbie, rozmawiając z Grotkiem, który zwolna się ubierał. Na Franciszka, który zawzięcie czyścił swój czarny, świecący stary surdut, ledwie czasem spojrzy i aż się uśmiechał na myśl, że z Paulisią dziś będzie on po słowie formalnem w obecności Wojtka i Kuraków.

— Panie Grotek, już pół do dziesiątej — mówił Pakosz, stanąwszy przed gospodarzem, który

oglądał swój surdut odświętny — spóźnimy się do kościoła.

— Ja tam gotów, choćby zaraz, tylko te kobiety pewno się nie wybiorą, bo z tymi fiokami aż obrzydzenie bierze, zanim ułożą — odpowiedział spokojnie.

— Że też nie wymyślą dla nich stroju prostego, jak nasz — zastanawiał się głośno Pakosz.

— Dopieroby wyglądały w spodniach? — zaśmiał się z cicha Franciszek.

— Ha, ha, ha — śmiał się Grotek — dopiero byłaby moda śląska...

— Niechby tam była i spódnica — upierał się Pakosz — ale bez tych dodatków na ramionach, przy szyi, na rękach, bo to nic po tych fatałaszkach, tylko zabierają czas i pieniądze.

— To już, kamrat, będziesz chyba tak żonę ubierał — odezwał się Franciszek — i to gdzieś za granicą, bo u nas nie zgodzi się żadna.

— Jak będę ubierał to będę — obruszył się Pakosz — ale nie będę jej żałował niczego.

— Aby starczyło, to i dobrze — odciął mu Franciszek.

W tej chwili wyszła z drugiego pokoju Julcia z dzbankiem po wodę. Pakosz zaraz zapytał, idąc ku niej:

— Czy mama już gotowa?

— Ani mama, ani Paulisia, a ja dopiero będę się myła.

— To chyba na nieszpór pójdziemy — zawo-

łał Pakosz. — Niezadługo dziesiąta; zanim dojdziemy będzie jedenasta.

— W sam raz na sumę — rzekł Grotek.

Pakosz zapukał do drzwi drugiego pokoju, sypialnego Grotkowej z Paulisią i dziećmi, gdy w pierwszym mieścili się Grotek, Pakosz i Franciszek.

— A co tam? — dał się słyszeć piskliwy głos Grotkowej.

— Spóźnimy się na sumę, już późno — odpowiedział Pakosz.

— Zaraz, zaraz. Jeszcze suknie włożymy i koniec.

Odstąpił Pakosz od drzwi i spacerując po izbie z kąta w kąt, rozmyślał nad planem Wojtka. Po kościele, zaraz po obiedzie miała przyjść Kurakówna z zaprosinami na wieczorek do Paulisi, chyba że spotkałyby się przedtem w kościele. Pakosz miał się stawić dopiero wieczorem. Obawiał się, że mu Franciszek będzie przeszkadzał, postanowił tedy uśpić jego zazdrość i podejrzliwość.

— Zaprosił mnie na dzisiaj kamrat — rzekł do Grotka — pójdę; może zabawię do późna.

— Nikt do łóżka nie wlezie, będzie czekało — zaśmiał się Grotek.

— Ja to wiem — odparł Pakosz — tylko pytam, gdzie pójdzie pan Grotek?

— Nie wiem jeszcze; porozumiem się z żoną. Może do kumy, do Zagórza wybierzemy się przy święcie.

— Tak daleko! w taki mróz! — zawołał przerażony tą nowiną.

— Ani tak daleko, ani taki mróz — odparł Grotek — a godzi się nam pójść, bo obiecaliśmy dawno.

— Pójdę i ja — odezwał się Franciszek.

— I to już pewne? — dopytywał się Pakosz

— Mówiłem, że porozumiem się z żoną.

Weszła Paulisia, wystrojona w ciemną sukienkę, w barankowym czarnym kołnierzyku, w zarękawku welwetowym. Świeża, wyspana, z błyszczącemi oczyma, szybko przeszła przez izbę, mówiąc:

— Chodźmy, a prędko, bo się spóźnimy!

Franciszek, który miał już palto na sobie, poszedł za nią. Pakosz i Grotek ubierali się. Weszła Grotkowa, spojrzała po izbie i zawołała do męża:

— Nie mogłeś też posłać łóżka — taki tu nieporządek!

Popatrzył i Pakosz na izbę brudną, niezamiecioną, z obierzynami, z pomyjami wczorajszemi, ale już tak przywykł do nieładu, że go nie raził i rzekł:

— Jak wrócimy, to będzie porządek.

Wyszedł z Grotkową, bo ojciec czekał na Julcię, niezupełnie gotową, połączyli się z Paulisią i Franciszkiem i szli do kościoła.

Pakosz ani spojrzał w stronę Paulisi, zostawiając ją zupełnie Franciszkowi; sam towarzyszył Grotkowej, usilnie odradzając wycieczkę do Zagórza. Zwróciło to uwagę Grotkowej i zapytała głośno:

— Ciekawość! Co też komu może zależeć tak na tem, czy będziemy w Zagórzu, czy w domu?

— To prawda — dorzucił Franciszek. — Przecież lepiej zabawić w Zagórzu...

— Ja tam niebardzo chętna iść tak daleko i gdybym mogła zabawić się tutaj, to zostałabym... — odezwała się Paulisia.

— Raz pójść trzeba — rzekła Grotkowa. — Lepiej przy święcie jak w dzień powszedni.

Nachmurzył się Pakosz, bo jedyna nadzieja została, że albo Kurakówna spotka Paulisię w kościele, albo uprzedzi w domu ich wycieczkę do Zagórza.

I szedł przy Grotkowej zły, niekontent, odpowiadając na jej pytania bardzo krótko.

— A jemu co? — zapytała półgłosem córki, wskazując na Pakosza.

— Alboż ja wiem? ot, kaprysi.

Franciszek podsłuchał tę rozmowę, spojrzał na Pakosza i także zadziwił go zły jego humor, ale wnet zaczął wesołą rozmowę z Paulisią, obgadując złośliwie spotykanych znajomych.

W kościele nowym, murowanym, wielkim, w którym w czasie zimy, gdy ustawały roboty mularskie, odbywały się nabożeństwa, było przestrono dla licznych wiernych. Kobiety poszły ku wielkiemu ołtarzowi. Pakosz pełen smutnych przeczuć nieudania się planu, skierował się w prawą nawę, a Franciszek po chwili wahania, poszedł za nim.

W prawej nawie był ustawiony ołtarz Św. Jó-

zefa. Spojrzał Pakosz raz i drugi na ołtarz, przypomniał sobie, że Św. Józef jest patronem oblubieńców i w swym niepokoju postanowił ofiarować swoje troski temu patronowi, który piastując dziecko na rękach, spoglądał tak łagodnie i dobrotliwie. Przysunął się do stopni ołtarza, ukląkł, wyjął z kieszeni książkę do nabożeństwa i zaczął z przejęciem czytać najpierw modlitwę do Św. Józefa, Oblubieńca Najświętszej Panny, następnie litanię i prosił gorąco Św. Józefa, aby się przyczynił za nim u Boga i jego zamysłom pobłogosławił. Im dłużej się modlił, tem żarliwiej, z większem przejęciem, wreszcie ofiarował się zakupić Mszę Św. u ołtarza i dodać jeszcze dwie świece woskowe, jeśli mu się tylko dziś powiedzie uzyskać od Paulisi słowo stanowcze. Modlitwa i uczynione votum pokrzepiło go; modlił się też gorąco, szczerze, tak, że aż sąsiedzi zwrócili na niego uwagę.

Franciszek na razie odmawiał swe pacierze szeptem, rozglądając się po kościele i witając skinieniem głowy znajomych, ale stopniowo widok ludzi zamodlonych, nieustanne westchnienia, szepty, bicie się w piersi, woń kadzidła, śpiew księdza, głosy dzwonków, cała atmosfera kościoła, oddziałały i na niego. Rozmyślał nad sobą, nad swą biedą i niedostatkiem, a przedewszystkiem nad doznaną krzywdą, że musiał zapłacić sztygarowi sto rubli. Dotychczas zaledwie pięć rubli z wypłaty grudniowej i sześć rubli z rachunku zdołał odłożyć, ale do dawnych trzystu, brakło jeszcze osiem-

dziesiąt dziewięć rubli. Ukląkł i modlił się o zmiłowanie, o pobłogosławienie jego pracy, o możność szybkiego uzupełnienia braknącej sumy. I przebiegając w myśli wszystkich patronów, ze szczególną gorliwością zwrócił się do Św. Antoniego Padewskiego, patrona od zguby. Zdawało mu się jednak, że modlitwa będzie skuteczniejszą, skoro uczyni jakieś votum. Po krótkiem wahaniu i namyśle, ofiarował świecę funtową. Znów zatopił się w modlitwie, a gdy podniósł czoło z ziemi po dzwonku podniesienia z wielkiej żarliwości obiecał jeszcze jedną świecę, jeśli do Wielkiejnocy zbierze potrzebną sumę. Po chwili ochłonął z zapału, obliczał się, czy nie za drogo ofiara wypadnie; chciałby był cofnąć drugą świecę, ale nuż Św. Antoni, obrażony, zechce się zemścić? Więc z westchnieniem przystał na drugą świecę i tem usilniej, modlił się o urzeczywistnienie swej prośby zebrania osiemdziesięciu dziewięciu rubli. Znów przyszła wątpliwość, z jakich pieniędzy zakupi te świece, i po bardzo krótkiem wahaniu rozstrzygnął, że z nadwyżki pozostałej z trzystu całych rubli. Ten dodatkowy warunek uspokoił go zupełnie, a gdy skończyła się suma, wstał z klęczek uśmiechnięty; teraz miał pewność zebrania do Wielkiejnocy całej sumy.

Po wyjściu z kościoła, gdy obaj połączyli się z Grotkami, naprożno zaniepokojony Pakosz rozglądał się wokoło; Kurakówny nie było i śladu.

Paulisia chciała się przejść po mieście, zapre-

zentować swój nowy kołnierzyk barankowy, już na to zgadzała się matka, i dopiero fortel Pakosza, który opowiedział o spaleniu się dzieci, zostawionych bez opieki, nakłonił Grotkową do powrotu, ale najdłuższą drogą. I tym razem namowa Pakosza, by wracać, jego widoczny niepokój i zniecierpliwienie, wzbudziły podejrzliwość Franciszka.

— Napewno coś zamierza ten Prusak — szepnął do siebie, zwłaszcza, że Pakosz nie zbliżył się i w powrotnej drodze do Paulisi, zostawiając zupełną swobodę Franciszkowi. — Nie może być — rozmyślał tenże — by Pakosz tak nagle ochłonął dla Paulisi; coś w tem jest. W domu ciągle naganiał do kościoła, a teraz znów do domu. Napewno coś myśli zrobić, a jeśli co planuje Pakosz, to sądząc go według siebie, nie inaczej jak na zgubę i szkodę jego. Postanowił być ostrożnym i dać baczność na wszystko.

Weszli do domu, zastali dzieci w zdrowiu, naśmiewali się z obaw Ślązaka i zaczęli umawiać się o porę wyruszenia do Zagórza. Pakosz słucha zły, aż pobladł i ciągle zaziera przez okno. Co kto stuknie, zafrunie spódnica — on cały nasłuchuje; już nawet zaczął mieć żal do Św. Józefa, iż go opuścił, aż tu otworzyły się drzwi i wpadła ze śmiechem i wesołością Mańka Kurakówna. Ucałowała rękę Grotkowej, wyściskała Paulisię, ucałowała dzieci, skłoniła się mężczyznom i zawołała:

— Paulisiu! mam wielką prośbę do ciebie, ale to sekret, rozumiesz? nikomu, tylko mamusi.

— Jeśli sekret i ważny, to chodźmy do drugiego pokoju, bo ty wiesz, że mężczyzna każdy najciekawszy. — To mówiąc, rzuciła Paulisia okiem na Franciszka i rozjaśnionego Pakosza.

Gdy wyszły, rzekła Grotkowa, tak sobie nie zwracając się wyraźnie do nikogo:

— Ciekawa rzecz, co to za sekret?

Po chwili odpowiedział Franciszek z lekceważeniem:

— Panieński sekret! pewno jakieś głupstwo.

Już się nasrożyła Grotkowa, gdy Paulisia uchylając przymknięte drzwi, zawołała:

— Mamusiu moja, na jedną chwilkę proszę do nas!

Zaledwie zamknęły się drzwi za Grotkową, otworzył Pakosz kuferek, wyjął przyniesione zrana zawiniątko, zmienił nową marynarkę na starszą, zużytą, ubrał się w palto, pożegnał Grotka i Franciszka i, nie czekając powrotu Grotkowej, wyszedł śpiesznie z izby.

Franciszek od czasu powrotu nie spuszczał oka z Pakosza, widział jego oczekiwanie, następnie zadowolenie z przyjścia Kurakówny i już sobie sformułował podejrzenie, że wizyta Mańki ma jakiś związek z humorem Pakosza, gdy wyjście tegoż i wzięcie ze sobą zawiniątka stropiły go bardzo. Wsadziwszy obie ręce w kieszenie spodni, zwrócił się do Grotka:

— Co temu Prusakowi dzisiaj? Giez go ukąsił, czy co?

— Albo co? — zapytał Grotek, bawiąc się z najmłodszem dzieckiem.

— Coś knuje to Prusaczysko — odpowiedział chmurnie — i pewno przeciwko mnie. Oj kosztuje on mnie niemało, ale odpłacę ja się, odpłacę.

— Ty bo zawsze tylko na tego Ślązaka; zaślepia cię nienawiść, a to dobry chłop, dobry górnik...

— Że też go trzymacie ojcze? A żeby on był najlepszy, nie przypuściłbym go do siebie!

— Trzymam bo mi się podoba! Zapłać mi ten zarobek, co mam z niego, to wtedy będziesz miał prawo gadać — odpowiedział Grotek gniewnie, bo mu dokuczyły ciągłe te swary.

— Albo ja głupi — zaśmiał się Franciszek ironicznie. — Taki oczajdusza wszystko przepuści, złamanego szeląga nie ma, ot i teraz wziął zawiniątko, i pewno na żydy poleciał sprzedać starszyznę.

— A ty skąd wiesz? zaglądasz mu w kieszeń? — zapytał Grotek spokojnie ciągle bawiąc się z dzieckiem.

— Co nie mam wiedzieć? — odparł Franciszek. — Zarabia on dobrze, bo Bibiela chytry i zabiegliwy, zawsze znajdzie popłatną robotę, ale cóż z tego, kiedy ten Prusak wszystko straci, jeszcze Wojtka Szpałka ciągnie za sobą.

— Nie bój się — Wojtek mądry, wie on sam gdzie iść.

Wtem weszła Grotkowa i mówi do męża:

— Chyba dwoje najmłodszych zostawię u sąsiadki, a my na minutkę pójdziemy do Zagórza.

— To i pójdziemy, tylko trzeba coś zjeść, bom jakoś zgłodniały.

— Zaraz ci dam i dzieciakom też.

Zakrzątnęła się koło kuchni, a Franciszek aż się uśmiechnął na myśl, że gdy nadejdzie Pakosz, nikogo w domu nie zastanie; sprzeda rzeczy, aby się postawić przed Paulisią, a tu i jej niema i rzeczy przepadły. Zaczął nawet sam rozniecać ogień, aby tylko prędzej wyjść z domu, gdy z drugiego pokoju wyszła ubrana do wyjścia Paulisia razem z Kurakówną.

Było to tak niespodziewane, że aż usta otworzył i oczom ledwie wierzy. Zadziwił się i Grotek, popatrzył i zapytał:

— A ty gdzie, Paulisiu? Nie z nami do Zagórza?

— Przyjdę, tatusiu, przyjdę. Już tam mamusia wytłómaczy tatusiowi dlaczego.

To rzekłszy, całuje w rękę ojca i matkę: żegna się Kurakówna, aż jak spojrzały na Franciszka, obie w śmiech. Jak siedział zgięty przy palenisku kuchennem, tak siedzi i wodzi zdziwionemi oczyma. Opamiętał się po śmiechu dziewcząt, wstał i zawołał:

— A to gdzie?

Dziewczęta w śmiech jeszcze głośniejszy. Paulisia, uśmiechając się złośliwie, odpowiedziała:

— Przepraszam pana Franciszka, że nie prosiłam o pozwolenie... ale obejdę się na ten raz.

Pobladł z gniewu Franciszek, ale uśmiechnął się kwaśno i rzekł:

— Zobaczymy się w Zagórzu, bo i ja tam idę.

— Szczęśliwej drogi! — zawołały z chichotem i wyszły.

Grotek, bawiąc się z dziećmi, poszedł do drugiego pokoju, Franciszek stoi zły, tylko sapie, a Grotkowa, uśmiechając się skrycie, coraz to zerknie na zagniewanego a tymczasem dobywa kaszę ze szuflady, kraje słoninę i udaje bardzo zajętą.

Po chwili Franciszek siadł na swym tapczanie, odetchnął głęboko i zapyta:

— Pani Grotkowa, a gdzie to poszła córka?

Uśmiechnęła się gospodyni i odpowiedziała:

— Julcia jest z ojcem w drugim pokoju.

— Pani wie, że pytam o pannę Paulisię — burknął gniewnie.

— A Paulisia!? prosiła mnie o sekret — nie powiem.

— Będzie w Zagórzu? — pytał natarczywie.

— Nie powiem. Cóż to myślicie, że my, kobiety, nie umiemy dochować sekretu? otóż umiemy, i na dowód nic nie powiem, ani słowa. Po dobroci, możebym coś i rzekła, ale jakieś fochy, gniewy... nie powiem!

Franciszek, chociaż w nim złość aż kipiała, odezwał się spokojnie, tylko głos mu drżał:

— Pani wie, że ja prawie po słowie z panną Paulisią, słuszna rzecz, abym wiedział, gdzie chodzi moja narzecona.

— Będzie dosyć czasu po ślubie! — zawołała ze śmiechem.

Umilkli oboje. Grotkowa warzy strawę, przysuwa, odsuwa garnek, soli, kosztuje a milczy. Franciszek, trochę spokojniejszy, bo minęła go pasya, odezwał się:

— Żeby to pan Grotek poszedł do sztygara pewnoby miejsce dostał.

— Za słaby do kopalni — odpowiedziała — dopiero za jaki miesiąc wydobrzeje, to i pójdzie do roboty.

— Niekoniecznie górnicka robota — znów zaczął Franciszek — znajdzie się lżejsza.

Uśmiechnęła się złośliwie gospodyni i rzekła, odstawiając garnek:

— Wiem ja dobrze, co znaczą te namowy, ale choćby i zaraz znalazł mąż zajęcie, to jeszcze nic ze ślubu. Wpierw musimy spłacić długi.

— Dużo tego? — zapytał z obawą.

— Narosło do pięćdziesięciu rubli, bo życie teraz drogie.

— O Jezu! Aż pięćdziesiątka! I na co?

Ten wykrzyknik rozgniewał Grotkową i krzyknęła:

— Patrzcie go, jeszcze jemu mam zdawać rachunek! Cóż to moje dzieci o suchym chlebie żyć mają!?

I gniewna podeszła do drzwi, wołając:

— Chodźcie dzieci jeść i ty, Adamie. Nawet tej strawy ten wam żałuje — kończyła, pokazując na Franciszka.

Dopiero po długich tłómaczeniach i prośbach dała się przeprosić Grotkowa i już w zgodzie poszli wszyscy, prócz najmłodszych, do Zagórza... Droga była kopna, więc szli pomału i już ciemniało, gdy weszli do mieszkania kumy. Ta wielce się ucieszyła gośćmi, zaraz posłała po poczęstunek do szynku, a gdy się już nacałowały z Grotkową i rozebrały dzieci, zapytała kuma:

— Czemuż to Paulisi niema?

— Zaprosiła ją Mańka Kurakówna na zabawę, musiała iść; nie wypadało odmówić, bo to dawno ułożone...

Wypowiedziawszy te słowa, przypomniała sobie o sekrecie i spojrzała na Franciszka. Ten i tak żółty z natury, zrobił się żółciejszy, aż się zatrząsł z gniewu, za to że wlókł się darmo do Zagórza i że zakpiono sobie z niego. Ale na razie nic nie mówi.

— Toż ja wam rada, moi najmilsi, bardzo rada, wynagrodzi mi to Paulisia, jak przyjdzie prosić na wesele. Nie puszczę jej cały dzień, a pan Franciszek musi na to jej pozwolić. Nieprawdaż?— zwróciła się kuma do niego z uśmiechem.

— Jej wola, jeszcze nie moja — odpowiedział chmurnie.

— Otóż to grzeczny kawaler! — zaśmiała się

kuma. — Inny, jak po słowie, to już pyta, śledzi, a pan Franciszek bardzo grzeczny.

Niekontenta Grotkowa z tej rozmowy przerwała ją mówiąc:

— Gdzież to wasz, kumo? przecież nie na służbie.

— Poszedł do sąsiada, zaraz poślę po niego.

I zaczęła się ożywiona rozmowa o drożyznie, o dzieciach, o sąsiadach...

Franciszek rad był każdej chwili wyjść z mieszkania, ale nie wypadało żegnać się, zanim traktamentu nie przyjmie. Siedział zły, chmurny, milczący, na Grotkową ani spojrzał z wielkiego gniewu. Rosła w nim zawziętość i, gdyby nie chęć zemsty na Pakoszu, byłby w tej chwili zwymyślał Grotków i wyrzekł się Paulisi. Ale się przemógł. Podano wódkę i zakąskę; przygotowują kiełbasę i piwo, a Franciszek tylko rozmyśla nad Pakoszem. Nagle aż podskoczył na krześle, i cały pozieleniał; zrozumiał grę Pakosza. Przecież Mańka Kurakówna trzyma z Wojtkiem, a ten jedno z Pakoszem. Namówili się oba, aby go wystrychnąć na dudka i zabawić się z Paulisią. Dlatego Pakosz tak oczekiwał kogoś w mieszkaniu, dlatego tak się ucieszył z przyjścia Kurakówny, dlatego, aby omylić ślad, zaraz wyszedł... Ale już on ich znajdzie, gdzie są, co robią i nauczy ich, co znaczy kpić sobie z Franciszka Butnego. Zerwał się z krzesła i zaczął się żegnać, mówiąc, że ma tu do jednego z przyjaciół

interes. Zatrzymywano go, ale też niebardzo, a on, żegnając się, rzekł do Grotka:

— Może mi wypadnie dłużej zabawić, nie czekajcie na mnie.

Po jego wyjściu zapytała kuma Grotkowej:

— Czy on zawsze taki chmurny?

— Ej, nie. Dziś to przez zazdrość o tego Ślązaka, mego kwaternika.

— Jemu coś źle z oczu patrzało dzisiaj — mówiła kuma.

— Jak są we dwóch, to obaj tylko warczą na siebie. Teraz to już po ludzku, ale dawniej, strach, jak skakali sobie do oczu, myślałam, że się pozabijają... Takie to już szczęście ma moja Paulisia — chłopcy przepadają za nią.

I Grotkowa, podniecona pytaniami, zaczęła długo i szeroko opowiadać o zazdrości i nienawiści między Franciszkiem a Pakoszem, o swym rozumnym sposobie zapobieżenia bójce i polityce Paulisi.

Tymczasem Franciszek wracał szybko do domu, rozmyślając o Pakoszu. Rosła w nim zawziętość i nienawiść. Bo i któż winien, że musiał zapłacić aż sto rubli za swe górnictwo? Przez kogo tak się odwleka ślub z Paulisią? Kto ją bałamuci i podburza? Kto wyrzucił go z zabawy przy tylu ludziach? Kto, dając prezenta i kupując łakocie, zmusza i jego do wydatków? Kto przedrwiwa go „Pod gołębiem?“ Przez kogo traci tyle czasu na swary, kłótnie, śledzenie Paulisi? Kto zmniejsza jego wartość i znaczenie u Grotków? Tylko Pakosz! ten

tylko zatracony Prusak! Aż się zatrząsł ze złości i przyśpieszał kroku. A dzisiaj!? To ten pogański syn — mruczał do siebie — tak dotrzymuje przyrzeczenia? Przysiągł, że nie zacznie żadnej kłótni, żadnej bijatyki, nie użyje żadnego podstępu i chytrości względem mnie i Paulisi, a dziś co zrobił? Wypchnął mnie do Zagórza na pośmiewisko i wzgardę ludzi a sam baluje! A niedoczekanie twoje! — Sięgnął głębiej do kieszeni i ścisnął nóż wielki, składany, który wziął na obronę, idąc do Zagórza. Wyjął, zabłysnął nim w świetle księżyca, uśmiechnął się na myśl, jak skłuje Pakosza, schował znów i szedł. Pewno są oboje u Kuraków, wpadnę i powiem Paulisi, że matka zachorowała, a jak wyjdzie ona i Pakosz, dopiero go utnę. Albo nie... Domyślą się, że to ja pchnąłem, trzeba znaleźć coś innego! Znów myśli... Poślę chłopca, że go szuka sztygar — wyjdzie; to już się spotkamy... Ale nie, on może i nie wyjdzie, a chłopiec rozgłosi... Już był blizko domu Kuraka, a jeszcze nic wiedział, jak wywołać Pakosza. Popatrzył w okna oświetlone i, idąc za popędem zazdrości i nienawiści, wbiegł na schody, dopadł drzwi i otworzył. Krzyknęły dzieci, ale Franciszek zapytał spokojnie:

— Nie bójcie się dzieci! Powiedźcie, niema tu Grotkównej?

— Paulisi? — odpowiedziała dziewczynka. — Była, ale już poszła z Manią, wszyscy poszli.

— Gdzie? z kim? kiedy?

— Przyszła przyjaciółka Mani i zaprosiła ich

do siebie. Ale ja nie z tego domu; nie wiem, gdzie mieszka. Może kto z was wie? — zwróciła się do młodszych.

— Nie wiemy!

— Ale w tym domu? — dopytywał się.

— Pewno, bo tylko chustkę wzięła Mania.

Umilkł Franciszek; coś rozmyśla i zapytał:

— A kto był więcej?

— Był kawaler Mani i kawaler Paulisi.

— Wojtek?

— Tak i jeszcze jeden w mundurze...

— W mundurze? — odetchnął Franciszek i już bez nacisku pytał: — Jakiż on?

— Ślązak, ma ładny mundur.

Zaniepokojony Franciszek znów zaczął pytać:

— I jaki on? młody! blondyn!

— O młody, taki ładny!—odpowiedziało dziecko.

— I mówisz, że Ślązak?

— Ślązak, tak śmiesznie mówi, a zawsze tylko: dla panny ja ubrał się w taki mundur, dla panny ja tu chodził — zaczęła mała przedrzeźniać wymowę Pakosza ku uciesze dzieci.

— I nie wiesz, dokąd poszli?

— Nie wiem.

Wyszedł Franciszek, pewny i przekonany, że ów Ślązak, to Pakosz. Zgnębiony był słowami dziecka o zabawie, a najbardziej zabolało go zdanie dziewczynki, że Pakosz „taki ładny!“ Stał przed tym domem, nie mogąc go opuścić, i nie wiedząc dokąd iść. Rozpiął się, bo dusiło go gorąco, zdjął

czapkę i chłodził rozpaloną głowę. Potem zwolna zaczął dom obchodzić, rozpatrując okna, lecz wszystkie były oświetlone, a na parterze, przez zamarzłe szyby, zaledwie rysowały się niewyraźne sylwetki ludzi. Obszedł raz, drugi raz, poczuł zimne dreszcze, zapiął się i znów zaczął swe koło. Przechodząc obok jednego z okien parterowych, ujrzał cień mężczyzny i kobiety na szybach okna. Przystanął. Zdawało mu się, że poznaje Wojtka. Jednak cienie zniknęły wkrótce, ale Franciszek przylgnął do tej szyby. Był to istotnie Wojtek z Mańką.

Zosia, przyjaciółka Kurakówny, mieszkająca na parterze, w innej sieni, wpadła z wieczora do Mańki i zaprosiła całe towarzystwo, to jest dwie dziewczyny, Wojtka i Pakosza do siebie, gdyż rodzice jej wyjechali na cały wieczór. Bawiono się bardzo wesoło, a Wojtek pilnował sprawy Pakosza. Najpierw obrzydzał Paulisi, o ile mógł, Franciszka, drwił z jego skąpstwa, tchórzostwa, niedbałości o czystość i ubranie; mówił, że tylko przekupstwu zawdzięcza swoje górnictwo, a pomagała mu Mańka, wyśmiewając jego ruchy, zalecania i dzisiejszą minę. Paulisia, rozbawiona, wtórowała im chętnie. Przyniósł Pakosz „słodkiej“, była i herbata, a gdy Wojtek zmiarkował dobry humor Paulisi, zaczął wychwalać Pakosza. Mówił, jaki on dzielny górnik, jak odważnie ratował Gdulskiego, jak stawał przeciw hutnikom, jaki dobry i zakochany w Paulisi, że aż litość bierze patrzeć i słuchać jego westchnień. Podobało się to bardzo dzie-

wczętom, a najbardziej Paulisi, Pakosz, z wielkiej radości sam nie wiedział co robić. Co spojrzy na Paulisię, to bardziej ją kocha; co spojrzy na Wojtka, to czuje że i jego bardzo kocha i radby oboje uścisnąć. Aż tu wstaje Wojtek z kieliszkiem w ręku i przemawia:

— Dla ciebie, Paulisiu, zebraliśmy się w kompanię: uprosiłem Mani, aby cię sprowadziła i żeby raz był koniec męce Pakosza. Wiem, że mu nie jesteś przeciwna, a to górnik, choć do serca przyłóż... Będziesz miała bardzo dobrego męża; zna swój fach, odważny, roboczy, to i czegóż więcej... A jaki on będzie mąż wygodny, każesz mu niańczyć dzieci, będzie niańczył, każesz gotować, ugotuje...

Dziewczęta śmieją się, a Pakosz poważnie kiwa głową i mówi:

— To prawda!

Zaśmiał się Wojtek i prawi dalej:

— Każesz mu chodzić na czworakach, dobrze; na rękach to na rękach, a na głowie, to na głowie...

— Kiedy nie potrafię — śmiał się Pakosz.

— Będzie łagodny, jak jagnię, słodki, jak cukierek, posłuszny jak niewiniątko, a zechcesz mu przyprawić rogi, to i przyprawisz.

Pakosz, który dotychczas powtarzał ciągle: prawda, na ostatnie przypuszczenie wrzasnął:

— Co to, to nie!

Rozśmieszyło to dziewczęta, a Wojtek mówi z powagą:

— Wnoszę teraz zdrowie państwa młodych, niech nam żyją! No, Pakoszu, rusz się!

Zerwał się Pakosz, pochwycił rękę Paulisi, całuje i prawie bełkocze z rozczulenia:

— Ja tak kocham! ja tak kocham!

Paulisi bardzo pochlebiły słowa Wojtka i ta uczta dla niej i ten Pakosz rozkochany, w mundurze ładnym i cała zarumieniona rzekła:

— Jeśli tatuś i mamusia pozwolą...

— O! co to, to nie! — krzyknął Wojtek. — Już ja ciebie znam, boś mi krewna — ty co zechcesz, to i zrobisz. Powiedz tu przed nami: pójdziesz za niego, czy nie?

Zmieszała się Paulisia, ale przybiegły do niej dziewczęta i szepczą:

— Powiedz tak! powiedz tak!

Paulisia skinęła głową, ale Wojtek uparł się, aby powiedziała głośno i wyraźnie, więc szepnęła: Tak!

W tej chwili rozległo się wyraźne skrobanie w szybę, aż się obrócili wszyscy.

— Co tam za pieron! Mysz, czy dyabeł? Już od kwandransa drapie! — zawołał Wojtek.

Dziewczęta zlękły się. Podszedł do okna Wojtek, patrzy przez chwilę, a na dworze jasno, jak w dzień od księżyca i śniegu, patrzy, aż się zatrząsł, bo poznał Fraciszka. Obrócił się, a dziewczęta pytają: kto to?

— Handlarz! chce jedną z was kupić — odpowiedział Wojtek z uśmiechem.

Dziewczęta udawały, że się boją, ale czuły się bezpieczne przy dwóch górnikach.

Pakosz, który już dawno kupił pierścionek zaręczynowy, wyjął go i dał Paulisi. Przyjęła, a Wojtek zdjął swój i rzekł:

— Weź, Paulisiu, mój, to od brata i daj Pakoszowi.

Wzdragając się trochę, jednak zrobiła tak, jak chciał Wojtek.

— No, a teraz księdza wam trzeba i koniec — zawołał Wojtek.

Rzucił mu się Pakosz na szyję, zaczął ściskać i całować, mówiąc:

— Do śmierci ci nie zapomnę, co każesz, to zrobię!

— Zobaczymy w rok po ślubie — zaśmiał się Wojtek.

— Zawsze! zawsze! — zawołał Ślązak.

Znów zaczęli rozmawiać, żartować, ale jakoś zabawa się nie kleiła. Wojtek sposępniał, Pakosz umilkł ze szczęścia, Zosia boi się spać sama, Kurakówna i Paulisia śpieszą się do domów. Rezeszli się tedy. Na dworze ciemnawo, bo księżyc już zaszedł, podał więc Pakosz rękę Paulisi; obok idzie Wojtek, który starannie obejrzał się wokoło, bo mu się zdawało, że jakaś postać mignęła za węgłem. Pakosz nic nie widzi, nie słyszy, tylko ściska rękę Paulisi i szepcze czułe słowa. Aż tu znów spostrzega Wojtek, że ktoś czai się przy ścianie drugiego domu.

Przyszli bliżej, nikogo nie znalazł Wojtek, tylko z tyłu słychać chrzęst śniegu. Obejrzał się, i zdaje mu się, że poznał Franciszka, który umknął w czarny cień. Nic nie powiedział Pakoszowi, ani Paulisi, ale jakiś dziwny lęk go ogarnął przed tym człowiekiem. Pilnuje się już teraz bardzo i próbuje, czy ręce ma swobodne, czy mu nie przeszkadzają rękawy. Już dochodzili do domu Grotków, gdy Wojtek zobaczył tego człowieka, przytulonego do muru u węgła domu po stronie Pakosza. Odstąpił od Paulisi Wojtek, pozostał w tyle i śledzi. Zdaje mu się, że ten ktoś, może Franciszek, gotuje się do skoku. Przygotował się i Wojtek, zapiął się szczelnie, ręce trzyma wolno i idą. Jeszcze ze dwa kroki, a Pakosz z Paulisią wejdą w czarny cień domu —gdy nagle zobaczył Wojtek ruch, jakby do uderzenia nożem; skoczył i chwycił za lewe ramię napadającego.

— Cóż to, Franciszku! do hutników przystałeś — zawołał głośno.

Krzyknęła Paulisia, stanął Pakosz, a Franciszek, zmieszany, jąka:

— To żart!... Chciałem przestraszyć Pakosza!

— Z nożem w ręku? — zapytał Wojtek ironicznie.

— Jak Boga kocham! żeby mnie tak wszystkie pierony trzasły! Nie mam noża — krzyknął Franciszek.

— Rewidować nie będę ciebie, bom nie łapacz, ale się strzeż! Możesz od hutników dostać bransoletki ładne i ciężkie. Już ja poświadczę!

— To taka zapłata! — zaczął rzewliwie narzekać Franciszek — za moje dobre serce dla twojej ciotki i jej dzieci! Za moją pomoc kajdanami mi grozisz?!

— A ty chciałeś za nią kupić Paulisię, ale nie udało się. Pakosz ożeni się z nią.

— Jeszcze nie po ślubie! — mruknął głucho Franciszek. — Czego wy chcecie odemnie? Ja idę za interesem. Bądźcie zdrowi, Szczęść Boże!

Wbrew woli, na mocy przyzwyczajenia, odpowiedzieli mu:

— Szczęść Boże!

XXIV.

We wtorek po Trzech Królach szychta dzienna nie mogła jeszcze zjechać do kopalni szalami, gdyż naprawę szybu dopiero kończono. Część robotników skierowano ku odległej odkrywce, miejscu, gdzie pokład węgla dochodzi do powierzchni i skąd chodnikami długimi, pochylniami licznemi dostawali się na miejsce pracy. Drugą część przeprowadzono do stojącego w szczerem polu składu drzewa, potrzebnego dla kopalni. Przez szyb wązki, płytki, bo 80 metrów głębokości mający, spuszczano drzewo do kopalni. Dziś tym szybem zjeżdżali górnicy, szlepry i licznymi chodnikami dążyli na swoje pole.

Około godziny dziesiątej zrana majstrowie, stolarze, cieśle, nagleni nieustannie do pośpiechu, oświadczyli nadzorującemu sztygarowi nadszybo-

wemu, że naprawę szybu ukończyli zupełnie. Natychmiast zawiadomiono nadsztygara, który, zajrzawszy do szybu i wysłuchawszy raportu dozorującego sztygara, kazał poprosić zawiadowcę kopalni. Ten zjawił się wkrótce, rad z ukończenia naprawy, gdyż w podszybiu nagromadziła się wielka ilość naładowanych węglem wagoników i zachodziła usprawiedliwiona obawa, że urobek węgla będzie mały z powodu braku wózków. Weszli na szalę obaj przełożeni w towarzystwie sztygara nadszybowego i dwóch majstrów starszych, by robotę sprawdzić, przyjąć i ocenić.

Uznano robotę jako dobrą i zwolna wyjeżdżano do nadszybia. Wtem zapytał zawiadowca:

— Panie nadsztygarze! czy uprzątnięto heblowiny i odpadki cembrowin?

Nadsztygar rzucił przelotnie okiem na sztygara i odpowiedział bez zająknienia:

— Wszystko w porządku, panie zawiadowco!

— Wymieciono w spodzie szybu — zawtórował śmiało dozorujący.

Uśmiechnęli się skrycie majstrowie, ale znali służbę i milczeli.

— Bo to czasem potknie się człowiek o kamyczek i upadnie — odezwał się zawiadowca sentencyonalnie.

— Tu niema obawy, panie zawiadowco — tłómaczył nadsztygar. — Do spodu nawet szale nie sięgają.

— Będzie temu ze dwa lata — odezwał się

z wielkiem uszanowaniem sztygar — gdy naprawiano cembrowiny od podszybia, i znaleziono lampkę na spodzie. Rzucił ją robotnik, ale czy przyzna się taki?

I, nie mogąc głośno, zaklął dosadnie w myśli.

Zawiadowca nie uważał na słowa sztygara, lecz zwrócił się do nadsztygara ze słowami:

— Trzeba panu dyrektorowi przesłać raport, przedtem ja go przejrzę.

— Dobrze, panie zawiadowco!

Wyjechali na nadszybie i, pozdrowiwszy robotników przy szalach, poszli do biur, rozkazawszy windować co szybciej liczne wagoniki z węglem. Szale zaczęły funkcyonować gorączkowo, ale dokładnie.

Sztygar nadszybia, który dozorował naprawy, stał chwilę, patrząc bezmyślnie na robotę, zastanawiał się, czy w odpowiedziach swych nie naraził się czemkolwiek zawiadowcy i nadsztygarowi uśmiechnął się z zadowoleniem, bo uznał, że służbę swą spełnił nienagannie.

Zima, to czas żniw kopalni. Zamówienia napływały tak, że trudno było nadążyć z węglem. Pomnożono ilość robotników, z czego korzystał Grotek Adam i, wysłuchawszy Mszy Świętej, zakupionej na uczczenie Św. Apolonii, patronki od bólu głowy i zębów, mimo obawy z powodu zawrotów, udał się do sztygara i otrzymał miejsce dozorcy jednego z licznych rozjazdowych miejsc kolejki kopalnianej. Robota pośpieszna szła nietylko w dni

powszednie, ale w niedziele i święta, za które to dni płacił zarząd kopalni podwójną zapłatę, więc nie zabrakło licznych ochotników. Górnicy pracowali zawzięcie, usilnie, z wielkiem natężeniem nerwów. Ustały zebrania „Pod gołębiem“, zabawy, wieczorki, bo, zmęczeni pracą, pożądali spoczynku. Nadmierna ta praca rozstrajała ich nerwy i rozdrażniała, to też kary za hardość rosły niepomiernie, a kłótnie, zwady, gniewy, nienawiści, bójki należały do rzeczy powszednich.

Maciej Bibiela, jak mógł i umiał, starał się o zgodę i jedność swego numeru, co nie przeszkodziło, że Wojtek zwymyślał Pakosza, ten się z nim skłócił i od kilku dni nie mówili do siebie, ani się witali.

— Nie przyszlibyście jutro, Wincenty, na szychtę? — zapytał Maciej w sobotę około czwartej z południa, odpoczywając po wysłaniu wózków.

— Pytacie mnie, katolika? — obruszył się Wincenty. — Toż jutro i niedziela i Oczyszczenie Najświętszej Panny. Żeby mi złotem płacili, nie pójdę na szychtę... Jadę do Częstochowy...

Zdziwili się wszyscy i spojrzeli na Wincentego, który stał oparty na oskardzie, a zawieszona lampka oświetlała jego twarz zmęczoną i chmurną.

— Do Częstochowy? — mruknął Maciej. — Nie macie i tu kościoła?

Uznał słuszność uwagi Wincenty, bo zaczął się tłómaczyć, porzucając oskard i zbliżywszy się do siedzącego Macieja:

— Kobieta niedomaga mi od adwentu, jadę uprosić zdrowia dla niej do Częstochowy, tak postanowiłem... Bo i cóż ja zrobię sam na świecie z małą wnuczką?

— Jakto, wnuczka przy was? — zapytał Wojtek.

— Wykupiliśmy ją... — odpowiedział z westchnieniem Wincenty. — Po śmierci naszej jedynaczki zostało sierot troje. Pan Bóg zabrał do swojej chwały dwoje młodszych, została ta jedna Basia u swego ojca...

— Po cóż brać było? — rzekł Pakosz, zbliżając się do rozmawiających.

— Młodyś, to i pytasz; przecież to krew moja. Ojciec stracił i wiano, cośmy dali, i nie chciał oddać Basi, póki nie zapłacimy długu, zaciągniętego na pogrzeb. Daliśmy ostatki, ratując wnuczkę. Rozchorowała mi się żona, doktor mówi, że jak zimę przetrzyma, to pożyje, więc jadę z wnuczką do Częstochowy.

— Daj wam, Panie Boże, szczęśliwie — rzekł Maciej poważnie, bo wspomniał na swoją żonę i dwie córki niezamężne.

Po chwili zapytał Bibiela Wojtka, czy stanie jutro?

— Ledwie nogami włóczę, takim umęczony, a jutro mam zabawę — nie przyjdę.

— Ani ja — dodał Pakosz niepytany i silnie zakaszlał, aż w nim jęczało.

— A tobie co? — zapytał Bibiela.

— Zaleciało coś z chodnika i tak mnie ści-

snęło — odpowiedział Pakosz, stojący u wejścia przodka. Mówiąc to, znów się nachylił do chodnika, szybko się cofnął, kaszląc uporczywie:

— To dziwne! — rzekł Bibiela, wstał, podszedł do chodnika, ale zaledwie wychylił głowę, cofnął się prędko i zawołał przytłumionym głosem.

— Powietrze!

Po uspokojeniu kaszlu, nasłuchiwali chwilkę. Z głębi chodnika i pochylni dolatywały jakieś niewyraźne, przytłumione głosy trwogi i rozpaczy. Milczeli pełni przerażenia. Wojtek, najbliższy teraz wejścia do przodka chodnika, podniósł lampkę w górę i Maciej spostrzegł nagle małą, ale wyraźną smugę szarą, która napływała do chodnika.

— Złe powietrze! — krzyknął z przerażeniem, przypomniawszy sobie swą wędrówkę na wigilię.

Pochylił się prawie do ziemi, schwycił lampkę stojącą i skierował się ku chodnikowi, rzucając ostrzeżenie:

— Ratujcie się! za mną!

Wbiegli na chodnik i, kaszląc w dusznem, pełnem swędu i dymu powietrzu, ratowali się w kierunku podszybia. Nie dobiegli połowy chodnika, gdy spotkali trzy tuż przy sobie grupy górników, którzy bez czapek, z rozwianym włosem, z pogaszonemi lampkami ustawali w biegu, padali, znów się podnosili, krwawili sobie twarze, ręce, ciało na twardych ścianach i spodzie chodnika, ale posuwali się dalej. Widząc mijających ich: Bibielę, Wincentego, Pakosza i Wojtka, którzy, nie wyczer-

pawszy świeżych sił, biegnąc dalej jęknęli rozpaczliwie: Ratunku! ratunku! W obłędzie strachu, rzucili się na dwóch krańcowych numeru Bibieli, na Pakosza i Wojtka, ściskając ich za nogi, za piersi, za ręce. Pogasły lampki i wśród ciemni chodnika, przy napływającem zatrutem powietrzu, zaczęła się na razie hałaśliwa, wkrótce milcząca walka. Po dobrej chwili, do Macieja i Wincentego, wlokących się z trudnością, dopadli Pakosz i Wojtek w poszarpanem ubraniu, bez lampek.

— Na bok! na bok! — krzyknął Wojtek.

Dochodzili do pochylni. Weszli i istotnie na razie powietrze wydało się im możliwsze do oddychania. Przykucnęli i oddychali.

Po chwili opamiętał się Maciej i rzekł:

— Co robić?

Odpowiedział Wincenty głucho:

— Modlić się!... Od powietrza są patronami Św. Sebastyan i Św. Roch, od morowego Św. Rozalia. Módlmy się!

Ukląkł i zaczął odmawiać modlitwę, którą towarzysze powtarzali szeptem, przerywanym kaszlem.

W całej kopalni zapanował niepodzielnie strach.

Wypadkiem niewyjaśnionym zajęły się u spodu, w głębi szybu, pod szalami wióry, odpadki desek, heblowiny, a że szyb był drewniany, rozgorzał wielki i szybki ogień, który objął szalowanie podszybia. To nagłe ogrzanie szybu, przewyższające ogrzewany koksem luft, zmieniło kierunek prądu powietrza. Od luftu, ciągnącego zatrute, duszne,

zgniłe wyziewy kopalni, zwróciły się one do podszybia i wraz z duszącym dymem koksu rozlały się po wszystkich chodnikach. W nadszybiu stali bezradni: zawiadowca, nadsztygar i sztygarzy. Zalew wodą wzmógł tylko dym, a wydobywające się z szybu wyziewy i gazy kopalni zmusiły wkrótce wszystkich do ucieczki pod grozą uduszenia. Zawiadowca, pełen rozpaczy, posłał podwładnych do odkrywek i mniejszego szybu, sam udał się do luftu. W tym powietrze było czyste, więc zrozumiawszy przyczynę katastrofy, pchnął posłańca po dyrektora, sam zaś kazał przygotować wodę do gaszenia koksu gorejącego i odpowiednią ilość drabin i sznurów.

Przyjechał dyrektor, blady, w domowym stroju, przerażony pożarem kopalni i plan zawiadowcy przyjął bez wahania. Wszystko było w pogotowiu, zaczęto go natychmiast wykonywać.

XXV.

Właśnie w tym czasie pod przewodem Wincentego kończono modlitwy. Około Bibieli w pochylni zebrała się gromadka górników i rozważano co robić?

Większość była za kierowaniem się do podszybia, pięciu było za odkrywką, a ośmiu radziło iść przeciw wiatru, by dotrzeć do swobodniejszego przewiewu. Każda część, wyszedłszy z pochylni, napełniającej się co chwila bardziej duszącem powietrzem, poszła według swego przekonania. Numer

Bibieli przedzierał się do podszybia. Szli, jęcząc, płacząc, kaszląc chwilami dusząc się i spotykali coraz liczniejszych górników, którzy zmęczeni, odurzeni, wlekli się na czworakach.

Im bliżej byli podszybia, tem czyściejsze powietrze odczuwali, gdyż ogień chwilowy, strawiwszy palne drzewo, przygasł, szyb się ochłodził i trujące wyziewy znów skierowały się do luftu.

Ze wszystkich stron ściągali się górnicy i już przed nadejściem Bibieli zebrało się ich około pięćdziesięciu. Gnani strachem, nieprzytomni z przerażenia, wściekli pragnieniem jak najszybszego uratowania życia, pchali się w podszybie, mimo tlejącego żaru i dymu, który wychodził szybem. Pierwszeństwo zależało tylko od siły pięści. Wszczęła się zajadła bójka, bezwzględna dla słabszych, których odrzucano, przewracano, deptano, aby być bliżej szal. Bibiela szedł pod ścianą prawą, a za nim jego numer. Udało się Bibieli i Wincentemu prawie bez walki, korzystając z bójek, dojść do bliższych szeregów. Pakosz, silniejszy i wyższy, pilnował ruchów Wojtka, bo chociaż się pogniewali, jednak w obecnem nieszczęściu pamiętał tylko o tem, że był kamratem. Wojtek posunął się dalej, Pakosz pozostał w tyle. Wtem nadbiegli inni górnicy, jeszcze rzeźwi i silni, i zaczęli przebojem torować sobie drogę. Bliżsi szal, bronili zajadle swych stanowisk. Strach, rozpacz, groza śmierci, pragnienie ratunku, roznamiętniały tych ludzi i doprowadzały do szału. Wtem poczuł Pakosz silne

uderzenie i szarpnięcie w tył. Ktoś pożądał jego miejsca. Walka była krótka. Pakosz zwyciężył, uderzywszy przeciwnika kułakiem między oczy. Posunął się bliżej, roznamiętniony przebytą walką; wtem zjechały nareszcie szale, na które rzucono się tłumnie. Dwudziestu kilku szczęśliwców odjechało po zaciętej bójce. Pakosz posunął się znów, tak, że tylko kilku ludzi dzieliło go od Wojtka. Nagle poczuł silne poderwanie nóg, chwycił się stempla, zawisł na nim, ale utrzymał się. Nachylony u nóg jego górnik prostował się w tej chwili. Spojrzeli sobie w oczy, obaj się poznali, był to Franciszek Butny, który w tejże chwili sięgnął po nóż i, zanim Pakosz stanął dobrze na nogach, już poczuł pchnięcie w lewym boku. Cios śmiertelny wstrzymała oprawna książeczka obrachunkowa, którą miał oddać po szychcie sztygarowi. Dawna nienawiść wybuchła z całą siłą. Zanim Franciszek z książki zdołał nóż wyrwać, poczuł uścisk palców na swej szyi, a nóż wypadł mu z ręki. Chwilkę trwało mocowanie. Franciszek posiniał, oczy rozszerzyły się nadmiernie, z otwartych ust wysunął się język, jeszcze sekunda, a padłby uduszony, gdy zjechały szale. Pakosz z możliwą siłą rzucił Franciszkiem o ścianę, a sam pchał się naprzód. Nadbiegli nowi górnicy i liczba ich zwiększała się nieustannie. Znów dwudziestu kilku, a między nimi Bibiela i Wincenty pojechali w górę; Wojtka, który czuł się bardzo osłabionym, odepchnięto od szali. Bójka i wrzawa nie ustawała w dalszych szeregach

wązkiego przejścia, tłum zebranych co chwila kołysał się, przekleństwa przelatywały gęsto, zabłysły noże, krótkie, bo przeznaczone do chleba, ale raniące dotkliwie, krew się polała, a jej widok roznamiętniał do zwierzęcości.

Po nad tym gwarem, jękiem, przekleństwami, szałem napadu i obrony, zabrzmiał przejmujący okrzyk zgrozy i strachu. Z głębi chodnika szedł w kierunku podszybia dym, zaduch, swąd ugaszonego koksu w lufcie.

Nadleciały szale. W tej chwili tylko i jedynie rozstrzygało prawo silniejszego. Pakosz i tak rozdrażniony, a roznamiętniony widokiem i walką z Franciszkiem, czuł się bardzo silnym. Rozerwał obrączkę ludzi i już był u szali, gdy ujrzał słaniającego się Wojtka. Stojąc na szali, pochwycił go pod ramię i przerzucił do szali, tak, że zawisł na ramionach ludzi.

Możeby go wyrzucono, stratowano, lecz już nadpłynęła fala odurzających gazów, wrażliwsi pomdleli na szali i, tylko dzięki ściskowi panującemu, trzymali się stojąco. Zemdlał i Wojtek.

Następna szala wróciła pusta. Odurzeni wyziewami i dymem, omdleli górnicy w podszybiu.

Ugaszenie koksu, oziębienie luftu umożliwiło wprawdzie zejście do kopalni, uratowanie idących pod wiatr górników, ale też wzmogło dymem duszące i tak powietrze kopalni. Górnicy, idący ku odkrywce, między nimi Babczyk uratowali się.

W pół godziny później zawiadowca, zbadawszy

kopalnię, kazał rozniecić ogniska koksowe w lufcie i kopalnia wróciła do stanu normalnego. Zjechał sztygar z górnikami do podszybia. Zobaczono na razie zwał ludzi leżących, zdawało się, że bez życia. Zaczęto ich ładować na szale i posyłać do nadszybia, gdzie doktór i felczer czekali ze środkami ratunkowymi.

Omdlałych, oszołomionych, poranionych górników znaczną większość uratowano; również ocucono innych, rozrzuconych po kopalni, między nim, i Grotka.

Ilu zginęło, nie dowiedziano się; istotna cyfra utonęła w archiwum kopalni, gdyż w owym czasie było dużo robotników dziennych, którzy zbiegli się z dalszych okolic, złakomieni wysokim zarobkiem.

Franciszka z rozbitą głową, z połamanemi przez zdeptanie żebrami, odwieziono do szpitala.

Gdy wieść o nieszczęściu dobiegła mieszkań górników, żony, córki, dzieci biegły, jęcząc, płacząc, łkając, ku kopalni, szukając swych mężów i ojców. Grotkowa rozporządziła, by Paulisia szła do kopalni, sama z Julcią ruszyła w stronę szpitala, rozumując, że rannych i uduszonych przewiozą najpewniej do tego miejsca.

Pakosz, doczekawszy się ocucenia Wojtka, prowadził osłabionego ku mieszkaniu wraz z kilku innymi zdrowymi towarzyszami, gdy spotkał zapłakaną Paulisię. Powierzył opiece kamratów Wojtka a sam przyłączył się do dziewczyny, by jej pomódz

w odszukaniu ojca. Najpierw ujrzeli Franciszka skrwawionego, potłuczonego, zdeptanego, tak, że ledwie mogli go poznać. W krótkich słowach opowiedział Pakosz swe spotkanie i walkę, pokazując na dowód książeczkę obrachunkową z przebitą nietylko twardą okładką, ale z przedziurawionemi kartkami. Zwycięztwo Pakosza zostało mu zaliczone do szeregu innych zalet, dość już licznych w oczach Paulisi. Gdy otrzeźwiono Grotka, córka wbrew zdaniu doktora, uparła się zabrać go do mieszkania. Niemal przez całą drogę niósł Grotka, często mdlejącego i prawie nieprzytomnego, Pakosz, z pieczołowitością synowską, co mu zjednało u Paulisi wyższy stopień przychylności.

Tegoż dnia wieczorem pan dyrektor, wracając z objazdu, zajechał do biura i zaraz u wstępu zapytał zawiadowcy:

— Szychta nocna pracuje?

— Zaledwie połowa ludzi...

— Tchórze! — zawołał z pogardą. — Tyle zamówień! zobowiązań! A ci przestraszyli się!... Jakie są szkody wogóle?

— Zginęło trochę ludzi, pewnej cyfry nie mogę podać na razie...

— Umieści pan w raporcie... Ale nie o ludzi pytam, rąk roboczych nam nie zbraknie. Jaki stan kopalni?

— Prawie normalny: trochę cembrowin się spaliło i szalowanie podszybia.

— Większy był strach, aniżeli szkoda — rzekł

z zadowoleniem dyrektor i spokojnie zapytał, gładząc swą piękną brodę: — Byłbym zapomniał — jakżeż konie? pewno mędrsze od ludzi, nie biegły do podszybia.

Zawiadowca zawahał się i niepewnym głosem raportował:

— Udusiło się trzydzieści koni.

— Co? co? — krzyknął dyrektor przerażony. — Chyba się przesłyszałem! powtórz pan!

— Trzydzieści koni — bąknął zawiadowca.

— Ależ to okropne! ohydne! straszne! Taka strata, to przecież ruina kopalni. I pan dopiero teraz mówi o niej?

Zawiadowca, zmieszany milczał.

— I jak pokryć tę szkodę? — rozmyślał stroskany zwierzchnik. — Przecież towarzystwo nie może płacić za brak dozoru?

Zaczerwienił się zawiadowca i, w swojej obronie, rzekł niepewnym głosem:

— Jeśli ludzie się dusili, cóż dziwnego, że uwięzione przy wózkach konie poginęły?

— Ludzie! ludzie! — krzyknął dyrektor. — Niechby wpierw wyprzęgli konie, byłyby napewno uciekły. Uratowałyby się instynktem.

Zawiadowca milczał. Dyrektor chodził niespokojnie po biurze, wreszcie rzekł na pożegnanie:

— Ogromna strata! niepowetowana!... Ale musimy ją w jakiś sposób odbić, pomyślę — może z procentów służby, z jakich innych oszczędności... Towarzystwo nie może ze swoich funduszów ku-

pować koni, aby znów ginęły!... Dobranoc panu! — i, wychodząc, mruczał do siebie:

— Taka strata! Taka strata!

XXVI.

Grotek na trzeci dzień o tyle czuł się zdrowszym, że, leżąc w drugiej izbie, wysłuchał spokojnie wiadomości o śmierci Franciszka Butnego i odmówił przykładnie: „Wieczny odpoczynek!"... w czem mu wtórowała Julcia.

Pakosz był na szychcie, Paulisia u modniarki, Grotkowa zaś, otworzywszy kuferek Franciszka, przeszukiwała, czy też nie znajdzie należnych jej dwóch rubli.

W tej chwili otworzyły się drzwi ze słowami:

— Dzień dobry pani!

I wszedł znany jej lichwiarz, pan Icek Feingold, młody, z ciemnym zarostem, lekko przygarbiony żyd.

Grotkowa obejrzała się i, chmurna, nie przerywając zajęcia, odmruknęła:

— Dzień dobry.

— Słyszałem, co, chwała Bogu, pan Grotek żyje, przyszedłem się dowiedzieć.

— Pewno kupiec po pieniądze przyszedł, ale daremnie, bo nie mamy — odpowiedziała z gniewem.

— Zawsze nie mamy — przerwał jej lichwiarz — a kiedy będą moje pieniądze? Ja już cierpliwy sześć tygodni!

— Byłyby napewno — ratowała się Grotkowa — ale umarł mi kwaternik, zadłużył mi się i umarł.

— Słyszałem o tem nieszczęściu w kopalni. Strach jakie szkody! I ludzie i aż coś z pięćdziesiąt koni, każdy po 150 rubli, gwałt, jaka szkoda!

Oburzona Grotkowa przerwała poszukiwania i zwróciła się do lichwiarza:

— Taka to wasza wiara! Że tylu katolików zginęło to nic, on lituje się nad końmi! tfu! — splunęła ze złością.

Pan Feingold lekko się uśmiechnął i odpowiedział z godnością:

— Ja żałuję i ludzi, żałuję i bydlęta; co ono winno, że musiało iść do kopalni?... Nu, jakże będzie z moimi dwudziestu rublami?

— Jakie dwadzieścia? — zawołała z gniewem — pożyczyliśmy piętnaście.

— Pani myśli, że pieniądz nie rośnie? — zaśmiał się żyd. — On lepiej rośnie, niż ciasto na chleb!

— Przecież zapłaciłam już dwa ruble!

— Co to za gadanie — rzekł zgorszony. — Pani wie, że należy mi się dwa ruble co miesiąc do zapłacenia długu. Jak Feingold cierpliwy, to cierpliwy, ale co pani zrobi, jak on poda do sądu?

— A podawaj sobie — mruknęła, wyciągając brudną bieliznę z kuferka.

— Ja tu wszystko opiszę, sprzedam — po co ten wstyd? Lepiej z Feingoldem dobrze... Daj mi pani dwa ruble, ja pójdę sobie.

— Nie dam, bo nie mam — krzyknęła roz-

gniewana i z pasyi wyjęła resztę rzeczy i rzuciła na izbę.

Wśród brudów, podartych rzeczy, szczotek, kawałków suchego chleba, znalezionego żelaziwa i sznurków, upadła na sam wierzch książka kasy oszczędności.

— Co to?

Poznała książeczkę i Grotkowa. Wielce zaciekawiona odeszła od kuferka, podniosła książeczkę i zbliżyła się do okna, by przeczytać. Obok niej stanął lichwiarz. Suma dwustu jedenastu rubli olśniła oboje. Spojrzała Grotkowa na czyje imię, nazwisko Franciszka Butnego napisane było wyraźnie.

— A to sknera! — zawołała.

Żyd milczał, patrząc na Grotkową, na izbę, na książkę.

— Dawno on umarł? — zapytał nagle.

— Dziś rano.

— To wie pani co? ta książeczka nic nie warta, bo tylko sukcesor może zabrać pieniądze. Niech mi ją pani da. Przyjdzie sukcesor, to on musi zapłacić za nią i my się podzielimy.

— Nie, nie mogę — rzekła Grotkowa. — Co jego to jego; oddam im, jak przyjdą, niech mi tylko zapłacą, co on mi winien.

— Po co pani ten kłopot — tłómaczył pan Feingold. — Jeszcze się zgubi, straci, to potem wielki harmider. Ja pani za niego zapłacę, my się porachujemy jakoś.

— Już ja ją schowam sama. Nie dam — odpowiedziała i zaczęła zbierać rozrzucone rzeczy.

Po dobrej chwili, lichwiarz zaczął:

— Ja uczciwy człowiek i nie chcę krzywdy pani, to ja pani powiem, ja już daruję dług, co mi pani i pan Grotek winni, a ja sobie odbiorę od nich, jak przyjdą po książkę. Co, czy nie uczciwie?

Ten plan podobał się Grotkowej, bo przecież ona pilnowała i dbała o tego kwaternika, jak matka. Za tyle kłopotów należy się jej cośkolwiek, bo czyżby on oszczędził tyle pieniędzy, gdyby nie miał takich wygód? I po długich targach za dług piętnastu rubli i za dług Franciszka, zwiększony do dziesięciu rubli, oddała książkę kasy oszczędności, która tegoż dnia została zainkasowana przez tegoż Franciszka Butnego, tak przynajmniej figurowało w księdze kasowej.

Grotkowa miała jednak wyrzuty sumienia, że książeczkę kasy oszczędności powierzyła na przechowanie lichwiarzowi, który zedrze dużo z sukcesorów Franciszka Butnego i już układała cały plan obrony swej osoby, gdyby sukcesorowie wystosowali do niej pretensyę. Nie przyznała się też nikomu do układu swego z lichwiarzem, a wkrótce zapomniała o całej sprawie przy rozlicznych kłopotach.

Mąż ciągle cherlał i leżał po całych dniach. Na lada wspomnienie o kopalni, drżał jak w febrze i prawie nieprzytomny ze strachu krzyczał na jakieś widma, które go oblegały i przerażały. O pracy, o zajęciu nie mogło być mowy. Do szpitala nie

chcieli go przyjąć, mimo prośb i starań; zawadzał więc w domu, przesuwając się, z kąta w kąt.

— Pomieszały mu się klepki i żadnej z niego nie mam pociechy — narzekała Grotkowa przed sąsiadkami.

A bieda cisnęła się do Grotków drzwiami i oknami i byłaby ich doszczętnie zjadła, gdyby nie Pakosz i znaczny jego zarobek. Miłując Paulisię, nietylko że płacił za łóżko, ale stołował się stale, a oszczędzane na ślub i wesele pieniądze składał w ręce Paulisi, najpewniejszej jego zdaniem, kasie oszczędności, a zarazem najprzyjemniejszej i najsłodszej, bo płacącej procenta uśmiechami i pocałunkami.

Po Wielkiejnocy mieli się pobrać i zamieszkać u rodziców. Tej przewodniej środy, dnia ich ślubu, nietylko Pakosz czekał niecierpliwie, ale i Paulisia radaby była włożyć czepek na głowę i poczuć się panią w drugiej izbie, przeznaczonej młodemu małżeństwu na mieszkanie. Odwaga, pracowitość i oszczędność Pakosza, przy nieustannych dowodach stałej miłości wzruszyły Paulisię i naprawdę pokochała Ślązaka. W każdą niedzielę i święto wychodzili już oboje do kościoła, do znajomych, do krewniaków. W niedzielę powielkanocną wracali oboje z Zagórza od matki chrzestnej późnym wieczorem. Na rozjaśnione niebo wypłynął księżyc i jasno oświetlił cały krajobraz — lasy dalekie, łąki nadbrzeżne, bliższe zagony i drogę wijącą się z góry ku kopalniom i fabrykom. Czar nocy wio-

sennej, początków maja, bez ich wiedzy i woli ogarnął ich. Od czasu do czasu lekki powiew wiatru przynosił ze sobą daleki szum lasu, szemranie wody, zapach kwiatów, zbóż i roli. Mniszki, sasanki, stokrótki, rozkwitłe nad rowami przydrożnymi, orzeźwione rosą nocną, wychylały swe główki z zieleni murawy i błyszczały w świetle księżyca. Z oddali, w samym dole, olbrzymie kominy licznych fabryk, wyrzucały kłęby sinego dymu, który zwolna wznosił się coraz wyżej. Czasem ostry gwizd parowej maszyny, głuchy łoskot wagonów, przeciągły huk fabryczny dolatywał aż do nich, schodzących zwolna z góry do ognisk pracy. Rozliczne lampy elektryczne na tle ciemnej nocy zdawały się być księżycami małymi, spadłymi ze stropu, by ludziom pracy rozświetlać drogi. Tworzyły one zawikłane konstelacye, podobne do konstelacyi gwiazd w przestworzu niebieskiem. I w tej ciszy natury płodnej, żywej, prócz lasu, wody i fabryk w dole, tylko świerszcze polne wygrywały swą jednostajną melodyę.

Pakosz, przyciskając ramię Paulisi, szepnął:

— Jeszcze dwa dni, a będziesz moją żoną!

— Jak ten czas leci — szepnęła dziewczyna — jeszcze poniedziałek, wtorek i już ślub.

— Dla ciebie leci, dla mnie się wlecze ten przebrzydły czas. Chciałbym, aby już jutro był nasz ślub, tak przykro czekać!

— Dłuży się on i mnie — szepnęła zarumieniona.

— Jeszcze dwa dni! — westchnął Pakosz. — Jutro pójdę na szychtę, bo nie wytrzymałbym w domu, ale we wtorek będę ci pomagał urządzić nasze gniazdko.

— Szafę postawimy na lewo, złożę tam bieliznę i powieszę ubrania. Komoda zostanie na miejscu, a na środku stanie stół... Krzeseł nam brak, należałoby kupić, bo gdy przyjdą przyjaciółki, jak one usiądą na dwóch krzesłach?

— Kupimy! Nie bój się! — mówił Pakosz, pełen zaufania. — Za sześć dni *Zahltag* — dostanę coś grosza, bo robimy w skale.

— W skale — rzekła Paulisia, myśląc w tej chwili o kupnie krzeseł.

— Nie byłaś w kopalni, to i nie wiesz gdzie jest ta skała — objaśniał Pakosz. — To jest przy tamie pożarnej, czasem aż do nas zaleci swąd i przeląkłby się niejeden, ale nie my, cośmy już dymu próbowali i wyszli cało. Nam nic nie będzie nigdy, bośmy się dobrali zgodnie.

— Nie mów tak! — szepnęła, tuląc się do niego. — Boję się o ciebie!

I, poddając się wrażeniu chwili, mówiła cicho, nachylając się ku niemu.

— Taki mnie strach ogarnia czasem, jak pomyślę, że ty w kopalni... Codziennie zjeżdżasz, jak po śmierć. I teraz tak się boję, tak boję...

— Dziecko jesteś! Coby mi miało być? Kopalnia spokojna, robota nie nagła; kujemy w skale, jak na świecie bożym ptaki drzewo kują.

— Możebyś już nie szedł na szychtę? — rzuciła nieśmiało.

— Żeby mnie sztygar osztrafował?! Muszę dzień wprzód zameldować, że nie przyjdę. I cobym ja robił przez cały dzień?

— To prawda! Idź już, tylko czegoś okrutnie się boję...

— Może tego lasku? — zaśmiał się Pakosz. Właśnie wchodzili w smugę lasku po obu stronach drogi. Ubogie, na pół zeschnięte sosny, wyciągały w niebo swe nagie konary, jak gdyby błagały ratunku i miłosierdzia. Szczególna cisza panowała wśród tych smukłych pni, zaledwie w koronie licho ulistnionych. Był to tak zwany przez lud: „martwy lasek“. Drzewa broniły się rozpaczliwie przed nieuniknioną śmiercią, która nieustannie krążyła nad niemi i wśród nich, w postaci zjadliwego dymu z poblizkich hut i fabryk.

Z każdą wiosną puszczały młode pędy, zdrowe, świeże, zielone i połyskiwały dumne w słońcu, odżywiając suchotniczy pień ojczysty. Lecz gdy owiał ich dym duszący, raz, drugi i dziesiąty, traciły szybko swą młodość, zmarszczki starości mnożyły się, stawały ostre, zgryźliwe, jak starość bez nadziei i padały na suchą, licho porośniętą ziemię, by chociaż rozkładem swego ciała służyć drzewu na pokarm. I znów wychylały się nowe pąki, ale coraz mniej liczne, mniej silne, mniej zdrowe, bo wszystko na świecie mija, wszystko jest niepewne, chwiejne, wątpliwe, tylko śmierć jest pewna zawsze

i wszędzie. Żaden ptak, jak zresztą w całej okolicy fabrycznej, nie słał tu sobie gniazda, nie śpiewał, nie troszczył się o przyszłe swe pokolenie; groza czającej się śmierci, odstraszała skrzydlatych śpiewaków. Czasem tylko zrozpaczony robotnik bez zajęcia, czasem nędzarz, który nie umiał znieść niedoli, poszukali tu sobie odpoczynku na zawsze. I tak wśród smukłych, martwiejących pni, zawisło tu niejedno ciało zrozpaczonego. Obawiano się w nocy tego „martwego lasku“, bo jakieś upiory, przerażające strachy, oderwani wisielcy napełniały go tłumnie i niepokoili przechodniów.

Ale pijani i zakochani czują się zawsze bezpieczni, bo ich myśl i uczucia idą zawsze jedną, prostą drogą w okularach po bokach, niby konie w angielskim zaprzęgu.

W cieniu lasku, Pakosz doznał takiego gwałtownego napływu uczucia i czułości, że zaczął całować namiętnie Paulisię.

— Nie tu! nie tu! — wołała, odsuwając go. — Ja tu się boję! bardzo boję!

Gdy weszli w jasno oświetloną księżycem drogę, mówiła Paulisia:

— Tak się przelękłam okropnie...

— Czego? — zapytał ze śmiechem.

— Za tobą wśród drzew, widziałam białą osobę; była wysoka, szczupła i cała zakryta. Chciała się zbliżyć do ciebie, krzyknęłam, boś mnie całował i ona znikła... A może to śmierć?

— Chyba Franciszek — odpowiedział pół żar-

tem — bo on po nocy napadał, albo przywidziało ci się od mgły.

Zaprzeczyła jego tłómaczeniom, ruchem głowy.

Lecz i na nim noc, lasek, opowiadanie Paulisi, zrobiły przykre wrażenie, umilkł więc i tak spokojnie szli ku domowi.

W drodze dopędził ich Wincenty Bieluń, wracający z miasta:

— Szczęść Boże! — zawołał wesoło, poznawszy towarzysza.

— Szczęść Boże! A skąd tak późno?

— Wracam od kuma, dał mi okrutnie świętobliwą modlitwę górnicką.

— Jakaż to? — zapytała Paulisia.

— Nie godzi się mówić jej na ulicy, tylko przykładnie w domu, uklęknąwszy, bo błogosławił ją Ojciec Święty i dał temu górnikowi sto dni odpustu, któryby rano i wieczór odmawiał pobożnie.

— I powiadacie, że ładna? — rzekł Pakosz.

— Co to ładna!? — zawołał z zapałem. — To jest cudo, nie modlitwa. Wam, jako nowożeńcom, bardzo się przyda, i już wam dam, kiedy tak chcecie serdecznie.

— Dajcie nam, ojcze Wincenty! — odezwał się Ślązak. — Będę odmawiał sumiennie, kiedy jest sto dni odpustu, jak powiadacie sami.

— Ano wstąpię do was! Pomodlimy się. Ucieszy się i Adam, jak ją usłyszy.

W mieszkaniu Grotków milczący Adam siedział

w ciemnym kątku i trapił się swoją chorobą i niemożnością zarobienia pieniędzy na ślub Paulisi.

Rozgorączkowany Wincenty, po krótkim przywitaniu, zawezwał wszystkich do uklęknięcia i sam zaczął mówić głośną modlitwę wierszowaną, wielce wzruszony:

„Boże! gdzie słońce Twe nigdy nie świeci,
Tam się spuszczamy — w głąb ziemi;
Tu zostawiamy i żony i dzieci —
Jak ojciec, czuwaj nad niemi!

Przyjmij żal skruchy, przyjmij łzy pokuty,
Odpuść, ach odpuść nam, Boże!
Idziem, gdzie w strasznej głębi szyb wykuty
Otwartym grobem być może!

Otul nas Panie! skrzydłem Twojej pieczy,
Odwróć niepokój i troski;
Tyś Sam na pracę skazał ród człowieczy
Spełnimy wyrok Twój boski.

O wlej nam miłość i wlej ducha zgody
Chęć wsparcia w każdej potrzebie:
Idziem na wspólne losy i przygody,
Więc bądźmy braćmi dla siebie.

Daj, by ten węgiel, któryś łask Swych cudem
W wnętrznościach ziemi był złożył,
Naszym poczciwym wydobyty trudem,
Wdzięczność ci świata pomnożył.

O czuwaj Panie, czuwaj nad wszystkiemi,
Wlej dobroć w serca zwierzchników,
Błogosław znojom oracza na ziemi,
Pod ziemią pracy górników!“

Skończył, a modlitwa ta wydała mu się przez swoją frezeologię i muzykalność tak piękną, że klęczał dobrą chwilę, nasłuchując powtarzających ją głosów familii Grotka.

Podyktował Paulisi całą modlitwę słowo za słowem i pożegnał się, śpiesząc do domu, mówiąc we drzwiach:

— Szczęść Boże! A módlcie się!

XXVII.

Na drugi dzień rano, gdy dzienna szychta zjechała do kopalni, numer Bibieli zajął robotę w pochylni obok tamy. Gdy po modlitwie wszedł Bibiela do pochylni, obrócił się ku swym towarzyszom:

— Okrutny tu swąd, rozboli nas głowa!

— Wypędzimy go dynamitem! — zawołał Wojtek.

— Że też przez jedną dobę tyle się go nazbierało — rozmyślał Maciej.

— Ciągnie od tamy, gdzież miał szukać spokoju, tylko w naszej pochylni — odezwał się Wincenty.

— Gorzej było, a wyszliśmy cało! — rzekł Pakosz, idąc za towarzyszami.

Doszedłszy do ściany, wzięli się do roboty. Rozległy się głuche uderzenia o skałę i wkrótce zazgrzytały świdry. Wypoczęci, pracowali żwawo.

Wkrótce nadszedł sztygar i zawołał Bibielę do chodnika górnego, w którym stali zwierzchnicy: dyrektor, zawiadowca i nadsztygar. W czasie Wiel-

kiejnocy, przy powstrzymaniu robót, ogień z niewiadomych przyczyn rozgorzał silniej za tamami ochronnemi. Na tamę chodnikową i prawej pochylni starczyło kopalnianych murarzy; zostawała tama lewej pochylni, obok której pracował numer Bibieli. Przez wszystkie tamy przedzierały się małe płomienie, nieszkodliwe, bo wokoło była skała. Ogień przepalił miejscami spoidła ogniotrwałej cegły i świecił złowieszczo; należało wzmocnić tamy, by żar nie buchnął na kopalnię i nie przedostał się tym sposobem do blizkiej warstwy węgla. Zawołany Bibiela wraz ze sztygarem poszli pochylnią, długą na trzydzieści kilka metrów, ku tamie ogniowej. Owionęło ich w połowie pochylni duszne, przesiąknięte swędem gorąco, które rosło z każdym krokiem. Szli zwolna, Bibiela przodem, sztygar za nim. W głębokiej ciemności ujrzeli u góry od czasu do czasu małe niebieskie płomyczki, które natychmiast gasły, by w innem miejscu, lecz zawsze w górze, zjawiać się nanowo. Przypatrywali się przez chwilę temu zjawisku, wreszcie rzekł sztygar:

— Wracajmy!

Oczekującym zwierzchnikom raportował dokładny stan tamy.

— Każ pan natychmiast zwieźć tu cegłę, cement i wapno — rozkazał dyrektor.

— Cegłę już wiozą — odpowiedział zawiadowca.

— Musimy tamę wzmocnić jak najprędzej! Nowa

za dużo kosztowałaby materyałów. Murarze są? — pytał dyrektor niespokojny.

— Niema, są zajęci przy innych tamach — rzekł nadsztygar.

— Więc niech górnicy murują! Gdzie najbliższy numer?

— Bibieli — odezwał się sztygar.

— Ilu ich?

— Pięciu z ładowaczem.

— Dodać im szleprów, niech donoszą materyały, a oni niech murują! — rozporządzał dyrektor.

— Według rozkazu! — zawołał służbistym tonem nadsztygar i, zwracając się do sztygara, rzekł:

— Słyszałeś pan rozkaz?

Ten obrócił się do milczącego Bibieli:

— Słyszałeś?

— Słyszałem!

— Więc do roboty! — zawołał dyrektor.

W tej chwili przyciągnął koń wagonik, pełen cegły ogniotrwałej. Szleper zaczął ją układać u wstępu pochylni z prawej strony, gdyż z lewej było jeziorko wody. Z głębi chodnika zabrzmiało ostrzeżenie drugiego wagonika cegieł:

— Pozór! pozór!

Pierwszy szleper pośpieszał z wyładowaniem, ale nie zdążył wyjąć połowy cegieł, gdy nadjechał drugi.

— Prędzej! prędzej! — zachęcał sztygar.

Szleper, nie namyślając się, podparł ramionami

wagonik i resztę zawartości cegieł wysypał. Skoczył ku niemu dyrektor i elegancką swą laską zaczął go okładać, krzycząc:

— Tak, psi synu, szanujesz cegłę!? A wiesz, że każda z nich więcej kosztuje, aniżeli ty!?

Wyzwoliwszy swój niepokój obiciem szlepra i rozkazawszy go osztrafować, uspokojony zwrócił się ku wyjściu wraz z zawiadowcą i nadsztygarem, poleciwszy jeszcze raz dokładną i szybką naprawę tamy.

Sztygar dopilnował zwózki materyałów, a gdy dowieziono kloce i deski, potrzebne do rusztowania, by dostać się do górnej części muru, obładowani niemi, ruszyli górnicy ku tamie. Zbliżywszy się do muru, gdy poczuli gorąco i swąd zawahali się, stanął Wincenty i patrzał ponuro przed siebie.

— Jakom ja starszy — odezwał się Bibiela — pójdę pierwszy.

— My za wami — mruknął Wincenty.

Ustawili rusztowanie przy świetle lampek i płomyków i poszli po wiadra z rozrobionym cementem. Gdy wrócili, rozporządził Bibiela:

— Zasmarować wszystkie dziury, zmiejszy się swąd i gorąco.

Wzięli się do roboty. Najlepiej i najweselej pracował Wojtek. Urządził sobie rodzaj polowania na płomyki; co gdzie który wyjrzał, biegł zaraz po rusztowaniu, rzucał masę, rozrobioną w wiadrze i wołał ze śmiechem:

— Przytnę ci zaraz twój ozór, pieronie!

A że robił to zręcznie i szybko, rozweselał wszystkich, Bibiela, który niedaleko pilnował, rzekł:

— Stulił pysk ogień u góry, chce nas liznąć ze spodu.

Zeskoczyli górnicy i weszli pod rusztowanie, pod którem musieli robić schyleni. Z dołu, z chodnika doleciał ich głos sztygara:

— Szczęść Boże! Przyjdę tu zaraz, uważaj, Bibiela!

Płomienie u spodu dobywały się gęsto, podszedł pod rusztowanie Bibiela mówiąc:

— Pomogę wam, bo chcą nas pożreć!

Robota szła żwawo i gdy pod rusztowaniem rozglądali się za płomykami, by zdusić je u źródła wyjścia, nagle rozległ się u góry trzask, do grzmotu podobny, i górny mur zwalił się w pochylnię, party siłą ognia, który krwawą, szeroką wstęgą płynął w górze pochylni. Rusztowanie z lewej strony, gdzie stał Pakosz, osunęło się w dół, z prawej stało nienaruszone. Z pod gorących gruzów wysunął się pierwszy Bibiela i zaczął biedz szybko w dół ku chodnikowi. Lecz dognała go natychmiast płonąca fala, objęła go i rażony padł na ziemię. Na czworakach wysunął się Wincenty i czołgając się, chciał się wymknąć z gorejącej topieli. Posunął się trochę, wtem padł kawał muru z góry i wysuniętą prawą rękę roztrzaskał. Zerwał się z bólu Wincenty, czołgając się dalej obok leżącego Bibieli. Pod rusztowaniem, przy silnym szumie ognia, słychać było jakieś szamotanie, odrzucanie

cegieł i wkrótce okrwawioną twarz Wojtka rozświeciły czerwone płomienie. Sunąc się po świeżo rozpalonych cegłach, uczuł taki ból, że porwał się na nogi. W tej chwili płomienie opaliły mu tył głowy i włosy, padł, tłumiąc rękami poranionemi i spieczonemi ogień na głowie. Gdy mijał Bibielę, zdobył się na tyle sił, że go szarpnął i w tym ruchu usta Bibieli zwróciły się do ziemi. Sunął się dalej i prawie spółcześnie znaleźli się obaj z Wincentym w jeziorku chodnikowym u wstępu do pochylni. Nad nimi przelatywały płomienie, wzmagał się żar, dławiący gorącem. Gdy odetchnęli, zaczęli wołać towarzyszy. W pochylni, u góry wśród szumu i trzasku ognia, dosłyszeli jęki; i w kwadrans może dowlókł się do jeziorka opalony, zesłabły, ledwie żywy, Bibiela, który, zwróciwszy usta do chłodnej ziemi, ucucił się i, dobywając ostatnich wysiłków, doczołgał się do chodnika.

Napróżno jednak wołano Pakosza; prócz własnego głosu, słyszeli tylko trzask ognia i łomot osuwających się cegieł. Gdy Wojtek oswoił się z położeniem, spojrzał na towarzyszy. Bibiela leżał prawie bez ruchu i gdyby nie ciche jęki, zamykanie i otwieranie oczu, możnaby go było wziąć za opalonego trupa. Wincenty, tkwiąc po szyję w wodzie, szeptał pacierze, a z pod powiek spieczonych strumieniem biegły łzy. Wojtek poczuł ból głowy, wyjął ręce z wody i chciał ścisnąć zbolałe czoło. Poczuł osuwające się pod palcami włosy, przesunął ręką, spojrzał, a w ręce miał całą kupę spa-

lonych włosów ze skórą. Z obrzydzenia chciał w wodzie umyć powalane ręce, lecz gdy potarł, zlazła z nich wierzchnia skóra, jak rękawiczka, razem z paznogciami. Jęknął z bólu i zapłakał, chowając zbolałe ręce w chłodną wodę.

Nareszcie zjawił się ratunek. Wydobyto z wody trzech górników. Bibielę i Wincentego złożono na noszach, Wojtek, podtrzymywany, szedł w stronę podszybia. Bibiela i na noszach i na wozie szpitalnym szeptał spalonemi wargami jedno słowo:

— Księdza!

Nie doczekał się, gdyż zaledwie wóz stanął u wrót szpitala, gdzie oczekiwał już ksiądz z wiatykiem, umarł na wozie. Wincenty i Wojtek znaleźli się w obszernej sali szpitalnej, obaj w gorączce i bez przytomności.

XXVIII.

W kilka miesięcy później Wojtek stawił się u sztygara swego.

— Ktoś ty? — zapytał zwierzchnik.

— Wojciech Szpałek, górnik — odpowiedział onieśmielony.

— Ty? Wojciech Szpałek? — zawołał zdziwiony i zaczął szczegółowo i ciekawie go oglądać.

O dawnym Wojtku świadczyły tylko oczy, głos i wzrost. Twarz opalona, poszramowana, pozeszywana, czaszka z łysemi plamami, uszy przepalone, pokawałkowane zmieniły go do niepoznania.

— Pokaż no ręce! — rzekł sztygar.

Wyciągnął Wojtek bliznami pokryte ręce brakło dwóch palców u lewej ręki, a małego u prawej.

Pokiwał głową sztygar i zapytał:

— Jakże z nogami?

— Prawa dobra, lewa naruszona.

— Toś już do niczego, mój bracie, dla kopalni — odezwał się sztygar.

— Ja przyszedłem w innej sprawie — mówił Wojtek nieśmiało.

— W jakiejże? — zapytał ciekawie.

— Dziś rozbierają tamę od pochylni, gdzieśmy pracowali, prosiłbym łaski pana sztygara, aby mi pozwolił tam pójść i obaczyć mego przyjaciela, Pakosza.

— Aha, to ten, co zginął! — Już tam pewnie popiół z niego, bośmy dopiero w tydzień ugasili trochę ogień, i tamę zrobili koło jeziorka w chodniku.

— Dopraszam się łaski, pójdę i obaczę — rzekł tonem prośby.

— A to idź!... Masz kartkę tutaj, to cię puszczą — rzekł sztygar, wręczając mu pozwolenie.

Gdy wszedł do chodnika, pamiętnego dlań z powodu jeziorka, mur był o tyle rozebrany, że od biedy można się było przecisnąć do pochylni, w której była dawna tama.

Górnicy, pracujący przy rozbiórce, gdy Wojtek dał się poznać, aż krzyknęli z zadziwienia i oglądali go ciekawie. Jego propozycyę odszukania ciała Pakosza przyjęto natychmiast. Rozszerzono przej-

ście i w sześciu ruszono na poszukiwanie. Pamiętał Wojtek, że Pakosz stał z lewej strony, tam też skierował górników. Odsunięto cegły i odsłoniła się część rusztowania. W oświetleniu lampek zamajaczyło ciało człowieka, był to Pakosz. Padające rusztowanie i mur górny nietylko przytłukły i złamały jego nogę, ale uniemożliwiły poruszenie się. Leżał bokiem ku górnikom zwrócony, blady, wyschnięty, spokojny.

Uklękli, mówiąc pobożnie modlitwę za umarłych, a wśród szeptu od czasu do czasu słychać było tłumione łkanie Wojtka rozżalonego.

Po skończeniu modlitwy, odsunięto rusztowanie gniotące nogi nieboszczyka i zaczęto oglądać zmarłego.

Rękaw prawy był podarty w strzępy, a gdy jeden z górników zbliżył lampkę do twarzy, krzyknął zdziwiony:

— Toż jadł sukno!

Zbliżyli się szybko inni, a Wojtek, patrząc chmurnie przed siebie, rzekł:

— Cierpiał, więc chciał się udusić!

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! — mówił jeden, klęknąwszy.

Za jego przykładem poszli obecni, modląc się:

— A światłość wiekuista, niechaj mu świeci, na wieki wieków, Panie, wysłuchaj modlitwy nasze, a wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie!

Dano znać sztygarowi, który kazał przynieść

nosze. Chcieli go brać na ręce inni, ale Wojtek nie pozwolił:

— Wezmę go sam — on był mi bratem!

I ucałował głowę Pakosza, płacząc cicho. Lekkie, wyschnięte w żarze zwłoki położył sam na nosze w chodniku i ze sztygarem na czele ruszył ten kondukt pogrzebowy, a towarzyszyły mu szepty modlitw, głębokie westchnienia i łkanie Wojtka.

Złożono zwłoki Pakosza w trupiarni, a Wojtek z wielkiej żałości poszedł „Pod gołębia", by zalać robaka.

Zastał tam Sobka. Przywitali się czule, usiedli przy jednym stoliku, kazawszy dać piwa.

— Co u ciebie słychać? — pytał Wojtek, opowiedziawszy wprzód szczegóły odnalezienia ciała Pakosza.

— Matka mi zmarła, to już wiesz. Ożeniłem się z Bibielanką i dobrze mi. A ty nie ożenisz się? Kurakówna raz po raz wspomina ciebie.

Spojrzał na niego Wojtek, uśmiechnął się i rzekł po chwili:

— Jeśli ty ślepy, to za to moje oczy widzą dobrze w lusterku... Patrz na mnie! Twarz mam jak kartofel upieczony, tylko zmarszczki i szramy, że sam sobie obrzydłem. Siły w rękach niemam, nogi słabe... Nie ożenię się z Kurakówną, ale nie ożenię się z żadną. Każda ładna będzie mnie zdradzała, a brzydkiej ja nie zechcę.

— Cóż myślisz robić? — zapytał Sobek zafrasowany.

— Zobaczymy.... Należy mi się pensya, bo z rozkazu robiłem u tamy. Znajdą mi jakieś pomieszczenie.

W tej chwili doleciał ich uszu gwar przed drzwiami, jakieś znajome głosy. Wstali i wyszli na chwilę.

Drogą szedł najprzód Wincenty, któremu pożar wypalił oczy i złamał rękę. Podpierał się laską w lewej ręce, za pusty prawy rękaw prowadziła go mała dziewczynka, wnuczka, której on był jedynym opiekunem, bo babka zmarła przed dwoma miesiącami. Za nim o kilka kroków posuwał się na czworakach Gdulski z obciętemi nogami.

— Hej, kamraci! — zawołał Wojtek, poznawszy dawnych towarzyszów, — dokąd Bóg prowadzi? skąd?

Zatrzymał się Wincenty i, wytężywszy słuch, rzekł:

— Toś ty Wojtek?

— Ja?

— Ano powiem tobie. Wracamy z Gdulskim od dyrektora, chcieliśmy prosić o przyśpieszenie należnej nam pensyi. Sfukał, skrzyczał i odepchnął, bo brudzimy mu ścieżkę w ogrodzie!

— To pies! — mruknął Wojtek przez zęby zaciśnięte. — Chodźcie, Wincenty, na szklankę piwa i wy, Gdulski!

— Nam nie do szynku, ale do Boga iść wypada — rzekł Wincenty poważnie — bośmy kalecy i z łaski ludzkiej żyjący.

I ze słowami: Szczęść Boże! pociągnęli dalej.

Wrócił Wojtek z Sobkiem do stołu i zaczęli pić „mocną“, bo doskwierał im ból serdeczny.

— I pomyśleć sobie — odezwał się Sobek — że jeden z nich to był pierwszy siłacz, drugi taki porządny górnik, a teraz co z nich?

Wojtek patrzał chmurny przed siebie i, westchnąwszy, rzekł:

— Takie to życie nasze!
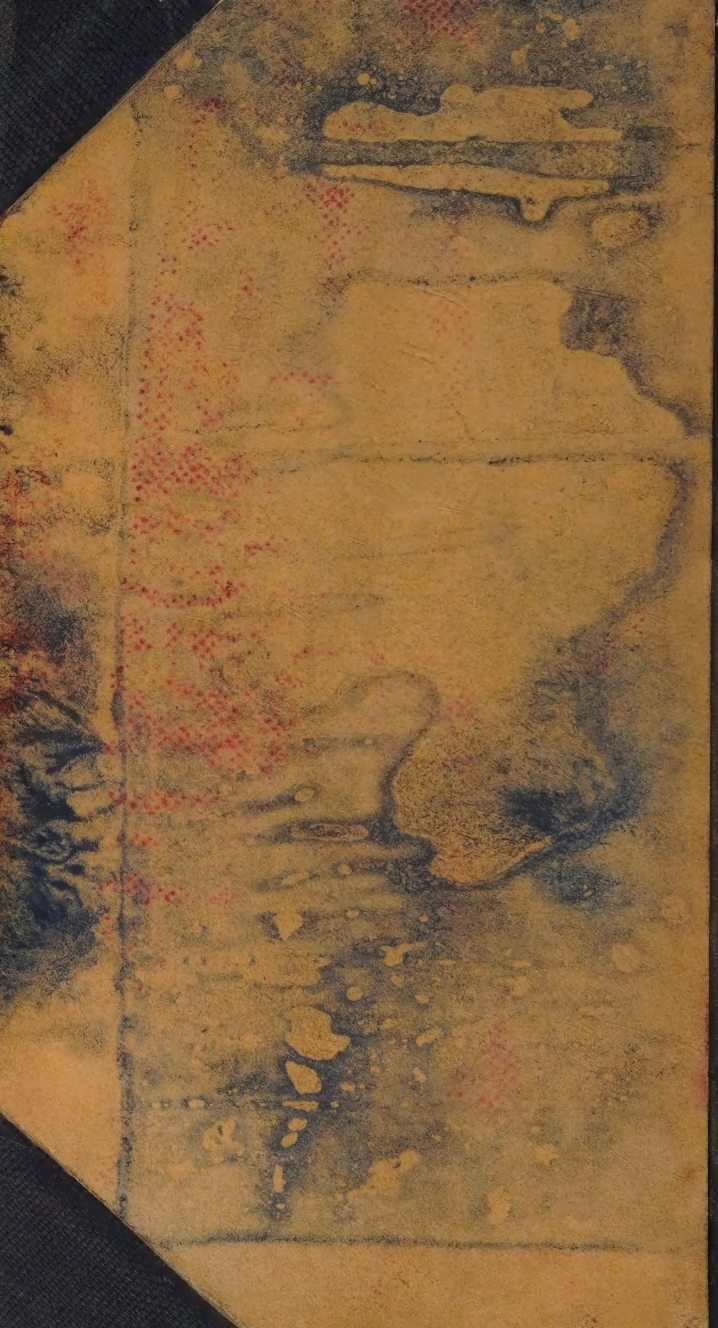
KONIEC.